

# RODZINA POLSKA

NR. 4.

1939.

# SPIS TREŚCI

Ilustracja na okładce: Błogosławieństwo „Urbi et Orbi” z bal-  
konu Bazyliki Św. Piotra.

Od Piusa XI do Piusa XII .....	153
JANUSZ KOZIŃSKI: Kolonie i surowce .....	159
ANNA BRAND: Ginący czar .....	163
JÓZEF JANOTA-BZOWSKI: O należyte zrozumienie przez młodzież zagadnienia rodziny .....	170
HELENA BRZEZIŃSKA: Higiena skóry i kosmetyka ...	173
Z książki pielgrzymy .....	174
GOSTA: Zmartwychwstał Pan .....	175
J. BARANOWSKI: Hosanna Zwycięzcy śmierci! .....	175

Z szerokiego świata .....	176
ANTONI OPECHOWSKI: Józef Svitil-Karnik, czesko-kato- licki poeta i przyjaciel Polski .....	178
J. K. JASTRZĘBIEC: Naród bez duszy (z wystawy „Wiecz- ny Żyd” w Berlinie) .....	181
ZBIGNIEW WILL: Z cyklu „Podwarszawska Palestyna” ..	183
IZABELA HENTZEL: Wiosna, chałwa i grzesznica .....	184
Rozmowy z młodszą siostrą i bratem .....	185
Na falach czasu: Ze spraw rodziny, Z piśmiennictwa w Pol- sce i za granicą, Teatr, Film, Plastyka, Muzyka, Ra- diofonia .....	178 — 193
Dział kobiecy .....	194 — 199
Kącik dla dzieci .....	199 — 200

## Z DZIAŁALNOŚCI POMOCY ZIMOWEJ

### Spółceństwo — akademikowi.

W ostatnich tygodniach w prasie ukazały się notatki o tym, że minister Kościółkowski w porozumieniu z rektorami wyższych uczelni podjął w charakterze przewodniczącego Ogólnopolskiego Obywatelskiego Komitetu Pomocy Zimowej dla bezrobotnych — akcję pomocy dla niezamożnych słuchaczy wyższych uczelni w Polsce.

Podstawą do takiego rozszerzenia akcji Pomocy Zimowej są dwa fakty. Pomoc udzielana jest akademikowi, który studiuje nie ma ani stypendium, ani pomocy z domu, ani zarobku. Dom nie pomaga kształcącemu się młodzieńcowi wtedy, jeśli tam panuje niedostatek, a więc albo niedostateczne wynagrodzenie głównego żywiciela rodziny, albo bezrobocie. Zdobycie zarobku dla niewykwalifikowanego w żadnym fachu młodego człowieka jest niesłychanie utrudnione. Nędza więc, uniemożliwiająca studia najbardziejemu odłamowi naszej młodzieży akademickiej, jest w prostej linii jednym ze skutków klęski bezrobocia. A zatem także podlegają „kompetencji” Pomocy Zimowej.

Cóż w tej dziedzinie w ciągu 140 dni akcji zrobiono?

W Warszawie, gdzie mamy 20.130 młodzieży na wyższych uczelniach, wydano kosztem 350 tys. zł 466.000 obiadów (obiad 75 groszy).

W Krakowie takich samych obiadów wydano (przy 7.500 studiujących) 120.000, wartości 90.000 zł. Wilno (3.310 studentów) — dało 83.000 obiadów po 60 gr na sumę 51.000 zł. Poznań przy 5.675 młodzieży studiującej wydał na 130.000 obiadów po 75 gr około 100.000 zł. Lwów dał 83.000 obiadów po 60 gr na sumę około 50.000 złotych. I wreszcie Lublin, gdzie kształci się tylko 1.377 młodzieży, za 12.000 zł dał 20.000 obiadów po 60 groszy.

W całej Polsce więc ogół młodzieży studiującej wynosi 42,6 tys. Pomoc Zimowa wydała 902.000 studenckich obiadów wartości około 653.000 zł. Prawie szóstą część młodzieży akademickiej, część pozbawioną wszelkiej pomocy przy odbywaniu studiów, znalazła się w ten sposób pod opieką Pomocy Zimowej, która umożliwi jej zdobycie wiedzy fachowej, uchroni ją przed zmarnowaniem się.

### Pomoc Zimowa pamięta o chałupnikach.

Stosunkowo niedawno zainteresowano się problemem chałupnictwa. Niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że chałupnicy, to dziesiątki tysięcy ludzi, żyjących z dnia na dzień, opłacanych lichy, żywiących się byle czym, wyzyskiwanych w sposób przypominający wyzysk kulisów chińskich, czy ma-

lajskich przez domorosłych nakładców. Mamy ty-  
siące rodzin chałupniczych, żyjących w miastach  
i miasteczkach, gdzie życie tych pariasów społecz-  
nych upływa w niesłychanej nędzy, przy zabójczej pracy  
14 — 16 godzin na dobę. A pracują nieraz trzy pokole-  
nia w jednej ciasnej izdebce mieszkalnej, aby zarobić  
razem przy wspólnym wysiłku 2 — 3 zł dziennie na lichy  
kąt i łyżkę strawy.

Mało kto z nas zastanawia się nad tym, że w cenie „wytwornej” koszuli mieści się kilkanaście groszy za-  
ledwie dla pracowniczki, która uszyła tę koszulę, a dwa  
złote w cenie obuwia, wykonanego przez szewca-chałup-  
nika z cudzych materiałów. Gorzej jest, kiedy chałup-  
nik, nie korzystający z ubezpieczeń społecznych, nie po-  
bierający zasiłku na wypadek bezrobocia, nie otrzyma  
w ogóle zamówienia. Cóż mu pozostaje wtedy? Wziąć  
chyba kij żebraczy.

Toteż pomyślała o nich, o tych najbardziejniejszych  
z biednych, Pomoc Zimowa, wszczynając już latem 1938  
roku akcją obuwianą. Mając przed sobą zadanie dostar-  
czenia obuwia dla dzieci i młodzieży, objętych akcją Po-  
mocy Zimowej, zlecono chałupnikom za pośrednictwem  
Wojewódzkich Komitetów Pomocy zimowej wykonanie  
39.168 par obuwia wartości zł 361.220,60 rozdzielono  
cały gontyngent równomiernie pomiędzy poszczególnymi  
ośrodkami chałupniczymi.

Jeśli chodzi o Warszawę, to całe zamówienie otrzyma-  
ło Zrzeszenie szewców-chrześcijan im. Kilińskiego, które  
wzięło do wykonania 10.000 par obuwia wartości złotych  
92.000, przeznaczonych dla dziewcząt i młodzieży w War-  
szawie i Gdańsku, a ponad to jako rezerwa zaopatrzenia  
dla innych województw.

**REUMATYKOM**  
szczególnie dają się we znaki nagłe  
i częste zmiany pogody. Bóle reu-  
matyczne i artretyczne usmierzają  
Togal. Tabletki Togal stosowane w  
dawkach po 2-3 tabletek 3 razy dzien-  
nie przynoszą ulgę w tych cierpieniach.

# RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK  
LUSTROWANY

ROK XIII. WARSZAWA, KWIECIEŃ 1939



## OD PIUSA XI DO PIUSA XII

W wielkiej księdze historii zamknięta już karta, poświęcona 17-letniemu pontyfikatowi Piusa XI. Wielki duch porzucił zestarzałą i zniszczoną ziemską powłokę, jak pielgrzym wracający do rodzinnego domu zrzuca strzępy starganej szaty pielgrzymiej.

Kościół wojujący został bez wodza — bez wodza widzialnego — bo niewidzialny, ale żywy Twórca i Wódz, Chrystus, swego ludu nie opuszcza nigdy.

Na falach eteru, po drutach telefonicznych na cały świat rozchodzi się wieść żałobna: Pius XI nie żyje.

Świat chrześcijański w żałobie; na domach Wiecznego Miasta ukazują się chorągwie żałobne — jedna, druga, setki, tysiące...

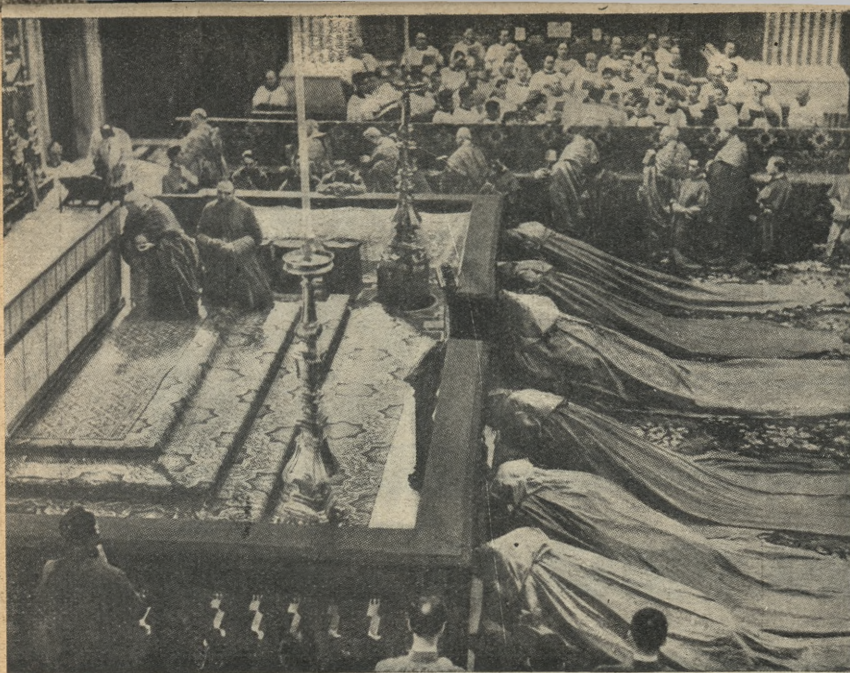
Modlitwy milionów dusz płyną ku niebu z tysięcy kościołów. Nie tylko z kościołów katolickich — parlament Stanów Zjednoczonych odmawia modlitwę za Zmarłego i na znak żałoby odracza swe posiedzenie. Senat amerykański na uroczystym posiedzeniu oddaje hołd zasługom Piusa XI dla całej ludzkości i również odracza swe posiedzenie na znak żałoby. Po raz pierwszy w historii potomków fanatycznych „antypapistów” w ten sposób uczczono rzymskiego Papieża.

Laicystyczny i tradycyjnie antykatolicki rząd francuski prawie w komplecie wziął udział w nabożeństwie żałobnym w katedrze Notre Dame w Paryżu — też po raz pierwszy od długich już lat.

Tymczasem w Rzymie zabalsamowane śmiertelne szczątki Papieża złożono przejściowo w Kaplicy Sykstyńskiej. W półmroku kaplicy, przy blaskach gorejących świec, płynnie korowód ludzkich postaci z żałobą i modlitwą w duszy. Książęta i proletariusze zjednoczeni w synowskich uczuciach czci dla zmarłego Ojca św.



Zwłoki Papieża w żałobnej procesji zstępują po stopniach Scala Regia z Kaplicy Sykstyńskiej do Bazyliki św. Piotra.



*Kardynałowie pogrążeni w modlitwie nad grobem św. Piotra.*

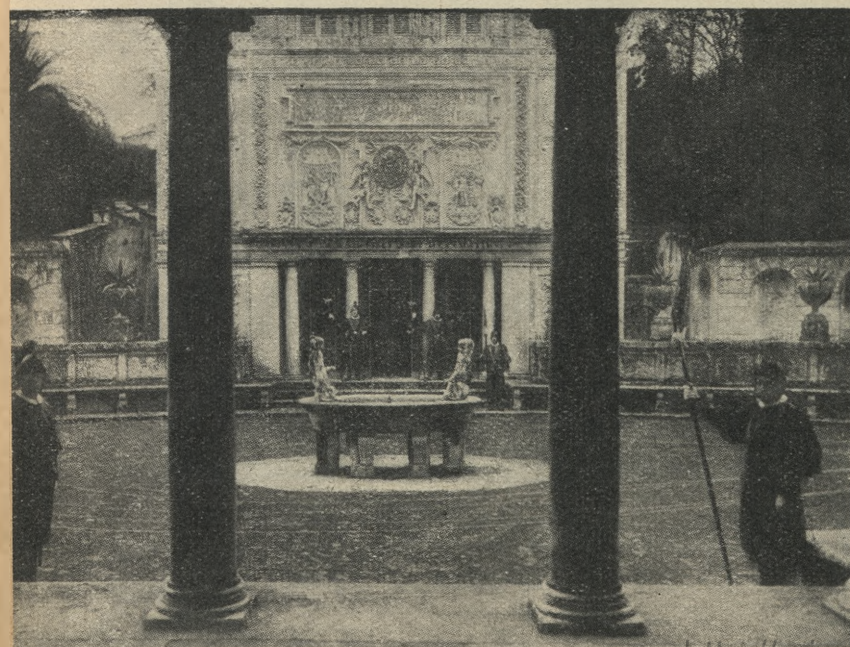
Nad wszystkim unosi się wizja sądu ostatecznego, uplastyczniona genialną ręką mistrza, Michała Anioła. Sędzia karzący i nagradzający, a u Jego stóp ziemskie prochy Jego pokornego sługi i zastępcy na ziemi.

W smutnej procesji z wyżyn watykańskiego pałacu po stopniach wspaniałej Scala Regia zwłoki Papieża zstępują do Bazyliki Św. Piotra. Modlitwa psalmisty „Miserere mei Deus” rozlega się echem po dalekich kruzgankach i dziedzińcach prastarego pałacu. W Bazylice przed zwłokami przechodzą setki tysięcy wiernych.

W jednym tylko dniu, 12 lutego, obliczano ich na blisko 300.000. Tłum różnych ras, narodowości i języków — mały obraz powszechnego, ogólnoludzkiego Kościoła — zjednoczony w wspólnym uczuciu żalu i czci. W iluż oczach błyszczą łzy, ile warg porusza się w szepcie modlitwy? Przy marach w bezruchu warta różnych formacji wiernej gwardii — jak gdyby lekkie przypomnienie, że to zwłoki nie tylko głowy chrześcijaństwa, ale i władcy państwa watykańskiego.

Przez 9 dni o sklepienie potężnej kopuły wzniesionej nad grobem Księcia Apostołów odbijały się tylko żałob-

*Jeden z dziedzińców pałacu watykańskiego „Cortile Pio IV”.*



ne echa. 14 lutego zwłoki wraz z dokumentem, opisującym życie zmarłego Papieża, zamknięto w potrójnej trumnie i spuszczone do podziemi Bazyliki, gdzie grób pierwszego papieża Piotra otaczają wieńcem groby jego następców. Skromny sarkofag marmurowy zamknął na zawsze ciało, które przez lat 83 było siedliskiem wielkiego ducha.

Władzę nad Kościołem i państwem watykańskim objęło kolegium 63 kardynałów. Dla upamiętnienia dni bezkrólewia mennica i poczta watykańska wydała specjalne monety i znaczki. Szczegół drobny, ale świadczący dobitnie o ogromnym zainteresowaniu, jakim cieszy się w całym świecie wszystko, co dotyczy Watykanu: w ciągu pięciu dni z całego świata listownie i telegraficznie wpłynęło do dyrekcji poczty watykańskiej 80.000 zamówień na serię znaczków z napisem „Sede Vacante”.

Najpilniejsze zadanie kolegium kardynalskiego, to wybór nowego papieża. Kościół nie może być długo osierocony.

Kardynałowie z dalekich krajów muszą się śpieszyć, by zdążyć na dzień otwarcia conclave. Kardynał O'Connell, który już swego czasu nie zdążył na conclave w roku 1914 i 1922, spędza czas rekonwalescencji na dalekim zachodzie Ameryki. Siada do samolotu, by zdążyć na odjazd parowca „Rex” do Europy. Przybywa za późno. Prezydent Roosevelt stawia mu do dyspozycji szybki okręt wojenny, który w okolicy Gibraltaru dopędził okręt „Neptunia”, wiozący kardynałów południowo-amerykańskich, Copello i Leme. Tym razem kard. O'Connell zdążył na czas. Kardynał portugalski, Cerejeira, jest pierwszym kardynałem, który drogę na conclave odbył w całości hydroplanem.

Zebranie wyborcze, zwane conclave, musi być wolne od wszelkich wpływów zewnętrznych. Żadna władza, żadna polityka nie może wpływać na wybór nowego Papieża. Głos ma mieć tylko sumienie wyborców, kierowane i oświecane duchem Bożym. Dlatego wyborcy odcinają się od wszelkiej łączności ze światem zewnętrznym. Pozamykano i opieczetowano drzwi i bramy, prowadzące do części pałacu zamieszkałej przez kardynałów i ich otoczenie, przerwano połączenia telefoniczne. Marszałek conclave, jako tymczasowy dowódca sił zbrojnych, strzeże na zewnątrz nietykalności terenu conclave. Dziś są to już raczej tylko tradycyjne symbole — kiedyś było to nieodzownie konieczne, by czynniki niepowołane trzymać z dala od wpływu na ten akt tak doniosły dla Kościoła i rozległego niegdyś państwa Kościelnego.

Niektórzy dziennikarze wymyślili sobie, że uda im się i teraz wyrzucić pewien wpływ na wyborców za pośrednictwem tej nowoczesnej potęgi, jaką jest prasa... Organ pana ministra Ciano „Il Telegrafo” zamieścił „czarną listę” kardynałów, którzy, zdaniem tego pisma, nie powinni być wybrani.

I proszę sobie wyobrazić, że obecny Papież — a wtedy kardynał Pacelli figurował na czele tej listy. Życzenia prasy hitlerowskiej szły po tej samej linii. „Telegrafo” natomiast propagował kandydaturę kardynała Della Costa, który wtedy był poważnie chory. Czy może spodziewano się, że po ewentualnym wyborze pontyfikat spędzi na spokojnej rekonwalescencji?

Dziś wiadomo, że „życzliwe” inspiracje nie odniosły żadnego skutku. Ale przed conclave zarozumiali politycy i dziennikarze żywili pod tym względem naiwne złudzenia.

Conclave było jednym z najkrótszych w historii, bo właściwie trwało tylko 6 godzin, podczas gdy np. conclave w r. 1271 trwało dwa lata i 9 miesięcy. W trzecim

głosowaniu kardynał Pacelli zostaje wybrany jednomyślnie.

Po stwierdzeniu wyboru najstarszy 88-letni kard. Granito di Belmonte w towarzystwie kard. Caccia Dominioni i Ascalesi zapytuje elekta: „Czy przyjmujesz wybór?” Nieraz elekci zawahali się w tej wielkiej chwili. Byli i tacy, co odpowiedzieli odmownie. Pius X przez kwadrans zastanawiał się nad odpowiedzią.

Kard. Pacelli zdecydował się szybko odpowiadając, że choć czuje się niegodny, to jednak wybór tak jednomyślny przyjmuje. Do kaplicy wchodzi mistrz ceremonii. Usuwa się baldachimy wzniesione nad fotelami kardynałów — zostaje tylko baldachim wybranego Papieża. Po kilku minutach ubrany w białą sutannę Papież przyjmuje hołd kardynałów, którzy zbliżają się kolejno do ucałowania ręki tegoż, w którym widzą i czczą już nie swego kolegę, ale następcę św. Piotra i z woli Bożej widzialną głowę Kościoła. Do ceremonii składania hołdu należało również, według dawnego zwyczaju, ucałowanie stopy. Obecny Papież podobno zaniechał tego zwyczaju.

W międzyczasie przed Bazyliką na rozległym placu otoczonym potężną kolumnadą Berniniego tłum rośnie z minuty na minutę. I z minuty na minutę rośnie napięcie.

Wszystkie oczy wpatrzone w wysoko wzniesiony szczyt kaplicy Sykstyńskiej. Tam ma się zjawić biały dym, pochodzący ze spalonych kartek wyborczych i oznaczający, że wyboru już dokonano. Jest piękne, wiosenne, słoneczne popołudnie. Stosownie do zapowiedzi, trzecie posiedzenie rozpoczęło się o godz. 4 p. p. O godz. 17, min. 10 nad Kaplicą Sykstyńską ukazał się biały dymek, który rósł i potężniał. Rozległ się okrzyk „Habemus Papam!” Radosna wieść zelektryzowała wielotysięczne tłumy zebrane na placu św. Piotra, rozległy się okrzyki „Evviva Papa!”, a radio poniosło tę wieść na cały świat.

Mimo niewątpliwego już wyboru nowego Papieża, nie było wiadomo, na kogo z członków św. Kolegium padł ten wybór. W najwyższym napięciu oczekiwano pojawienia się kardynała-diakona, który miał oznajmić na kogo padł wybór.

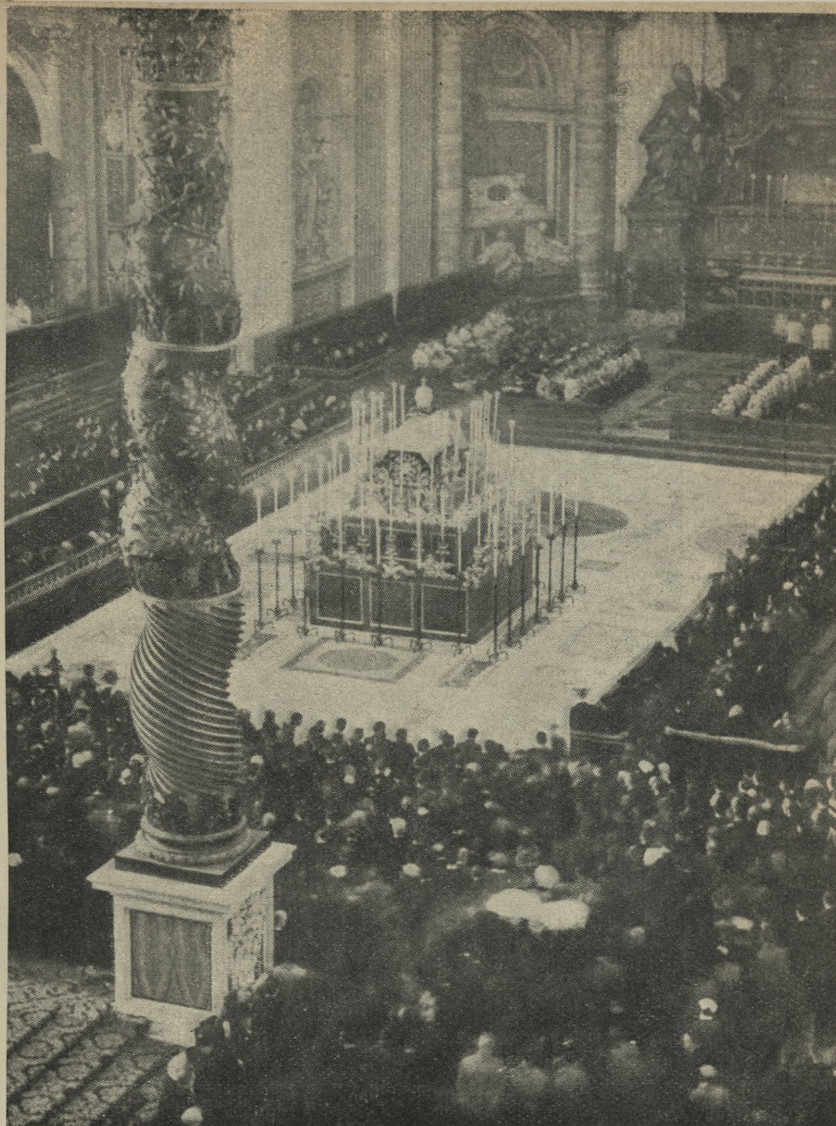
Tymczasem służba pałacowa czyniła przygotowania do otwarcia balkonu nad główną fasadą Bazyliki Św. Piotra, a następnie przyozdobienia go wielkim, wspaniałym dywanem.

\* \* \*

O godz. 18 na balkonie zewnętrznym ukazał się kardynał Caccia Dominioni i głosem donośnym oznajmił zebranym tłumom, co następuje: „Annuntio vobis gaudium magnum. Habemus Papam: Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum Eugenium Sacrae Romanae Ecclesiae Cardinalem Pacelli”. (Zwiastuję wam radość wielką. Mamy Papieża: Eminencję, Najprzewielebniejszego Eugeniusza św. Rzymskiego Kościoła Kardynała Pacelliego). Niemilkące okrzyki na cześć nowego Papieża przerwały dalszy ciąg oświadczenia kardynała. Po chwili, gdy zapanowała cisza, kardynał Caccia... „qui sibi imposuit nomen: Pius XII” (który nadał sobie imię: Pius XII).

Entuzjazm tłumów nie miał granic. Zaintonowano pieśń chrześcijaństwa: Christus regnat, Christus imperat, a następnie Te Deum.

Po kilku minutach rozległy się fanfary, ohwieszczające, że orszak papieski zbliża się do balkonu Bazyliki Św. Piotra. Na przodzie niesiono krzyż papieski, poczem postępowali kardynałowie w otoczeniu gwardii szlacheckiej, a następnie na sedia gestatoria ukazał się nowy Papież.



*Pierwsze z dziewięciodniowych nabożeństw żałobnych w Bazylice Św. Piotra.*

Kto nie widział tłumy ludu rzymskiego, manifestującego swą radość, ten nie zdoła wyobrazić sobie widoku, jaki przedstawiał w tym dniu plac św. Piotra, widziany z wysokości galerii nad kolumną Berniniego. Morze głów, falujące i ruchliwe, entuzjastyczne okrzyki „Evviva Papa”, burza oklasków, a potem potężny starochrze-

*Marszałek conklawe podpisuje akt śmierci Papieża.*





Tłumy wiernych płyną nieustannie do Bazyliki Św. Piotra, by oddać hołd zmarłemu Papieżowi.

„Sfumata bianca”, biały dym oznaczający, że wybór Papieża już dokonany.



scijański chorał „Christus vincit” (Chrystus zwycięża) i Te Deum, płynące z dziesiątków tysięcy piersi.

Całość obrazu ujęta w ramy potężnej kolumnady, otaczającej półkolem plac, jak dwa gigantyczne ramiona, które matka kościołów świata, majestatyczna Bazylika Św. Piotra, wyciąga daleko, by objąć ten tłum niezliczony. Wysoko między kolumnami-olbrzymami na balkonie Bazyliki biała postać Papieża w otoczeniu kardynałów i gwardii szlacheckiej błogosławi „Urbi et Orbi” — Miastu i Światu. Nastaje moment uroczystej ciszy, zginają się kolana, pochylają głowy, jakby na przyjęcie łaski spływającej z niebios.

Rozlega się dźwięczny i donośny głos Ojca św., rozpoczynającego błogosławieństwo „Sit nomem Domini benedictum... Adiutorium nostrum in nomine Domini... Benedicat vos omnipotens Deus Pater et Filius et Spiritus Sanctus”. Lud zgromadzony odpowiedział wielotysięcznym „Amen”.

Na cześć Papieża rozlegają się entuzjastyczne i niemilknące okrzyki „Eviva Papa”. Wzruszony Ojciec św. kilkakrotnie wznosi ręce, dziękuje i błogosławi.

\* \* \*

Wielki dzień wyboru dobiegał końca. Specjalny korespondent „Paris-Soir” tak opisuje zakończenie pierwszego dnia nowego Papieża.

Po powrocie do swych apartamentów, przyjął raporty prałatów i oficerów gwardii, którzy pełnili swe funkcje podczas tego krótkiego konklawe.

Zapadła noc. Wybiła godzina osma. Jeden z kardynałów zwraca się do Papieża z zapytaniem, czy nie chciałby przyjąć posiłku. Pius XII potrząsa głową.

— Podajcie mi świecę — mówi nagle.

Z pewnym zdziwieniem przynoszą zapaloną świecę.

— Chcę pozostać sam... — padają słowa papieskie.

I wielkimi, cichymi krokami zszedł Pius XII poprzez loggie Rafaela i schody królewskie do kościoła Św. Piotra. Ogromna Bazylika była już pusta. Papież zatrzymał się u wejścia do podziemi. Oficer gwardii, kapitan Ponti, otworzył drzwi i zapalił światło. Poprzedzany przez oficera, Papież zszedł po schodach i z głową opuszczoną kroczył wśród białych grobów swych poprzedników. Wreszcie oficer zatrzymał się.

— Ojczy święty, oto tu...

Na białym, świeżym grobie, bez żadnych ozdób, widniał wyryty świeży napis: Pius XI.

Papież ukląkł na oba kolana. I w tej chwili uczył może ten straszny ciężar odpowiedzialności za miliony ludzi, którzy obdarzyli Go swym największym zaufaniem. Pius XII klęczał długo, pogrążony w modlitwie. Wreszcie podniósł się, by wrócić do swojej celi, która nosiła nr 13 i dziwnym zbiegiem okoliczności była tą samą, jaką zajmował w roku 1922 kardynał Ratti przed swym obieraniem na Papieża. Jego następcę spędził pierwszą noc swego pontyfikatu, leżąc na wąskim łóżku żelaznym — tym samym, które zajmował niegdyś jego wielki poprzednik, Pius XI.

„Habemus Papam”. Moment ogłoszenia wyboru Papieża.



12 marca dzień uroczystej koronacji. Nie podajemy opisu tej uroczystości jedynej w swym rodzaju. Czytelnicy przy głośnikach radiowych przeżywali te wielkie chwile wraz z setkami tysięcy tych, którym los pozwolił być blisko. Warto podkreślić jednak niezwykle tłumny udział wiernych w

koronacyjnych uroczystościach.

Zgłoszeń po karty wstępu do Bazyliki wpłynęło około 30.000. Przy całym swym ogromie Bazylika Św. Piotra może pomieścić zaledwie szóstą część tej liczby. Wobec tego sama koronacja odbyła się nie w Bazylice, lecz na balkonie zewnętrznym, skąd zwykle Papież udziela błogosławieństwa tłumom, zebranych na Placu Św. Piotra. Plac i przyległe doń wolne przestrzenie, ciągnące się aż do Tybru (ulica Pojednania), były szczelnie wypełnione zwartą masą ludzi. Ilość uczestników oblicza się na setki tysięcy. Cyfra pół miliona nie będzie grubo przesadzona. I nie był to tłum tylko ciekawy widowiska. Ci ludzie żywy brali udział w radosnym obchodzie, żywiołowo, burzliwie manifestowali swe uczucia przywiązania, życzliwości i głębokiej czci dla tego, który zrządzeniem Opatrzności stał się najwyższym sternikiem Kościoła. Rzym, który dużo już widział w swej tylowiekowej historii, nie widział chyba potężniejszej manifestacji.

Wybór nowego Papieża odbił się żywym echem w całym świecie. Rządy prawie wszystkich państw, nawet niekatolickich, jak Stany Zjednoczone czy Anglia, wysłały specjalnych przedstawicieli na uroczystości koronacyjne. Z państw kulturalnych tylko Sowiety nie nadesłały życzeń z tej okazji. Mówiono wprawdzie, że tak samo postąpił rząd niemiecki, ale ta informacja okazała się błędną.

Spółeczeństwa zachodnio-europejskie przyjęły wybór kard. Pacelliego z specjalną życzliwością. Jak zauważa francuski tygodnik „Temps Présent”, nawet najbardziej

antyklerykalne zazwyczaj gazety nie ośmieliły się iść wbrew prądowi powszechnego entuzjazmu, z jakim społeczeństwo przyjęło wiadomość o dokonanej wyborze. Owszem większość prasy lewicowej wita w nowym Papieżu godnego następcę Piusa XI, widząc w nim obrońcę

godności człowieka i jego duchowej wielkości. Wyraźny powiew chrystianizmu da się odczuć nawet w tych dziennikach, które zwykle widziały w religii tylko opium dla ludu, a w duchowieństwie tylko służę „reakcji” i „faszyzmu”. Cała prasa zachodnio-europejska wyraża przekonanie, że nowy Papież będzie przede wszystkim bardziej niż kiedykolwiek czynnikiem pokoju w skołatanej walkami ideologicznymi Europie.

\*

Na zakończenie kilka szczegółów z biografii Jego Świątobliwości:

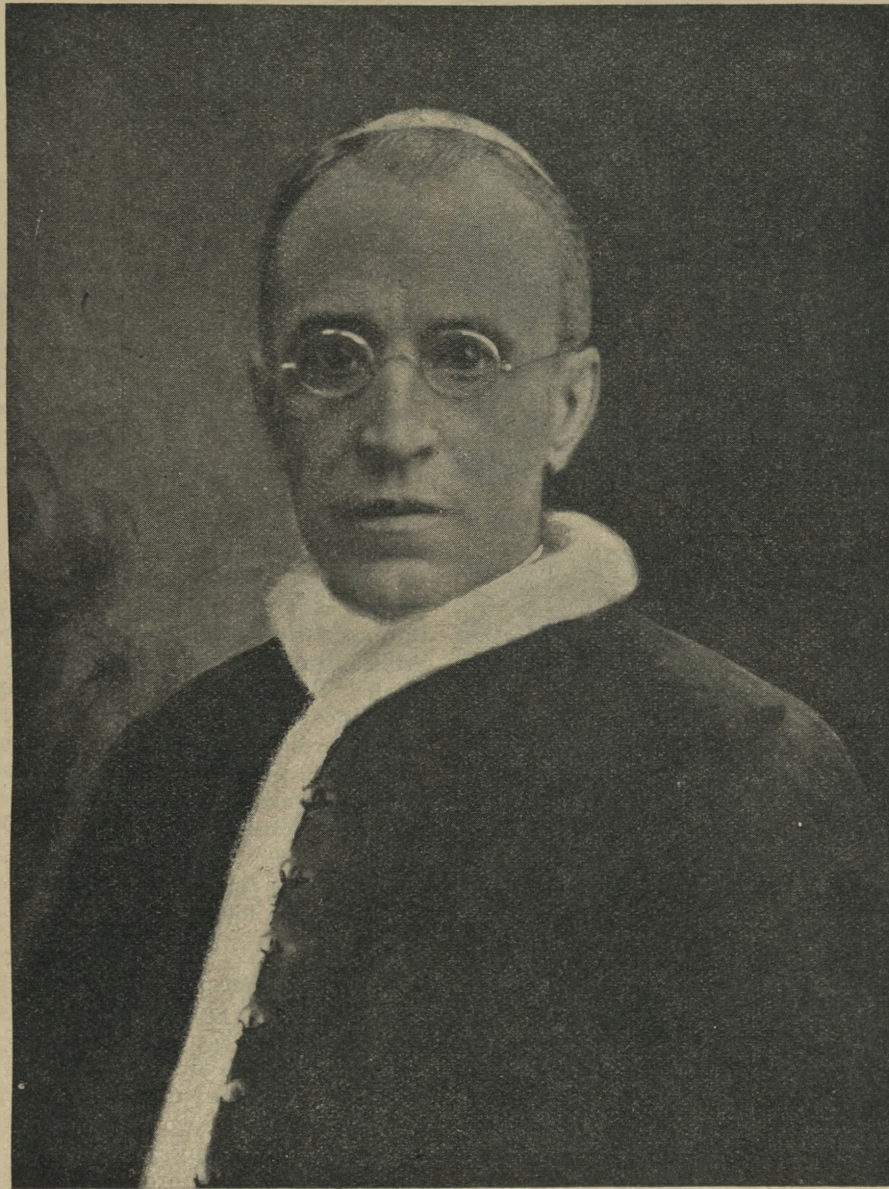
Obrany w dniu pierwszym konklawe Papieżem kardynał Eugeniusz Pacelli, który przyjął imię Piusa XII, jest rodowitym rzymianinem. Urodził się dn. 2 marca 1876 r. Pochodzi z rodziny prawniczej. Ojciec jego był dziekanem adwokatów konsystorialnych, brat zaś, Franciszek,

należał do głównych współpracowników przy zawieraniu paktów laterańskich.

Studia teologiczne ukończył w Papieskim Seminarium Rzymskim i w Instytucie Św. Apolinarego; święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1899.

Wysoce inteligentny, pracowity i gorliwy młody kapłan przyjęty został w charakterze aplikanta do biur Św. Kongregacji Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych, rozpoczynając karierę dyplomatyczną, której już nie opuścił aż do chwili wyboru na Papieża.

W dniu 22 czerwca 1917 r. papież Benedykt XV, udzieliwszy prałatowi Pacelliemu sakry biskupiej w Kaplicy Sykstyńskiej, mianował go nuncjuszem apostolskim w Monachium, udzielając jednocześnie godności arcybiskupa tytularnego Sardes. Działalność nuncjusza Pacelliego przypadła na okres bardzo trudny. Obok zadań



Ojciec św. Pius XII.



dypłomatycznych, delikatnych i wymagających wielkiego taktu, arcybiskup Pacelli rozwinął tu wielką inicjatywę w dziedzinie miłosierdzia chrześcijańskiego, opiekując się jeńcami, więźniami i w ogóle wszystkimi cierpiącymi z powodu wojny. Tu też, w Monachium, arcybiskup Pacelli podjął w r. 1920 negocjacje, które doprowadziły do konkordatu zawartego w dniu 29 marca 1924 r.

Po przeniesieniu na urząd nuncjusza w Berlinie, arcybiskup Pacelli osiągnął po długich, wyczerpujących pertraktacjach tę pociechę, że w dniu 25 czerwca 1925 r. podpisany został konkordat z Rzeszą Niemiecką.

Wszystkie te zasługi spowodowały, że na konsystorzu w dniu 16 grudnia 1929 r. papież Pius XI obdarzył msgr Pacelliego purpurą kardynalską tytułu św. Jana i Pawła. Wkrótce po tym, po ustąpieniu kardynała Pietro Gasparriego, kardynał Pacelli mianowany został w dniu 7 lutego 1930 r. sekretarzem stanu.

Jako sekretarz stanu kardynał Pacelli cieszył się ze względu na swą wysoką inteligencję i wielki takt całkowitym zaufaniem i poważaniem ze strony Piusa XI. Za czasów urzędowania kardynała Pacelliego w charakterze Sekretarza Stanu zawarto konkordaty z Rumunią, Badinią, Austrią — i dotąd nie ratyfikowany — konkordat z Jugosławią.

W herbie nowego Papieża widnieje m. in. gołąb z gałązką oliwną w dziobie, a dewizą jego jest „opus iustitiae pax” (pokój dziełem sprawiedliwości).

Mało komu wiadomo, że w archikatedrze Św. Jana w Warszawie znajduje się nagrobek Asprillio Pacelliego, urodzonego w r. 1570 w Vacciano pod Narwi we Włoszech. Pacelli z zawodu był wybitnym muzykiem i kompozytorem, a od r. 1603 dyrektorem nadwornej kapeli króla Zygmunta III w Warszawie, gdzie zmarł w r. 1623. Napis na nagrobku głosi, że „twórczością, wykształceniem, geniuszem i wielkością dziwną wszystkich współczesnych w sztuce swojej przeszedł”, a królewską kapelę „po całym świecie chrześcijańskim najślawniejszą przez 20 lat uczynił i dziwnie melodyjnie a słodko grać nauczył”.

W tak zwanym proroctwie św. Malachiasza obecny Papież obdarzony jest tytułem „Pastor Angelicus” — Pasterz Anielski. Według tego samego proroctwa miał on przyjąć imię Grzegorza i ma mieć już tylko 6 następców. Ostatnim papieżem ma być Piotr Rzymianin. Za jego pontyfikatu proroctwo zapowiada zburzenie Rzymu i sąd ostateczny. Możemy jednak pocieszyć młodszych czytelników, że tego proroctwa nie należy brać zbyt serio. Nie pochodzi ono wcale od św. Malachiasza, gdyż ten święty umarł w r. 1148, a proroctwo ukazało się dopiero 1595 r. w książce „Lignum vitae” Arnolda de Wyon.

Ale to nie przeszkadza, by Pius XII był naprawdę „Pastor Angelicus”. Podobno już za czasów, gdy był nuncjuszem powiedział ktoś o nim: „To nie nuncjusz, to anioł”. Trzeba zaprawdę anielskiej bystrości umysłu, siły i anielskiej cierpliwości, by być pasterzem takich owiec, jak człowiek dzisiejszy... Ci, którzy poznali osobę nowego Papieża, są przekonani, że tych cnót mu nie zabraknie.

Od góry: Zaraz po swym wyborze Papież poświęcił sztandar gwardii palatynskiej.

W środku: Papież w drodze do Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie odbyła się ceremonia hołdu kolegium kardynalskiego.

Na dole: Pierwszy dzień nowego Papieża: Pius XII podczas hymnu dziękczynnego „Te Deum”.



# KOLONIE I SUROWCE

Okres teoretycznych przygotowań zagadnienia naszych żądań kolonialnych i surowcowych uległ zakończeniu.

Pragniemy zamknąć kartę naszej bezinteresowności, gdy zasługi polskiej emigracji w dziale ekspansji na odległych morzach i lądach, pomnikowa jej rola współtwórcza w dorobku cywilizowanego świata, zapisane były wyłącznie tylko na konto innych.

Wspomnijmy pamięcią do ostatnich dziesiątków lat ubiegłego stulecia, gdy Stefan Rogoziński, młody podróżnik polski, wyruszył na dziewicze tereny bezpańskiego wówczas Kamerunu. Przez okres czterech lat polska wyprawa zdobyła ląd faktycznie, przynosząc nauce szereg bezcennych korzyści, lecz sam afrykański Kamerun stał się terenem kolonialnej rozgrywki innych państw kontynentu.

Z placerów złota, odkrytych w latach australijskiej podróży Edmunda Strzeleckiego, została nam tylko nazwa szczytu górskiego, noszącego do dziś imię polskiego bohatera narodowego — Kościuszki. Złoto stało się później własnością dominiów Wielkiej Brytanii.

Wychodźstwo polskie, zdobyło nie tylko własną pozycję, utrzymując się wielokrotnie na wysokich szczeblach hierarchii społecznej, ale wniosło ze sobą nieprzemijające wartości do ogólnej skarbnicy kultury i cywilizacji, przyczyniając się tym do wydatnego podniesienia dobrobytu krajów, w których żyło.

Robotnik polski przyczynił się do rozwoju przemysłu i rolnictwa Nowego Świata, niestrudzone ręce polskiego robotnika i górnika współpracowały w odbudowie zdevastowanych po kataklizmach wojennych lat 1914/15 obszarów Francji. Chłop polski przemienił dziewicze, nietknięte stopą ludzką puszcze brazylijskie w najbardziej kwitnące pod względem gospodarczym ziemie południowo-amerykańskie. Kilof polskiego górnika w Niemczech umożliwił rozkwit niemieckiego górnictwa.

Doskonale więc zdajemy sobie sprawę z tego, ile rzetelnego wysiłku włożyła nasza emigracja w budowę cywilizacji kraju zamieszkania, unaoczniają się nam wszystkie pionierskie walory polskiego chłopca i robotnika, jego tężyzna i wytrzymałość.

Trzeba nareszcie, by twórczy wkład tych pionierów był zapisany na dobro naszego gospodarstwa narodowego. Do tego potrzeba Polsce własnych terenów zamorskich — kolonii.

Kraj nasz posiada własne potrzeby gospodarcze, wadliwą strukturę społeczną i wysoki procent elementu napływowego — mniejszości żydowskiej. Stwarza to rozległą płaszczyznę słusznych uzasadnień, z których jasno wynika konieczność, niecierpiącego zwłoki, radykalnego, rozwiązania naszych potrzeb zamorskich.

Coraz częściej spotykamy się z opinią, że: — gospodarcze potrzeby Polski, domagające się intensywnego jej uprzemysłowienia, zmierzają do poszukiwania taniego źródła surowców i rentownego rynku zbytu dla własnych wyrobów. —

W dzisiejszych rozwojowych warunkach świata, terytoria kolonialne względnie najistotniej odpowiadać mogą równocześnie obu tym celom. Osiągnięcia kolonialne, powiększając pośrednie i bezpośrednie środki zarobkowania obywateli i podnosząc ich dobrobyt, uwielokrotnią ponadto chłonność polskiego rynku na produkcję bardziej doświadczonego przemysłu państw z Zachodu.

Stąd też, wyrzekając się teoretycznych raczej korzyści w niektórych własnych koloniach, państwa te, uzyskują wzamian efektowne zarobki ze swych spotęgowanych stosunków z rozwijającym się gospodarstwem Polski.

Nasz dotychczasowy bilans handlowy ze źródłami surowców egzotycznych: Ameryką, Azją, Afryką i Oceanią był i jest w dalszym ciągu deficytowy.

W okresie czternastu lat, pomiędzy rokiem 1925 — 1937, nadpłaciliśmy importerom hadlu zamorskiego olbrzymią sumę 4.220 milionów złotych za przywiezione produkty i surowce kolonialne. Wyłącznie za surowce włókiennicze, potrzebne do przemysłu tekstylnego, oraz za wyroby z nich, zapłaciliśmy państwu kolonialnym w roku ubiegłym 348 milionów złotych, przy wywozie z tego działu określonym na sumę 89 milionów zł. Daje to jednoroczny deficyt, w jednym tylko dziale naszego importu, wyrażający się cyfrą blisko 260 milionów złotych.

Między innymi przywozimy do Polski z krajów zamorskich: wełnę i odpadki, bawełnę i odpadki, skóry surowe i futrzane, przędzę, kawę, kakao, herbatę, korzenie, tłuszcze i oleje roślinne i zwierzęce, ryż, jutę, nasiona, ziarna, owoce-oleiste, koprę, kauczuk surowy i myty, tytoń, owoce i jagody.

Jak widzimy, nasz bilans płatniczy w obrotach z państwami kolonialno-zamorskimi jest wybitnie ujemny, i zadaniem jest więc naszym wpłynąć na jego równowagę, drogą spełnienia wyżej argumentowanych postulatów.

Jednocześnie zdać sobie należy sprawę, że konieczność uprzemysłowienia Polski wypływa z potrzeby wyżywienia zbyt gęsto osiadłej i wciąż powiększającej się ludności.

Bowiem Polska ze swymi blisko 35 milionami ludności należy do największych państw europejskich, nie tylko pod względem liczby mieszkańców, ale i gęstości zaludnienia.

Na powierzchni 1 km przypada w naszym kraju przeciętnie 86 osób (we Francji 76), przy czym w dzielnicach zachodnich odsetek ten ulega powiększeniu, sięgając na Śląsku 308. Procent ten zwiększa się z roku na rok, gdyż Polska jest krajem o wyjątkowo dużym przyroście naturalnym (12,3 na 1.000 mieszkańców, gdy w Italii 10, Niemczech 3,5, a we Francji tylko 0,5).

Rocznie przybywa więc Polsce około 500 tys. nowych obywateli, którzy tak jak inni mają prawo do pracy i chleba...

Najszybsze jednak tempo osiągnąć na drodze industrializacji kraju nie zaabsorbują całej nadwyżki ludnościowej, tak nieproduktywnie ciężającej nad poczynaniami polskiego gospodarstwa. Stąd też konieczność odpływu

## SKÓRY

surowe wszystkie skupujemy.

## FUTRA

wszelkie dostarczamy — naprawiamy — modernizujemy.  
GARBUJEMY — FARBUJEMY

Prowincja poczta.  
Ilustrowane katalogi, 32 str., 25 gr znaczkami.  
Przedstawiciele — skupujących — poszukujemy.

**POLSKA CENTRALA SKÓR I FUTER**  
Sp. z o. o. Poznań, Focha 27.



*Dzieci murzyńskie bardzo lubią bawić się w szkołę.*



*Produkty kolonialne: orzechy kokosowe.*

*Wędrowna dentystka kolonialna i jej pacjentki.*



nadwyżki wolnych rąk rolnika, robotnika i inteligenta.

Wśród demograficznych argumentów, uzasadniających polskie postulaty kolonialne, figurować również winna i sprawa żydowska. Rozwój bowiem wsi polskiej, unarodowienie polskiego gospodarstwa, oraz wyłącznie jednostronny układ społeczny Żydów, ogromnie utrudni dalsze ich bytowanie w granicach Polski.

Emigracja żydowska poszukać musi nowych, mało zaludnionych terenów, istniejących niewątpliwie w krajach zamorskich. W kierunku znalezienia naszych obszarów powinny więc pójść wysiłki organizacji żydowskich, reprezentujących interesy polityczne i gospodarcze Żydów w krajach, które wolnymi obszarami jeszcze dysponują.

Tolerowanie dzisiejszego stanu rzeczy nie tylko zahamuje rozwój naszego kraju, lecz w jeszcze większym stopniu spauperyzuje szerokie masy Żydów. Jedynym więc ratunkiem jest emigracja, a jedynym jej odbiornikiem kolonie.

Oprócz powyższych argumentów, uzasadniających słuszność postulatów Polski, z których realizacji wynikają niebawem korzyści dla naszego gospodarstwa narodowego, zastanówmy się, jakie inne korzyści przyniesie nam posiadanie własnych obszarów kolonialnych.

Przede wszystkim, jak słusznie możemy przypuszczać, wzrosnie prestige polityczny naszego państwa, skoro jego wpływy gospodarczo-polityczne i kulturalne rozciągną się na inne kontynenty.

Przedwojenne Niemcy zaczęły odgrywać coraz poważniejszą rolę na Oceanie Indyjskim, a nawet Spokojnym, mając posiadłości kolonialne położone w pobliżu wielkich dróg morskich do Indyj i na Daleki Wschód. Z drugiej zaś strony znaczenie na Oceanie Spokojnym pierwszorzędnego niegdyś państwa kolonialnego, jakim była Hiszpania, upadło w tym momencie, gdy kraj ten utracił wyspy Filipiny i Karoliny.

Posiadanie kolonii zamorskich jest związane z pewnymi korzyściami kulturalnymi. Nadarza się przez to sposobność rozszerzenia wpływów naszej kultury narodowej na inne kraje i ludy. Naród, organizujący kolonie, może w pokojowym oddziaływaniu na inne ludy pokazać, jakimi rozporządza wartościami kulturalnymi i jaką siłą abstrakcyjną reprezentuje jako organizacja polityczna. Sposób w jakim się rządzi kolonią i oddziaływa na nią kulturalnie, jest najlepszym dowodem uzdolnień danego społeczeństwa do współpracy kulturalnej na szerokiej platformie międzynarodowej. Zarząd tak wielkim i bogatym krajem, jakim są Indie, przez Anglików, musi uchodzić, mimo niektórych błędów, które administracja angielska popełnia, za niezbitą dowód wysokich uzdolnień kulturalnych i politycznych narodu angielskiego.

Jedną z ważnych korzyści gospodarczych — jakie nam mogą przynieść kolonie zamorskie, to rozbudowa własnej marynarki handlowej, która wówczas zyskuje naturalne podstawy swojego rozwoju. Tu dopiero otwiera się droga do zdobycia i zapewnienia sobie znaczenia na morzu.

W związku z korzyściami natury gospodarczej pozostają — rzecz dziwna — korzyści natury moralnej. Gospodarka kolonialna państwa kolonialnego musi być samodzielną. Nie może ona wyręczać się siłami innymi, a więc obcą flotą, obcym aparatem administracyjnym, nawet do pewnego stopnia obcym kapitałem. Gdy to nastąpi, wtedy posiadanie kolonii, jak to widzieliśmy na przykładzie Konga Belgijskiego, staje się iluzją. Tylko narody posiadające zdolności samodzielnego rządzenia

się i gospodarowania, mogą zapewnić sobie należyte korzyści ze swych posiadłości kolonialnych.

Gdy omawiamy dziedzinę wpływów moralnych i wychowawczych, to z całym naciskiem należy podkreślić, że kolonie są doskonałą szkołą administracyjno-polityczną i wojskową. Wszyscy wielcy mężowie stanu Wielkiej Brytanii wyszli z administracji kolonialnej.

W koloniach angielskich ujawniły się przede wszystkim talenty gospodarcze, administracyjne i wojskowe.

Obrazując na tym miejscu korzyści, które przyniesie nam posiadanie kolonii, nie chcemy przyrmykać oczu na trudności następujące się przy zdobywaniu kolonii, ani zatajać ujemnych stron posiadania własnych posiadłości zamorskich.

Są nimi — niewątpliwie — kosztowna administracja, małe zyski skarbowe dla państwa, potrzeba większych kapitałów na ożywienie życia gospodarczego, zwłaszcza w pierwszych okresach gospodarki kolonialnej, dalej przeszkody tkwiące w tubylczej ludności i samym kraju, a więc zabójczy klimat, choroby klimatyczne itp.

Pomimo powyższych trudności, reasumując, kolonie najwidoczniej się opłacają, skoro wielkie i małe państwa wcale się ich nie myślą pozbywać, a nawet z zazdrością patrzą na wzrost obszarów kolonialnych lub nowych terenów ekspansji gospodarczej u swych sąsiadów. U społeczeństw rzutkich i przedsiębiorczych kolonie przyczyniają się — niewątpliwie — do wzrostu dochodu społecznego. W tym leży może główna treść polityki i gospodarki kolonialnej.

Pod względem powierzchni największe kolonie, dominia, protektoraty i mandaty posiada Wielka Brytania. Imperium brytyjskie, posiadające całej powierzchni około 34.334 tys. km<sup>2</sup>, oblicza posiadłości kolonialnych na 34.089 tys. km<sup>2</sup>. Francja posiada terenów kolonialnych 11.880 tys. km<sup>2</sup>, Stany Zjedn. Ameryki 1.844 tys. km<sup>2</sup>. Włochy 3.303 tys. km<sup>2</sup>, Belgia 2.440 tys. km<sup>2</sup>, Portugalia 2.099 tys. km<sup>2</sup>, Holandia 2.055 tys. km<sup>2</sup>, Hiszpania 333 tys. km<sup>2</sup>, Japonia 299 tys. km<sup>2</sup>, Norwegia 63 tysiące km<sup>2</sup>, a nawet Dania posiada 313 tys. km<sup>2</sup> Grenlandii wolnej od lodów.

Państwa kolonialne, są to państwa bogate. Kto więc pragnie, ażeby Polska była bogata, nie może o tym zapomnieć, że jedną z dróg, prowadzących do powiększenia bogactwa Polski, są kolonie.

Zdecydowane stanowisko, solidarna wola zrealizowania naszych postulatów kolonialnych, znajduje coraz częściej rezonans, zarówno w dyskusjach polskiej opinii publicznej, w debatach naszych ciał ustawodawczych,

*Drogi kolonialne nie są dobre, ale nie wiele gorsze od poleskich.*



*Polska gryka i amerykańskie banany rosną zgodnie obok siebie w kolonii „Morska Wola” w Ameryce Południowej.*



*Kolonia polska „Morska Wola”.*

*Prymitywna waga kolonistów polskich w Candido de Abreu w Brazylii.*



oświadczeniach czynników rządowych, jak i na forum międzynarodowym.

Generalny referent budżetu, pos. Z. Sowiński, syntetyzując poglądy członków komisji budżetowej, stwierdził, że: „pilność rozwiązania zagadnienia kolonialnego dla Polski wysuwa się na plan pierwszy. Walka o zdobycie rynku kolonialnego i surowcowego, to walka o wolny oddech przeszło 34 milionowego państwa”.

Nie tylko Sejm Rzeczypospolitej wysuwał zagadnienie kolonii na czołowe miejsce. W senackich obradach nad budżetem M. S. Z. referent sen. Katelbach podkreślił jak dużą wagę posiada dla nas problem surowcowy, apelując jednocześnie o praktyczne i realne podejście do zagadnienia kolonialnego: — Dotychczasowi posiadacze terenów kolonialnych nie wyzyskują należycie posiadanych terenów, traktując swe posiadłości wyłącznie pod kątem widzenia eksploatacji kapitalistycznej. Dziś, aby władać koloniami, trzeba w nich siedzieć, trzeba się stać autochtonami, trzeba być w nich obecnym fizycznie i kulturalnie. Będziemy więc oczekiwać od rządu, zakończył sen. Katelbach, przygotowania i przeprowadzenia polskiej ekspansji na tereny kolonialne. —

Zdawać się mogło, że złożone oświadczenia posłów i senatorów pozostaną tylko drogowskazami, staną się tylko wyrazem opinii, bez natychmiastowej reakcji ze



ZANZIBAR. PICKING CLOVES

Zbiór gwoździków.

## GDY CHCECIE SCHUDNAĆ

pamiętajcie o ziołach Magistra Wolskiego na przemianę materii ze znakiem ochronnym „Degrosa“, które stosuje się przeciwko otyłości. Zawierają one jod organiczny w roślinie morskiej Yahanga, który pobudza organizm do spalania nadmiernego tłuszczu. Stosuje się je przeciwko otyłości bez specjalnej diety. Do nabycia w aptekach i drogeriach.

strony kierownictwa naszej polityki zagranicznej. Tymczasem obecny na obradach wiceminister Szembek uznał autorytatywnie, że problem kolonialny jest dla nas jedną ze spraw najżywotniejszych.

Podsekretarz stanu, p. Szembek, stwierdził, że: — do kwestii wysuwających się obecnie na czoło zagadnień państwowych należą niewątpliwie problemy demograficzne i surowcowo-kolonialne. Zagadnienie surowca postawione na terenie Ligi Narodów utopione zostało w procedurze i rozwiązaniach ogólnych. Wobec tego, Polska musi szukać własnych dróg, które by jej zapewniły swobodny dostęp do niezbędnych dla jej pełnego rozwoju gospodarczego surowców w sposób niezagrażający bilansowi płatniczemu.

Rząd polski, oświadczył p. wicemin. Szembek, podkreślił kilkakrotnie, że z chwilą wszczęcia dyskusji kolonialnej w skali międzynarodowej zastrzega sobie prawo wyśunięcia również swoich zainteresowań. —

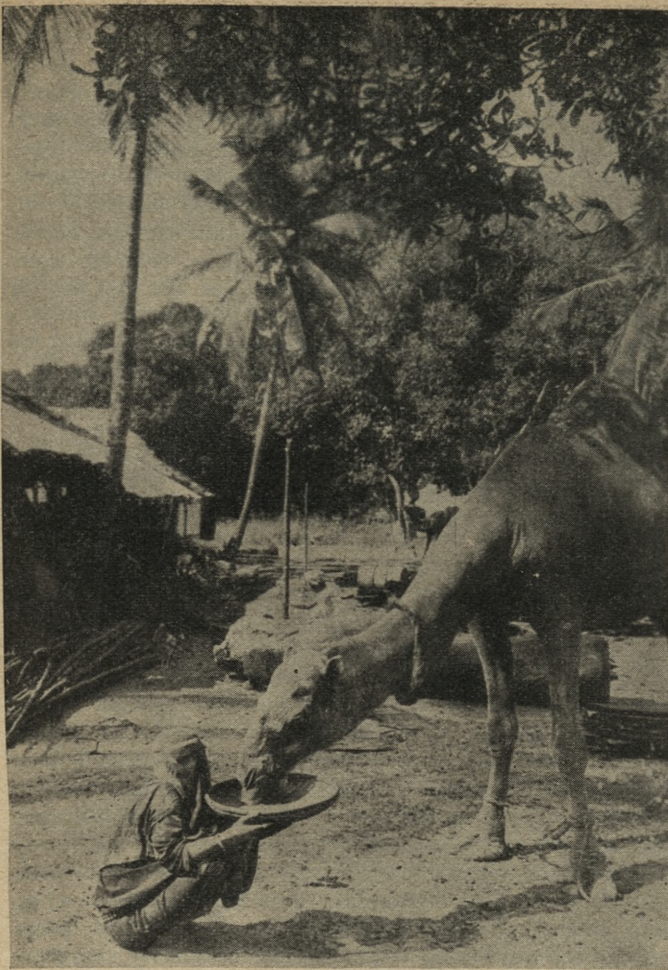
Nasze potrzeby kolonialne potwierdzone zostały ponownie urzędowo, a zaznaczyć trzeba, że problemy surowcowo-kolonialne dyskutowane są nawet w opinii narodów, w których ręce skupia się całość imperium kolonialnego.

Przykładem tego najświeższym są rozmowy Berlin — Londyn. Politycy znad Sprewy domagają się rozwiązania kolonialnych, których dyskusja uzależnia dalsze pertraktacje z Londynem. Także prasa zagraniczna obu osi z wielką uwagą podkreślała wizytę min. Ciano w Warszawie, podczas której pomiędzy innymi, wyrażać miano pewne sugestie na tematy przypuszczalnych oświadczeń min. Becka, dotyczących rozwiązań surowcowo-kolonialnych, gdy polski minister spraw zagranicznych przebywać będzie w Londynie.

Wielką sensacją dla wszystkich kół politycznych był artykuł Gaydy, w „Giornale d'Italia“, który poruszył znów sprawę kolonii, a zwłaszcza żądań kolonialnych Polski. Gayda powrócił wraz z min. Ciano z Warszawy do Rzymu i dlatego artykuł jego uważany jest za bezpośrednie echo kontaktów polsko-włoskich.

„Polska wkrótce zgłosi swe żądania kolonialne — pisze Gayda — podkreślając dalej, że Włochy, Polska i Niemcy mają prawo do kolonii wskutek stałego i wysokiego przyrostu liczby ludności”.

W kołach politycznych podkreślany jest fakt, że Gayda polemizował z długim artykułem „Timesa“, który jego zdaniem wymaga wyczerpującej odpowiedzi. „Times stwierdzał, że kolonialne żądania Polski, Włoch i Niemiec nie posiadają podstaw prawnych, na co publicysta włoski daje odpowiedź, że podstawą do żądań kolonialnych wspomnianych państw jest niezaprzeczony fakt: — przewaga trumien nad kołyskami we Francji i Wielkiej Brytanii. —



*Sielanka w oazie.*

ANNA BRAND, tłumacz. z angielskiego.

## GINĄCY CZAR

Filipe przeciągnął się przed stalugami i spojrzał na smugę światła na podłodze, z położenia której obliczał przypuszczalny czas. W tej chwili dosięgła do kraty, wobec tego była już dziewiąta, pora, w której Juanita szła na rynek po zakupy dla matki.

Juanita przechodziła tylko raz każdego dnia i Filipe nie mógł przepuścić tej okazji. Swoim ukazaniem wywoływała jakby nieprzerwany sznur obrazów i olśnionemu młodzieńcowi podsuwała szaleńcze myśli, pomimo że nie łudził się co do losu artysty, żywiącego się zależnie od woli Boskiej i przeważnie mieszkającego w nędznych zaułkach, chyba żeby mu się udało dogodzić artystycznym wymaganiom któregoś z wielmożów. A i to też zależało od osobistego szczęścia — przeważnie ci wielmożni byli twardzi przy płaceniu, ledwie po przyjętych dwóch, albo i więcej obrazach, zaczęli przebąkiwać o cenie.

Filipe opuścił paletę i podskoczył do okna, mimo dręczących go wyrzutów sumienia. Właściwie tego dnia nie powinien porzucać swej pracy. Wykończył portret Senory Saavedra, żony sędziego, mieszkającej w pięknym pałacu i która obiecywała mu duże wynagrodzenie, o ile będzie zadowolona.

Jednocześnie prawie, głosy prasy paryskiej, są niezbitym dowodem zrozumienia naszych potrzeb kolonialnych u francuskiej sojuszniczki.

— Od dłuższego już czasu — pisze Henri de Kerillis w artykule pt. „Vive la Pologne”, zamieszczonym na łamach „L'Époque” — Polska zaznajamiała nas ze swymi pragnieniami w dziedzinie kolonialnej. Nie żąda ona wcale jakiego terytorium. Żąda tylko, abyśmy przyjęli część nadwyżki jej Żydów. Domaga się, abyśmy przyjęli polskich chłopów, kolonistów. Abyśmy odstąpili jej eksploatację minerałów, przede wszystkim żelaza, w Gwinei lub innych koloniach, gdzie nie robimy absolutnie nic... —

Deputowany z Neuilly, tak precyzuje swój pogląd na powyższe zagadnienie: — Mądra, inteligentna polityka Francji polegałaby na zaspokojeniu tych żądań. Królowie Francji mieli także sprzymierzeńców w Europie — ale pomagali im zarówno pod względem gospodarczym, jak i każdym innym. —

Podobne stanowisko wypowiedział diametralnie różny „Populaire” artykułem socjalisty, p. Brossolette, oraz organ prawicy francuskiej „Le Petit Bleu”, podobne myśli rzucają także publicyści „Le Petit Parisien”, biorąc udział w powszechnej dyskusji na temat współpracy polsko-francuskiej, z jednoczesnym zrozumieniem jej potrzeb kolonialno-surowcowych.

Reasumując, wydaje się nam godnym podkreślenia, że w powyższych poczynaniach gospodarczych, gdy idzie o rozbudowę i uzdrowienie naszej struktury społeczno-gospodarczej na płaszczyźnie światopoglądu ekonomicznego doktryn katolickich, walory wnoszone przez Polskę będą stosunkowo większe — tym słuszniej więc i szybciej powinniśmy wejść w przynależne nam teoretycznie uprawnienia.

Jakkolwiek zależało mu na jak najszybszym wykończeniu, rzucił paletę i przycisnąwszy twarz do kraty, z bijącym sercem spojrzał w dół ulicy.

Już się zbliżała — ze spuszczonej oczami, ciemnymi, lśniącymi splotami, wymykającymi się spod fałd białej, koronkowej „mantilli”.

— Stokrotnie przepraszam, Seniorito — wyrzucił jak z procy Felipe — czy mogę zapytać, która godzina? — Było to stale powtarzające się pytanie, by móc ją zatrzymać i by wobec przechodniów brzmiało niewinnie.

Podniosła oczy i przez chwilę była jakby zdziwiona niezrozumiałym pośpiechem z jego strony. Czyż nie więcej wskazanym byłoby spokojnie i powoli korzystać z tych krótkich chwil spotkania?

Spojrzała w bok i przysunęła się bliżej do okna, ostentacyjnie przepuszczając starego piekarza.

— Bardzo mi przykro, Senior, lecz nie mam przy sobie zegarka. Ale gdy wychodziłam z domu była za dziesięć minut dziewiąta — odpowiedziała łagodnie.

Przekupień z pieczywem skrzył za róg domu i zostali sami.

Trzymając konwulsyjnie kratę, wykrzyknął nieopanowanie:



— „Alma mia” jesteś za piękna, żeby być rzeczywistością, dopóki nie namaluję twego portretu, życie nie przedstawia dla mnie wartości!

Były to najwięcej zuchwałe słowa, na jakie sobie wobec niej pozwolił i przed paroma dniami nie przypuszczał nawet, że się na coś podobnego odważy. Ale nie mógł już ich cofnąć, tak samo jak nie mógł podnieść koronkowej „mantilli”, zacieniającej głębię jej oczu. Z zapartym oddechem czekał na wyrok, gdy spłoniona wdzięcznym ruchem wskazała na koszyk:

— Bardzo bym pragnęła tego — przemówiła wreszcie — ale przeczuwam, co powie moja matka: nie jesteśmy bogate — zakończyła skromnie.

— Przecież to nie za pieniądze — wyjąkał Felipe i przeraził się z nieporozumienia. — Nie żądam ani „peso”, ani „centavo” — brakowało mu słów.

— Czyżby — zapytała gwałtownie — za nic? Chcesz malować mój portret za darmo?

— Nie! — zaprzeczył poważnie — nie za darmo. Nie znajdziesz malarza, który by cię chciał malować za nic!

Znów się zaczerwieniła.

— Muszę zapytać się matki — wyszeptała szybko przez ramię i oddaliła się.

Czekał dopóki nie stracił jej z oczu, potem z westchnieniem powrócił do portretu Senory Saavedra. Przez pewien czas przyglądał mu się ponuro z napięciem. Był okropny — właśnie teraz znacznie gorszy, gdy był skończony.

Była to naturalnej wielkości podobizna jego dobrodziejki, tak jak wyglądała przed czterdziestu laty w swym barbarzyńskim stroju panny młodej. Jako wzór przyniosła mu ślubną fotografię i dała mu jeszcze wskazówki o rzucającym się w oczy oryginalnym odcieniu koloru włosów, o barwie jej cery, która miała być piękniejsza od płatków gardenii i o dołeczkach na policzkach, kościstym palcem, krygując się, wskazywała gdzie się znajdowały. To było makabryczne.

Z ciężkim westchnieniem pochylił się Felipe nad pozółkłą fotografią. Czterdzieści lat temu Senora miała

orli nosek, żywe oko, kształtny podbródek, ale jak różną była obecnie ta kobieta, która wydzielala służbie jedzenie i stawiała kubek z wodą przy bramie ogrodu dla żebraków. Felipe mógłby namalować prawdziwy portret, gdyby śmiał, ale wówczas przedstawiłby taki wizerunek, który by przyprawił Senorę o atak z wściekłości. A pieniądze był pieniądzem. Musi zapłacić komorne, płótna i farby były drogie, a przecież potrzebował trochę gotówki, jeżeli miał malować portret Juanity — chociaż to zależało od tego przerażającego „jeżeli”... Jej matka, tusta, serdeczna, Dona Asuncion, może odmówić! Bardzo, bardzo wrażliwa była Dona Asuncion, nie chciwa i zachłanna jak Senora Saavedra, przeciwnie, podobna była do grubego, dobrze odżywionego, wielkiego dziecka. Ale jej ujemna opinia o artystach...

Felipe pracował bez wytchnienia, dopóki smuga słońca nie znalazła się dobrze poza kratami. Zrzymnął się na ten widok, czas obiadu minął i nawet nie miał do zmywania talerzy ani tłustych garnków. Głęboki haust wody z „olle”, rozkoszne przeciągnięcie się i powrót do stalugi. Ulica zamarła pod rozżarzonym niebem, był to czas siesty. Wszystkie okiennice popuszczane, cisza dookoła, jedynie słychać było chrapanie zapóźnionego handlarza, który zmorzony snem, zasnął gdzieś w cieniu nie doszedłszy do domu. Felipe nie przerwał jednak pracy.

Było już dawno po południu, gdy ocknęło go morne pukanie, poderwał się do drzwi, mrugając oczami z obłąką i płonąca głową. Za drzwiami stał służący Senory Saavedra, a tuż za nim i ona w całej swej okazałości, czekała, aż zostanie zaanonsowana.

Potret znów się nie podobał...

Felipe z ropaczą wspomniął te długie godziny wyczerzonej pracy! Lepiej byłoby gdyby się pożywił, przespał się, nie czułby się tak nieludzko zmęczony i wyczerpany z kompletnie skostniałymi palcami.

Potret był za mało kolorowy, chociaż poprzednio zgodziła się na biel ślubną, teraz wydawała się jej za nikłą i posłała służącego po purpurową makatę jako nowe tło. Najwięcej była obrażona za wyraz twarzy, ponuro wskazując na nią łaską.

— Ależ — protestował Felipe — przekopiowałem z fotografii, nic nie zmieniłem żadnej linii, ani cienia. Niech Senora spojrzy w świetle i oceni bezstronnie.

Rozczarowanie jego nie miało granic, nigdy nie pracował gorliwiej, by nie ominąć a raczej podkreślić dodatnie strony, bo zdawało mu się, że na tyle poznał swą dobrodziejkę, że jej tym dogodzi. Nachyliła się nad fotografią i z blizka porównywała z obrazem.

— Fotografia nie jest pochlebna — w końcu przemówiła ostro — przecież mówiłam panu o tym w zeszłym tygodniu, niezbyt dobra odbitka. Ale pan jest artystą i na zasadzie moich wskazówek powinieneś mnie zrobić piękną.

Zacisnął pięści i siłą zdusił śmiałą odpowiedź, że nie on jest winien, gdy się nic nie daje wykrzesać. Ale pieniądze jest pieniądzem...

Zrozumiał nareszcie na czym jej zależało — portret ma zaspokoić jej próżność, ma on być odzwierciedleniem piękności, której posiadanie sobie wymaginała, a przy tym powinno istnieć podobieństwo, w obecnym stanie nie będzie mogła przyjąć portretu. Ogromne przygnębienie opanowało go, stał patrząc w zakratowane okno.

— Jestem niewypowiedzianie zmartwiony, że się pani nie podoba — powiedział w końcu. — Ale jeżeli pani łaskawie przyjdzie w piątek, myślę, że poczynione zmiany zadowolnią panią.

Pozostałą część tygodnia pracował na przemian z rozpaczą i radością.

Męczyła go ciągła niepewność co do portretu Juanity. Dona Asuncion była podejrzliwa i wybitnie niezadowolona. Oznajmiła swojej córce, że w uczciwość obcych mężczyzn może wierzyć tylko naiwne dziecko. Słyszała przy tym, że artyści malują często bezwstydnymi obrazami kobiet bez ubrania. Kiedy Juanita spłoniona dopłynęła w swoim opowiadaniu do tego momentu, Felipe przerwał jej gwałtownie, nie mogąc dłużej milczeć:

— O, Juanito! czy myślisz, że byłbym w stanie cię skrzywdzić lub unieszczęśliwić? Czy wierzysz w to — wyszeptał pokornie.

Przybliżyła się do okna i ufnie położyła swą wąską, brązową rączkę na kracie i podniósłszy ciężkie rzęsy, spojrzała mu głęboko w oczy.

— Co jednak — odezwała się słodko — mam powiedzieć matce, skoro ona nie wierzy w poważne zamiary z twojej strony?

— Powiedz jej, że mi pomożecie, gdyż mam nadzieję, że twój portret będzie wisiał w „Academia di San Carlos”.

Do pewnego stopnia było to prawdą — od dawna bowiem marzył o tym zaszczyć, a teraz wierzył w powodzenie, bo miał przed sobą Juanitę!

— Powiedz jej, że dawno szukam modelu, a ty właśnie jesteś doskonałym typem. Powiedz jej to wszystko!

Juanita powtórzyła matce, upiększając po swojemu. Na drugi dzień przyniosła pomysły: Dona Asuncion zmięknęła, podejrzewała go, skoro jednak mowa jest o Akademii, to już brzmiało znacznie poważniej. Zasadniczo miała jeszcze pewne skrupuły.

— Nie mogę ci zabronić dowodziła — lecz jeden warunek, będę ci towarzyszyć podczas pozowania.

— Ależ to wszystko w porządku, Felipe nie ma nic przeciwko temu! — Chociaż w głębi duszy był mocno przygnębiony, gdy pomyślał, że Dona Asuncion zobaczy jego poszczerbione talerze i drewniane stołki. Na pewno wyciągnie z tego konsekwencje, że narzeczona artysty jest godnym pożałowania, zaślepionym miłością głuptałem.

Niezależnie od tych ciągłych niepokojów męczył portret Senory Saavedra. Było to zadanie przechodzące jego siły. Upiększyć! Rysy muszą pozostać, żeby zachować podobieństwo, więc jak upiększyć? Postanowił nadać wyraz tak rozpromieniony z czarującym uśmiechem, żeby widzący na niego nie zwrócił uwagi. Wykonał niezliczoną ilość szkiców, dopóki nie osiągnąłżądanego rezultatu. Wtenczas wziął się do pracy z tryumfującą energią. Sztuka, czy nie, tym razem przeszedł sam siebie.

— No, już lepiej — powiedziała Senora.

— Odstąpiła w tył, zmrugując oczyma, zacisnąwszy usta, by ukryć zadowolenie.

— Tak, to ujdzie! Myślę nawet, że jestem ładniejsza, niż byłam wówczas. Podoba mi się, niech tylko pan się stara, żeby nic nie zmienić.

Gorąco zapewnił, by nie żywiła obaw pod tym względem, poza tym miał ochotę krzyknąć z radości, że przebrnął ten rubikon.

— Kiedy pan ostatecznie wykończy portret, zabiorę go.

— Co takiego? — zapytał wcale nieinteligentnie — przecież już skończony!

— Co! — zasyczała — pan myśli, że zgodzę się na ten wyblakły kolor mego welonu, że nie będzie widać deseniowego brokatu mojej sukni? Gotowi myśleć, że była

z perkalu! Muszę to mieć wymalowane, nigdy nie słyszałam o podobnym partactwie.

— Ależ detale w portrecie... — zaczął Felipe i przerwał, gdyż warto ją było przekonywać! — Jakież wobec tego Senora ma jeszcze życzenia? — zapytał ociężale.

Poszperała w woreczku.

— Przyniosłam kawałek mego ślubnego welonu, a tu materiał z sukni, proszę przekopiować ten deseń.

Wziął w rękę i patrzył przerażony:

— Chyba się pani nie spodziewa, żebym odmalował każdą nitkę wzoru koronki i motywy brokatu?

— A dlaczego nie? Chcę, by mój portret przedstawiał mnie tak, jak w rzeczywistości wyglądałam w dniu mego ślubu. Słyszałam wówczas mnóstwo pochwał i zachwytów o piękności materiału i mego stroju. Jeżeli pan nie może się tego podjąć, oddam komu innemu do wykończenia.

Milczą patrzac uparcie na zawiłą tkaninę koronki — po prostu marnotrawne przedsięwzięcie! Teraz, gdy stracił dwa tygodnie drogiego czasu, oprócz kosztów na przybory, za które nie miał czym zapłacić! Nie widział wyjścia... a poza tym — Juanita!

— Dobrze — powiedział ponuro — tak będzie wykończony, jak Senora sobie życzy, lecz to potrwa znacznie dłużej, niż wykonywana do tej pory część pracy.

Na nowo zaczął Felipe gorączkowo pracować, zmuszając go to do przebywania w oślepiającym świetle i do jak największego wykorzystania każdej minuty.

Malowanie sukni było trudne, ale malowanie welonu stawało się wprost koszmarem. Gdybyż poza tym nie istniała Juanita! O! — już dawno nie męczył by się tak okropnie. W parę dni po wizycie Senory, Juanita przyniosła ważne wiadomości: Dona Asuncion zgodziła się ostatecznie, niech tylko Felipe skończy, przyjdą zaraz pozować.

— Moje serce! Moje serce! — wdychał Felipe z radością i niecierpliwością — żebym już wreszcie skończył! Ale ta Senora... przemalowywałam dwa razy portret, teraz kazała mi utkać suknię i zarzucić koronkę, obawiam się, że zażąda, bym jej jeszcze domalował pana młodego.



— Tego nie robi — powiedziała Juanita pojednawczo — obawiałyby się, że będą się jemu przyglądać, zamiast podziwiać jej osobę. Ale, Felipe, dbaj o siebie — dodała troskliwie — wyglądasz na zmęczonego.

Jej troska rozgrzewała lub chłodziła Felipe w miarę potrzeby, przerywał chwilami robotę, chcąc przypomnieć właściwy ton jej głosu, jej pełne tajemnicy spojrzenie. Czy to było „muy simpática” dla siebie, czy też dla niego? Nie mógł się otrząsnąć z wewnętrznego przeświadczenia, że jednak ją trochę obchodzi...

Juanita miała rację troszcząc się o Felipe, lecz mimo przemęczenia podwajał swą gorliwość, by jak najprędzej skończyć. O szaleństwo przyprawiały go te kółeczka i bezsensowne zakrętasy, podczas gdy palił się do malowania Juanity. „Dziesięć malutkich różyczek na każdym wycięciu, siedem płatków każdej różyczki i na zakończenie wiązanie z wstążki. Na jednej połowie welonu znajdowało się sto pięćdziesiąt zakrętaków, które miały być odrysowane wyraźnie mikroskopijnymi pędzelkami. Głowa pękała mu z bólu, oczy bolały go i nieznośnie kłuły. Wieczorem długo nie mógł zasnąć, z powodu majaczącego przed zmęczonymi oczami koszmarnego rysunku. Rano po obudzeniu i otworzeniu oczu, kontury przedmiotów wydawały mu się dziwnie ostre i wyraziste. Marzył, by wpełznąć w jakąś ciemną kryjówkę i tam pozostać na zawsze. Wszystko się wreszcie kończy!

Senora Saavedra nie mogła wynaleźć żadnej usterki. Kazała służącemu trzymać kawałek materii przy namalowanej sukni, podczas gdy porównywała podobieństwo. Policzyła zakrętasy, róże, płatki, na koniec orzekła, że nic nie brakuje w tej całej ohydzie. Felipe'owi było wszystko jedno, żeby tylko pozbyć się tego widoku.

— Zabieram go — powiedziała Senora — oto pieniądze, na razie 10 „pesos”. Muszę jeszcze dobrze się przyjrzeć. Po resztę niech się pan zgłosi w przyszłym tygodniu, o ile będę zadowolona, to dopłacę.

Wziął pieniądze, zarzekając się w duszy, że prędzej umrze niż upomni się o resztę. Możliwe, że nie będzie zadowolona, lecz on czuł się nad wyraz szczęśliwy!

W pierwszej chwili wydawało się Felipe, że otrzymał dużą kwotę, po opłaceniu jednak komornego, koniecznych dodatków do portretu Juanity, wyściełanego fotela dla Dony Asuncion, niewiele mu zostało, mimo to cieszył się!

Następnego ranka wstał o świcie, przemywając swe bolące oczy i uważając za całkiem naturalne, że są zmęczone. Zabrał się ochoczo do pracy, nie przeczuwając żadnych trudności i przeszkód.

Tymczasem miał mnóstwo zajęcia i to niebyłajakiego. Łyknął śniadanie, zmył naczynia i pobiegł na targ po bukiet fiołków.

Gdy weszły, zastały go oczekującego na nie z niecierpliwością.

Dona Asuncion dysząc i uśmiechając się uprzejmie, a Juanita blada i jakaś onieśmielona. Matko Boża! kochała go, nie miała żadnych wątpliwości — ale nie może się zdradzić!

Ręce Felipe drżały, gdy ustawiał stalugi, nie dawał wprost wiary, że będzie patrzył na nią i gdy spojrział, przedstawiła mu się jakby owiana nieziemską mgłą. Pe-

len zachwytu, zatrzymał się, jakby się obawiając, czy nie rozwieje mu się w oczach ten fantom piękności, jaką zawsze była dla niego.

Wtem przypomniał sobie o swoich biednych oczach, pocieszał się jednak w duchu, że gdy odpocznie, cierpienie przemienie, a tymczasem zajął się fascynującą go sprawą upozowania Juanity. Na zmianę ukazywała mu się jako Madonna, święta, to znów jako hurysa.

— Mam już, zatrzymaj się! — wykrzyknął zgorączkowany. Więcej się nie odezwał — musiał się opanować, bowiem to, co ujrzał, mogło każdego przyprawić o zawrót głowy.

Dona Asuncion przyniosła robotę, ale i również pełną troski spostrzegawczość, miało się wrażenie, patrząc na nią, że może robić na drutach nawet i po ciemku. Miał tą błogą nadzieję, że może jednak po pewnym czasie Dona Asuncion zdrzemie się w wygodnym fotelu z miękkim oparciem, wybrał go właśnie Felipe z tą ukrytą myślą. I w tej chwili nie był pewny, kto bierze w nim górę? czy artysta, który pragnie, by nie spała, żeby nie przerywać pracy, czy też człowiek, który modli się o to, by się czasem nie przebudziła! Zbliżało się południe i wreszcie tłuste rączki Dony Asuncion przestały się poruszać...

Podczas gdy malował, welon mgły otaczał stale Juanitę, tworzyła się jakaś zasłona, przez którą widział cudną zjawę, tak piękną, że trudno by widziały to ludzkie oczy. Kolor skóry, czarne, błyszczące włosy, jej oczy — widziane wszystko poprzez mgłę, czarowało odcieniami kolorów, ale wyglądało niezmiernie. Mrużył oczy i przecierał je nie dowierzając temu, co mu się przedstawiało, musiał jednak przynieść na płótno to, co widział. Upiorny lęk opanował go przed tym czymś nieuchwytnym i każdego dnia wżerał się coraz głębiej — a on tworzył fantastyczny obraz...

Boże drogi! — co się z nim działo! Nie był chyba niedołącznym, ale pracował jak maniak. Malował coś, co nigdy nie istniało na świecie, w niebie, ani w piekle.

— Boże! co za cudo! — wykrzykiwała Juanita raz po raz — na pewno ja tak nie wyglądam!

Lecz słowa jej przebrzmiewały bez echa, podczas gdy stała bez ruchu przed stalugami. Początkowo jej pochwały podniecały go, ale w końcu stały się torturą, podejrzewał, że tworzył okropną mazaninę, a ona chciała go tylko pocieszyć. Pewnego ranka poczuł, że nie może dłużej pracować, portret nie był skończony, nie był chyba nigdy nawet zaczęty, ale starał się odtwarzać to, co jeszcze widział. Jeszcze widział, ale jaki sąd wydadzą osoby postronne, Dona Asuncion powie mu prawdę, była przecież prostą i bez wątpienia uczciwą kobietą, ale razem jej orzeczenie mogło stać się początkiem końca. Dobrą chwilę namyślał się zanim odważył zwrócić się do niej. Wydawało mu się, że mu język stanął kołkiem, przymusił się jednak do zapytania:

— Błagam, powiedz mi pani szczerze, co myślisz o tym obrazie?

Dona Asuncion milczała przyglądając mu się z uwagą, w końcu rzekła:

— To jest Juanita „ciertamente”, ale mnie się nie podoba senor, ona jest za... jakby powiedzieć, tak dziwnie wygląda, jakby miała zniknąć za chwilę. Bardzo mi przykro, że to mówię, może, gdy pan jeszcze popracuje, będzie wyraźniej? Bardzo będziemy szczęśliwi, gdy będziemy mogły przyjść jutro rano.

Na tym stanęło. Felipe nie dał znać po sobie ile go kosztowało to określenie, nawet roześmiał się z żartu

## GRUŹLICA PŁUC

jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób płucnych: bronchitu, grypy, uporczywego męczącego kaszlu itp., stosując pp. lekarze „BALSAM TRIKOLAN” GASECKIEGO, który ułatwia wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel.



Dony Asuncion, która obliczała jak wielkie płótno musiałaby użyć Felipe, gdyby chciał malować jej portret.

Drzwi się zamknęły za nimi, stał ze spuszczoną głową, zaciśniętymi pięściami i wsłuchiwał się w echo głosu Juanity, rozlegającego się w hallu. ...południe, czas siesty, poobiedzie i w końcu noc...

Felipe bez przerwy przemierzał pokój tam i z powrotem, miał ochotę jęczeć i przeklinać, i wyłupić oczy! Lecz na co by się to wszystko zdało?

Znacznie rozsądniej zabrać swoje manatki i oddać się jak najprędzej, zanim nie utracił jeszcze szacunku dla siebie... Przed sobą miał noc. Ostatnią czynnością było podpisać portret swoim imieniem „Felipe” i przesłać Juanicie. Była to jego ostatnia praca i powinna jej dać do zrozumienia, czego nie zdążył wyjaśnić: że nie byłby w stanie znieść jej litości, gdy wyczuwał, że jest z niego dumna. I nie do zniesienia byłoby być przy niej i czuć, że jest nieuchwytną! Nie, jedyne wyjście — powinien zniknąć na zawsze.

\* \* \*

...Stary Manuel wyrabiał krzesła, mieszkał sam w dwóch małych pokoikach w podwórzu. Przekonawszy się, że Felipe był zręczny i mógł malować, zgodził się na jego pomoc.

— „Seguro” — przytaknął — możesz zostać ze mną, jeszcze jedna pryzca zmieści się w moim pokoiku i kilka więcej „frijoles” znajdzie się w garnku, będę miał przy najmniej towarzystwo i pomoc.

Felipe malował oparcia krzesel i nogi żywymi, czerwonymi i zielonymi farbami. Wkrótce nauczył się wyplatać siedzenia, poza tym gotował, zmywał naczynia i chodził po zakupy na pobliski rynek. Ciągle miał coś do

roboty i to osłabiało trochę tnący, nieustający lęk o te zamierające oczy. Wprawdzie nie był niewidomym, ale zupełna ciemnota może byłaby lżejsza do zniesienia jak to męczące półświatło. Męczył się, ale ze strachem oczekiwał momentu, kiedy pograży się w nieskończącą się noc, a wówczas piękno przestanie istnieć dla niego. Czarna rozpacz ogarniała go, chyba tego nie przeżyje! Ale jak się bronić, żeby nie wiem jak wytrzeszczał oczy lub mrużył, nie mógł pozbyć się wrażenia, że mu coś przeszkadza, jakieś plamy czy krosty!

Dnie płynęły bez zmiany monotennie. Raz przyszło mu do głowy, że mógłby się poradzić okulisty, wnet odrzucił jednak ten projekt: nękało go podświadome przeświadczenie, czy dla niepewnego rezultatu warto poddawać się kosztownej kuracji i może nawet operacji... Na przykład, gdyby nieboszczyk dlatego tylko zmartwychwstał, żeby go w następnej sekundzie z powrotem położyć do grobu. Drzemało w nim mrozące przekonanie, że wszelkie starania są bezcelowe!

\* \* \*

Pewnego popołudnia Manuel wyszedł sprzedawać krzesła, Felipe nie był w stanie zapanować nad chęcią malowania i postanowił jeszcze raz spróbować. Sam fakt, że dotykał przyborów malarskich, że trzymał paletę w rękę, już stanowiło wielką rozkosz. Poza tym podświadomie sobie tłumaczył, że ostatnią pracę wykonywał w pokoju, możliwe, że w pełnym świetle lepiej będzie widział.

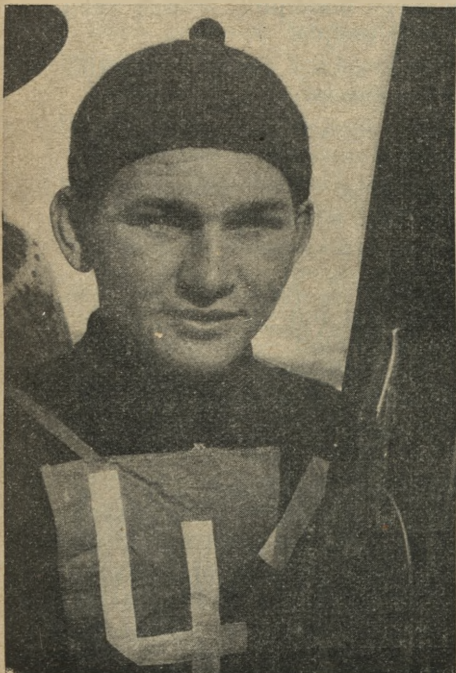
Zapakował przybory malarskie i pośpieszył do najbliższej położonego parku, gdzie znajdował się idealny zakątek przy fontannie, cichy, mało uczęszczany, tylko gromada milusińskich bawiła się pod okiem nianiek i ka-

## WSPOMNIENIA

*Skocznia na Krokwi w międzynarodowej szacie sztandarów. Sztandarów było dużo, śniegu, niestety, mało.*

**- Z F. I. S.**

*Kula Jan, najmłodszy skoczek. Nadzieja polskiego narciarstwa na przyszłe zawody F. I. S.*



*Bradl Josef (Niemcy), zwycięzca w konkursie skoków.*



piące się oswojone gołębie, karmione przez dziatwę, dlatego ustronie to nosiło nazwę Mały Placyk Gołębi.

Jeżeli nie tutaj, to już chyba nigdzie nie mógłby Felipe malować. Drobiazg, kręcący się wokół niego nie interesował się nim wcale, jakby był porzuconą zepsutą zabawką. Nadzieja wnet go opuściła, gdy zorientował się, że bezpodstawnie liczył na pomyślniejsze warunki. Przecierał swoje biedne oczy, próbował ustawiać stalugi pod światło i tyłem do światła, wszystko na próżno... zrozpaczony ukrył twarz w dłoniach...

Stracił poczucie czasu, pogrążony w bezgranicznej rozpacz przed pustymi stalugami, naraz doszło do jego uszu żalosne kwilenie, w pierwszej chwili odniósł wrażenie, jakby to było echo jego własnego płaczu, pomimo to podniósł głowę i rozejrzał się naokoło.

Rozkoszna, pulchna „bebecita” najwyżej czteroletnia z rozpaczą patrzyła na szczątki ukochanej lalki, leżącej na kamieniach. Spostrzegłszy, że Felipe zwrócił na nią uwagę, łkanie jej i tak żalosne, wybuchło ze wzmoczoną siłą, przecież to był dorosły, a dorośli w razie wielkiego nieszczęścia zawsze potrafią pomóc dzieciom. Ku jej rozczarowaniu Felipe nie wykazał swej dorosłej odpowiedzialności tak szybko, jak według niej powinien by, wobec tego przestała płakać.

— „Por favor” — dygając przed nim wdzięcznie — czy możesz naprawić lalczkę? — prosiła.

Felipe podniósł kawałki i przyglądał się im bezradnie. „Bebecita” odetchnęła z ulgą i przysunęła się bliżej, jej zmartwienie, uważała, powinno się skończyć. Wyczuwał, że niemożliwym było wytłumaczyć maleństwu, że lalki nie odzyska, bez wątpienia jutro już o niej zapomni, ale czym pocieszyć ją dzisiaj? Zebrał porcelanowe szczątki w chusteczkę, posadził dziewczynkę na kolanach i oglądając się wokoło, szukał przygodnej pociechy i rozrywki.

— Lubisz się bawić z gołąbkami — zapytał, żeby wreszcie coś powiedzieć.

— Ale gołąbki są stare — wątpliwie pokręciła głową — a moja lalka była nowa. Gdyby on był jakiś inny, no, czerwony!

Czerwony gołąbek! też, mała spryciara! Przycisnął ją do siebie, jej dziwna zachcianka podnieciła go, przypieszczając bicie serca. Co robić? Obecnie po sformułowaniu nowego żądania, na pewno więcej ją unieszczęśliwi niemożność otrzymania czerwonego gołębia, jak strata lalki. Wzrok jego zatrzymał się na otwartym pudełku z farbami, a więc jest wyjście! Roześmiał się głośno ze swego pomysłu.

— Nie martw się, mała, będziesz miała czerwonego gołąbka — powiedział i schwytał, spacerującego w pobliżu. Rozmieszał farby i delikatnie pomalował skrzydełka ptaszka, gołąb rozpostarł skrzydełka i zamigotał na słońcu tęczą kolorów. Gdy Felipe puścił go, pofrunął ponad fontannę wspaniała, jakkolwiek dziwnie wyglądający, kolorowy ptak.

„Bebecita” była jak urzeczona: jej radosne okrzyki sprowadziły całą rzeszę drobiazgu. Wkrótce fruwały gołębie wszystkich odcieni: zielone, żółte, niebieskie, różowe — skrzydlate istoty niebawalej piękności.

Odetchnął z ulgą, pakując malarskie przybory, wewnątrz odczuwał cichą radość, może to śmieszne, ale zdawało mu się, jak gdyby przygniatający go ciężar zmniejszył się wybitnie...

Obiecał malcom, że powróci następnego dnia, nawet gdyby nie miał ochoty, nie mógłby się oprzeć, tak natargiwie napastowali go ci milusińscy, ciągnąc go za

poły i za ręce. Ale sam miał wielką ochotę powrócić; cień jego talentu znalazł zastosowanie, mizerne co prawda, bo tylko oczy dziecięce podziwiały go, ale zawsze było to jego dzieło.

Nie tylko „bebecitos” uznały, że Mały Placyk Gołębi stał się bajkowym zaułkiem. Niezwykłe wieści rozeszły się po mieście i gromada ludzi przychodziła oglądać te cuda.

— „Ah, que bonita” — usłyszał Felipe jakiś miły głos koło siebie — ależ ma pan delikatne dotknięcie!

Felipe spojrział przelotnie na wytwornie wyglądającego starszego pana i odpowiedział krótko: „Niegdyś byłem malarzem”.

Senor powstrzymał westchnienie, poważnie przyjrząwszy się oczom Felipe. Zastanowił go tragiczny wyraz twarzy, pochylonej nad gołębiem. Artyści byli dumni, wiedział o tym, nawet z miernymi talentami, nie pozwalają nad sobą się litować.

— Nazywam się Apolinar Quinones — powiedział Senor po dłuższej pauzie.

Senor Apolinar Quinones! Gdyby piorun z jasnego nieba uderzył, nie byłby więcej oszołomiony. Wszyscy znali to nazwisko świetnie — był to dyrektor Academia di San Carlos. W swoim czasie oddałby pół życia, żeby spotkać tego człowieka, ale teraz... Gdyby mógł, zaczął by wyć z rozpacz, wyszarpałby sobie oczy i rzucił pod nogi Bogu, który zezwolił dopiero teraz na to spotkanie, kurczowo ścisnął paletę i pędzel, i nie podnosząc głowy powiedział opryskliwie:

— Moje imię jest Felipe. — Wiedział, że brzmi ono krótko i ostro, obecnie żałował, że nie jest jeszcze krótsze i więcej chropowate.

— Felipe! — wykrzyknął podniecony senor — jak się pan podpisuje?

— Tak, jak się mówi — odpowiedział niegrzecznie. O, Boże, czyż ten człowiek nigdy nie odejdzie i nie zostawi go w spokoju?

— Senor nie chce mnie zrozumieć — nalegał dyrektor — chcę poznać pański podpis. Proszę — rzekł, podając mu kawałek papieru — niech się pan podpisze szeroko tak jakby na obrazie.

Nie, nie można się od niego odczepić! Felipe wziął papier i położył na nim swój podpis.

„Madre de Dios!” — wykrzyknął Senor i wybitnie podniecony zapytał drżącym głosem:

— Czy to pan niedawno mieszkał przy ul. Capuchinos?

Felipe miał ochotę zaprzeczyć, lecz kłamstwo nie chciało mu przejść przez gardło, wydawszy jakiś nieartykułowany dźwięk, osunął się bez zmysłów na ziemię.

Gdy przyszedł do przytomności zauważył, że leży w słabo oświetlonym, obszernym pokoju, a Senor Quinones komuś z przejściem opowiadał — że przeszukano całe miasto, by znaleźć tego człowieka. Przecież jego obraz wywołał wprost sensację. Akademia była zelektryzowana niezwykłością techniki. A tu ani śladu twórcy.

Będąc niemyym świadkiem tych wyjaśnień, Felipe odniósł wrażenie, że znalazł się w „Limbo” — w tym kraju dobrych, lecz nieodkupionych dusz, coś pośredniego między niebem i piekłem, i na wieki od nich oddzielonego. Fortret Juanity dostał się do Akademii, niebawale! Jakim sposobem Juanita znalazła drogę do samego dyrektora?

— Trudno opisać — powiedział Senor Quinones. — Nie tyle niezwykła uroda kobieca, ale to dziwne wrażenie, które wywoływał, gdy się na niego patrzyło: rozplątała się po prostu w oczach i dlatego nazwano go „Ginący czar”.

Ginący czar. — Felipe zamknął oczy, właśnie to było świetne określenie: po prostu całun jego umierającej sztuki i jego nienarodzonej miłości. Na dobitkę wszystkiego, musiało się to jeszcze znaleźć w „Academia di San Carlos”, kiedy właściwie powinno być zniszczone! Żeby nie pozostało śladu z jego nieszczęścia!

Na propozycję Senora Quinonesa, by poddał się badaniu, odpowiedział niechętnie, że się nie opłaci. Doktor zaczął przekonywać go gorąco, że powinien się zgodzić ze względu na swe zdolności, a przy tym zdarza się okazja, by przekonać się o przyczynie cierpienia.

— Nie życzę sobie tego — bronił się Felipe z hamowaną wściekłością.

Doktor i Senor Quinones nie dawali za przegraną, tłumaczyli i przekonywali go na różne sposoby — na próżno. Felipe przecząco poruszył głową i uparcie patrzył przed siebie. Niech sobie mówią, co chcą, a on tymczasem z niecierpliwością oczekiwał chwili, żeby sobie narzeczycielki i zostawili go samego, by mógł w spokoju wpatrywać się w portret Juanity, jak to już czynił niejednokrotnie.

Wizja niedostrzegalna ludzkim wzrokiem — rozwiewający się, ginący czar w swoim własnym blasku.

Gdzie nie spojrzął wszędzie widział obraz Juanity, kuszący go i wabiący w gęstniejącym zmroku. Śmiertelnie znużony w ponurym nastroju, zakrył twarz dłońmi, jakby chcąc się odgradzić od prześladowającego go widziadła. Nie zniknęło ono pomimo to, gdy po chwili otworzył oczy, zobaczył ją we drzwiach. Bezużytecznym było chcieć się od niej uwolnić, albowiem powoli zbliżała się do niego.

— „Alma mia!” — wykrzyknął nieprzytomnie, podejrzewając, że zwariował.

— Felipe — słodko przemówiła Juanita.

Uklękła przy łóżku i objęła go ramionami. Ośłupiał, a więc to nie była zjawa, ale jakim cudem trafiła do niego?

Duch powinien by szeptać: „Dlaczego nie idziesz za mną?”

Tymczasem Juanita zawołała: „Dlaczegoś mnie porzucił?”

W tym momencie zrozumiał, że nigdy nie wolno tracić nadziei! Musi zmienić swoje zapatrywania, gdyż odnalazł towarzyszkę tej, która była w Akademii, ale — „Wyłaniający się czar”.

Pod wpływem silnego wrażenia i wyobrażenia, że do namalowania przepychu powracającej miłości nieodzownym jest odzyskanie wzroku, postanowił, że zdecyduje się, skoro go namawiają, i jeżeli...

Otucha wstąpiła w niego, poczuł, że się wydobywa z dna rozpacz!

Następnego dnia w poczekalni doktora, słysząc nierówny oddech Juanity, zaczął siebie gorzko wyrzucać, jak nieopatrznie zdecydował się na wkroczenie w tę drugą ciemnicę, mając jedynie siebie na względzie. Jakkolwiek czuł, że nie uniknie następstw swojej decyzji, zerwał się i byłby uciekł, gdyby go nie przytrzymała za rękę.

— Nie boję się wcale — powiedział słodko — żeby nie wiem jak się stało, nie boję się.

— Tylko dlatego, że nie zdajesz sobie sprawy — odzrekł gwałtownie — ale ja, niestety, wiem wszystko!

— Cóż takiego? mocniej ścisnęła go za rękę — jeszcze raz powtarzam, nawet najgorszy wynik nie zdoła odebrać mi odwagi.

\* \* \*

...Wreszcie nastąpiło badanie Felipe’a.

Nieprzeliczona ilość dziwnych, nieznanymi instrumentów, przyrządów naukowych, wykresów i cały szereg krótkich pytań. Aczkolwiek przeważnie okulista pracował w pełnym skupieniu mileżeniu.

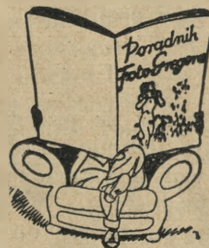
— Wyjątkowo ciężki wypadek! — przemówił wreszcie poważnie. — Żeby pan zaczął wcześniej leczenie, nigdy by do tego nie doszło, nie trzeba było wyteżać wzroku. Nawet to malowanie krzeseł było szkodliwe. Pomimo wszystko nie tracę nadziei i zaraz zaczynam.

Felipe przemógł się — no dobrze, niech się dzieje, co chce, hyle prędzej: tylko czy w ogóle to ma jakiś sens i czy się opłaci?

— Czy się opłaci? — wykrzyknął doktor — ależ, przyjacielu, będziesz znów malować! Może nie tak zaraz, wolno będziesz przychodzić do siebie, lecz myślę za kilka miesięcy, będziesz niewypowiedzianie szczęśliwy i wdzięczny, żeś się dał namówić!

Felipe i Juanita nie słyszeli prawie wcale tej pokrzejającej przemowy. Juanita przytuliła się do niego, podnosząc swą piękną twarz ku niemu. Widział ją jak przez mgłę, ale właśnie taką chciał zapamiętać, taką jak widział ostatni raz w małym pokoiku na ulicy Capuchinos. I radość nie do zniesienia rozpierała mu serce!

## Ucz się — potem fotografuj!



W naszym Poradniku P X — który na żądanie bezpłatnie wyślemy — znajdzie fotoamator to, co należy wiedzieć, aby otrzymać dobre obrazy. Rycinę pokazują najlepsze modele fotoaparatów, odległościomierze, statywy i wszystko co Cię interesuje. Nasza Poradnia fotograficzna spełni chętnie Twoje życzenia. Nawet stary aparat przyjmujemy na wpłatę, reszta na miesięczne spłaty.

# FOTO-GREGER

POZNAŃ 3

# O NALEŻYTE ZROZUMIENIE ZAGADNIENIA RODZINY PRZEZ MŁODZIEŻ

Rodzina, jako wielki problem życiowy.

Zanim odpowiemy sobie bezpośrednio na pytanie, jak metodycznie i praktycznie przygotować naszą współczesną młodzież do należytego zrozumienia zagadnienia rodziny, słusznym będzie na wstępie uprzytomnić sobie, co mianowicie należy mówić jej o rodzinie, ustalić sposób podchodzenia do niej w tej materii, zdefiniować i uzgodnić pogląd, czym jest ideowo rodzina polska. To przypomnienie wydaje się ze wszech miar wskazane tak z powodu faktu, iż dziś pod wpływem różnych nowoczesnych prądów i wytworzonego w związku z nimi chaosu pojęć zatraciło się właściwe, zdrowe pojęcie rodziny, jak i dlatego, że cała psychika, fizjognomia duchowa naszych synów i córek, bardzo silnie odbiega od psychiki starszego pokolenia, i odmienne jest całkiem ich podchodzenie do różnych spraw życiowych, a wśród nich i do sprawy małżeństwa. Przy całej ich, wytworzonej warunkami wojennego i powojennego wychowania, pewności siebie, samodzielności myślenia oraz śmiałym stwarzaniu własnych kryteriów życiowych, przebiega w ich postępowaniu błąkanie się w rozterce wśród wielu napotykanym dziś przeszkód i sprzeczności oraz tęsknota za nawrotem do dawnej równowagi i prostolinijności pojęć, za wyjściem z obecnego zrewolucjonizowania i chaosu.

Celem niniejszych uwag jest przypomnienie, w okresie przełomu, pewnych prawd, dotyczących zadań i roli rodziny z punktu widzenia religijnego, narodowo-państwowego, społecznego i osobistego.

## I

Myli się ten, kto sądzi, że przystępując do zawarcia małżeństwa wykonuje jedynie dzieło ludzkie, akt własnej indywidualnej woli i naturalnego u człowieka dążenia do szczęścia osobistego. W istocie wraz z tym przyrodzonym dążeniem spełnia on przepięknie pomyslane dzieło Boga, który, stwarzając człowieka z jego ludzką naturą, ale jednocześnie z jego nadprzyrodzonym przeznaczeniem, uświęcił od samego początku istnienia świata związek pomiędzy mężczyzną i kobietą. W myśli Bożej tkwiła nie tylko wielka miłość i troska o dobro osobiste tych dwojga ludzi, ale i głęboka mądrość, polegająca na uczynieniu z ich związku i szczęścia osobistego podstawy do istnienia i rozwoju całej ludzkości. Ten plan Boży już w swym założeniu był uosobieniem nad wszelki wyraz szczęśliwego połączenia i zharmonizowania dobra jednostki z dobrem ogółu, które to połączenie w ogóle do dziś nie przestaje być podstawowym czynnikiem rozkwitu społeczeństw i narodów.

Ale ten plan Boży zawiera jeszcze inną genialną myśl i cel, aby przejawy grzesznej słabości i ułomności ludzkiej, wynikające z wrodzonego wzajemnego pociągu do siebie obojga płci, ująć w takie zamknięte, izolowane od życia zewnętrznego, a prawem Bożym i ludzkim ulegalizowane koryto, które by, dając im ujście naturalne, uczyniło je dla otoczenia nie gorszym i nie szkodliwym. Więcej, z tego właśnie pociągu dwóch płci, słabości natury, namiętności i wrodzonego instynktu czo-

wieka, instynktu, w innym ujęciu grzesznego i zwierzęcego, stwarza, opromieniwszy go uczuciem miłości, wielką i trwałą siłę motoryczną, zdolną ludzkość, dziesiątkowaną przez choroby i śmierć, zasilać nowymi, wciąż odradzającymi się pokoleniami.

Stworzywszy tej miary dzieło, Pan Bóg trwałość jego uznał za potrzebne odpowiednio ubezpieczyć, uświęcić dostojnością Sakramentu, umocnić łaską, związać przysięgą, publicznie przed ołtarzem składaną, opancerzyć prawami kościelnymi. Bez tych sankcyj ubezpieczających i łaski uświęcającej, bez postawienia chrześcijańskiego małżeństwa na szczeblu wyższym, niż prosty kontrakt umowy — małżeństwo i rodzina stałyby się prostym związkiem krwi i interesu, zeszyłyby do tej niskiej roli, z jakiej je właśnie myśl Boża wyrwała.

To jest rola rodziny z punktu widzenia religijnego. Konsekwentną dalszą realizacją myśli Bożej jest obowiązek rodziców wychowania potomstwa w kulcie dla idei religijnej, jest przekazanie dalszym pokoleniom wiary w pierwiastek nadprzyrodzony w życiu ludzkim, w świętość przysięgi, w łaskę Sakramentu i w zasadę nierozzerwalności związku małżeńskiego bez względu na okoliczności, które życie z sobą w sposób nieunikniony przynosi. Z góry trzeba być przygotowanym na to, co zresztą prosta logika potwierdza, że dwoje obcych sobie dotąd ludzi, zawiązujących rodzinę, przychodzących nieraz z różnych stron świata, z najrozmaitszych środowisk, z całkiem nieraz odmiennych warunków wychowania, obdarzonych całkiem nieraz różnymi skłonnościami i charakterem — przy stałym codziennym współżyciu muszą niejednokrotnie szukać dopiero wspólnego języka i porozumienia, muszą wzajemnie znieść od siebie, pomimo łączącego je szczerego uczucia, niejedną przykrość, ponieść niejedną ze swoich upodobań i przyzwyczajajeń ofiarę.

## II

Ale rodzina obok przedstawionej powyżej misji Bożej wykonuje wielką i szczytną misję narodowo-państwową. Życie Polski, pozbawionej przez długie lata wolności i bytu państwowego, a tym samym możliwości społecznego oddziaływania na wychowanie młodych pokoleń, Polski, odrodzonej później w swej dawnej mocy państwowej, jest niezbitym dowodem, że rodzina — bo ona wszak wówczas jedynie pozostała, jako źródło energii narodowej — zdolna jest w swym łonie przechować i następnym przekazać pokoleniom głębokie uczucia patriotyczne, wiarę w misję dziejową narodu, umiłowanie idei własnego państwa, obowiązek służby dla sprawy ojczyzny, obrony granic, honoru i godności Ojczyzny. Wówczas, gdy państwo się nie ostało, rodzina, ta mikroskopijna wobec wielkości państwa komórka społeczna, nie tylko się ostała, nie tylko się oparła zalewowi wrogiej obczyzny, ale i sprawiła, że duch polski nie skarłał wśród niewoli i był zdolny wówczas, gdy nadeszła godzina odrodzenia, podjąć na nowo wielkie narodowe i państwowe posłannictwo.

Te głębokie wartości narodowe, tkwiące w skromnym i cichym ognisku rodzinnym, zobowiązują nas, Polaków, więcej, niż inne narody, które nie zaznały gorzkich owoców niewoli, do niespuszczania z uwagi tego momentu przy zakładaniu rodziny. Ci z naszych młodych, w których umysłach, rozkwitających już w odrodzonej, wolnej Polsce, nie odtwarza się dość silnie obraz Ojczyzny w niewoli i źródła sił duchowych, które ją z pomocą Opatrzności z tej niewoli wyrwały — niechaj, stając przed ołtarzem, zdają sobie sprawę, że mają pracować dla Polski, że z zakładanego dziś przez nich gniazda mają wyfrunąć orlęta, które czy to w epokach błogosławionego pokoju, czy — gdyby wypadło, nie daj Boże — w epokach zmagañ śmiertelnych, mają nieustrudzenie bój o Polskę wieść.

### III

Dalszą — obok religijnej i narodowo-państwowej — jest misja społeczna rodziny. Że się ją powszechnie nazywa komórką społeczną, to — nie frazes, ale szczerą i istotną prawdą. Odrodzenie społeczeństwa przez odrodzoną rodzinę, to — hasło, rozbrzmiewające dziś doniosłe i w obcych i w naszej społeczności polskiej. Nawet Rosja bolszewicka, w rozpędzie niszczycielskim zburzywszy rodzinę, pragnęłaby po kilkunastoletnim doświadczeniu do niej powrócić; niestety, zbyt wielkie poczyniła w niej wyłomy, aby ta odbudowa i odrodzenie społeczeństwa przez rodzinę mogły tam łatwo nastąpić.

U nas w Polsce, dzięki Bogu, nie było świadomego niszczycielskiego burzenia rodziny, ale doba wojenna i powojenna poczyniła w jej zrębach głębokie szczyby, które sprawiły, że rodzina współczesna niejednokrotnie nie może należycie spełnić swojej misji społecznej, co z kolei w sposób bardzo dotkliwy odbija się na naszym życiu zbiorowym.

Normalna, zdrowa rodzina przez własny przykład i religijne wychowanie młodych pokoleń, wchodzących później w życie, przepaja całe społeczeństwo duchem prawdziwie chrześcijańskim; przez wychowanie moralne utrzymuje ogólną etykę w społeczeństwie na należytych poziomach. Należyte wychowanie dzieci, będące podstawowym powołaniem i misją rodziny, pozwala przy normalnym układzie stosunków patrzeć w szeregi naszej młodzieży z ufnością i wiarą, że ona trzymać będzie wysoko sztandar swej młodości i promieniować poletem idei, czystością myśli i obyczajów, zapalem do rzeczy pięknych i wzniosłych. Zdrowa rodzina, trwając wiernie przy swoich obowiązkach, sprawiła, że jedynie w oderwanych nielicznych wypadkach mogła powstać myśl zrywania więzi rodzinnej.

Tam, gdzie rodzina czy to z własnej winy, czy — pomimo jej walki i oporu — z powodu destrukcyjnych wpływów atmosfery chwili, nie mogła w sposób należyty spełnić swojej misji, stosunki te przedstawiają się smutnie.

Gdy w rodzinach naszych w szeregu ostatnich dziesiątków lat barometr etyki opadł poniżej normalnego poziomu, widzimy w społeczeństwie znaczny upadek moralności publicznej, a wrażliwość etyczna u ludzi, pochodzących nawet ze sfer, które dotąd zwykły były przodować we wszystkich dziedzinach postępowi społecznemu, zmniejszyła się do granic zastraszających. Jeśli chodzi o młodzież, to jakże często widzimy dziś młodych, pozabawionych prawdziwego powabu młodości. W małżeństwach separacje, rozwody, porzucenia rodzin, zmiany religii, ułatwiające te chorobliwe praktyki, osierocanie za życia nieszczęśliwych dzieci — stały się, niestety, chle-

bem powszednim. A młodzież nasza na tych wzorach się kształcać, urabia sobie według nich własne pojęcia życiowe.

Lekarstwem na te i tym podobne groźne w swych przejawach stosunki, które zresztą nie są tylko stosunkami polskimi — jest reaktywowanie w całej pełni misji społecznej polskiej rodziny. Niechaj nasi młodzi, snując marzenia o własnym szczęściu, pamiętają w chwilach stwarzania nowych komórek rodzinnych, co są powinni Ojczyźnie i społeczeństwu.

### IV

A wreszcie — to własne szczęście osobiste. Nie jest ono zresztą zazwyczaj zupełnie osobistym, bo się tak silnie zazębia z dobrem ogólnym, że ich nieraz po prostu oddzielić od siebie niepodobna.

Bo rodzina — to kuźnia, w której — wobec faktu przekazywania cech własnych dalszym pokoleniom — wartości osobiste przekuwają się automatycznie na walory społeczne, i, odwrotnie, przeciwwskazania zawiązywania prywatnego życia są również przeciwwskazaniami z punktu widzenia dobra publicznego. Nie wiąż się na całe życie z osobą chorą, bo i sam zgotujesz sobie niedolę, i krajowi nie przysporzysz zdrowych, pożytecznych obywateli. Nie zakładaj rodziny z osobą innej wiary, innej kultury, dalekich od twoich przekonań i usposobienia, bowiem te zbyt głęboko sięgające różnice i w twym życiu osobistym mogą stanowić później — gdy pierwsze upojenia przemiją — źródło stałej dysharmonii — i z punktu widzenia społecznego nie dają należytych gwarancji. Przeciwnie — zdrowe fizycznie i moralnie, i dobrane charakterami i obliczem duchowym małżeństwo nie tylko znajdzie osobiste szczęście, ale będzie także dodatnio promieniować na otoczenie i da rękojmię wychowania nowych pokoleń moralnych i pożytecznych dla kraju.

Rodzina, na zdrowych założona podstawach, to — źródło prawdziwego szczęścia nie w absolutnym, rzecz prosta, tego słowa znaczeniu, bo tego na ziemi osiągnąć się nie da, ale w granicach możliwych, zakreślonych miarą tego głębokiego zadowolenia, jakie daje wzajemne przywiązanie, wzajemny pociąg, wspólność zainteresowań, zrozumienie obustronnych dążeń i ideałów, podział myśli, oparcie w chwilach ciężkich i pomoc w potrzebie.

„Kto mnie uzna — powiedział Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich” — jeżeli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana”.....

Rodzina to — cicha przystań, do której z rozkoszą zawiąza człowiek, jeżeli już nie umęczony życiem — bo na to młodym zawczasem — ale utrudzony i znużony, szczególnie w dzisiejszych czasach, jego tempem, gorączkowością, chaotycznością, walką.

Jeżeli nie brać pod uwagę wypadków małżeństw nieszczęśliwych, to na ogół powiedzieć można, że rodzina to — radosna szkoła odpowiedzialności, obowiązku, pracy i wzajemnej ofiary na rzecz wspólnego szczęścia. Mówimy: radosna. Bo życie poza rodziną też uczy tych rzeczy, ale w sposób nieraz ciężki, twardy i bezlitosny. Tu każdy wysiłek ułatwia świadomość, że się go niesie dla drogiej istoty, a później jest on sowiec wynagrodzony przez należyte przez nią tej ofiary, pracy, czy spełnionego obowiązku docenienie. Jeżeli za zbyt może idealne uznać należy powiedzenie Maryni Połanieckiej, że nie po to wychodzi się za mąż, żeby być szczęśliwą, ale po to, żeby spełnić obowiązek — to nie można zaprzeczyć, że później ta świadomość sumiennie i uczciwie

spełnionego obowiązku, wykonanej pracy, czy poniesionej ofiary jest źródłem jeżeli nie szczęścia, to głębokiego i szczerego zadowolenia. Prawda ta potwierdza się nawet wówczas, gdy związek małżeński zamiast spodziewanego szczęścia przynosi z sobą gorzyc i niedolę. Wygląda to paradoksalnie, ale w tych razach, a nawet w wypadkach, gdy — jak to się dziś, niestety, tak często praktykuje — jedna ze stron dla jakichś najczęściej złudzeń, czy przemijających wrażeń, odchodzi, a druga, nie mając sobie nic do wyrzucenia, pozostaje i trwa przy obowiązku, choć w rozdarciu i osamotnieniu — ta ostatnia będzie w swym nieszczęściu szczęśliwsza od tej, co odeszła, bo ma poczucie z godnością spełnionego obowiązku, a życie tamtej, jeżeli nie jest wyzuta z wszelkich szlachetniejszych uczuć, staje się po otrzeźwieniu pasmem udręki, wiecznego wyrzutu i upokorzenia.

Rodzina to — schron przed trującymi zarazkami, jakie wytwarza brud życia. Jest go zawsze w świecie nie mało; dziś — więcej, niż kiedykolwiek.

Na uczciwych założonych podstawach, rodzina polska, odgradza się od życiowego brudu, każe o nim zapomnieć i czerpać w poczuciu dobrowolnie przyjętego na siebie obowiązku, w napięciu wzajemnego uczucia, w sumieniu własnym, w łasce Sakramentu i dostojności przysięgi moc do wytrwania i dochowania w całej pełni obustronnej wierności małżeńskiej.

Rodzina to — cenny skład, w którym obie strony nagromadzają siłą dziedziczenia i tradycji szacowne nie raz duchowe skarby przeszłości. Radością jest te skarby odnajdywać, z nimi obcować, o ich wartości wzajemnie się pouczać, a następnie najcenniejszą ich część w nieskażonej postaci dalszym przekazać pokoleniom.

Rodzina to — radość, płynąca z odradzania się w następnych pokoleniach. Każde dziecko jest pięknym tworem Bożym, dziecko własne, opromienione miłością — podwójnie pięknym i drogim. Jego pierwsze kroki, jego dziecięcy szczebiot, jego stopniowy rozwój fizyczny i duchowy, jego wzrastanie w cnotach, które byśmy w nim widzieć pragnęli, jego powodzenie w życiu — to wszystko źródła niewyczerpanej dla rodziców radości.

Rodzina wreszcie to — najpiękniejsza synteza miłości. Miłości prawdziwej, nie tzw. „kochania się” w kimś, bo to uczucie jest płytkie i przemijające, kochanie siebie, jak słusznie mówi logiczny rozbiór samego słowa, w cudzych składanych mi hołdach, w schlebaniu mojej próżności, w podsycaniu mojego egoizmu. Miłość prawdziwa to — działanie odśrodkowe, a nie dośrodkowe. To — nie szal zmysłów, egzaltacji czy złudzenia, to nie trzcina, chwiejąca się od byle podmuchu. To — uczucie hartowane, jak stal, bezinteresowne, a czyste, jak złoto. To zdolność do ofiary i poświęcenia dla najdroższej istoty, to trud życia, ochotnie dla niej niesiony.

Do takiej nieegoistycznej miłości zdolna jest przede wszystkim kobieta, w szczególności kobieta polska. Ona też jest otoczona cziłą, powszechną ostoją i strażniczką rodziny, jej jasnym i dobrym duchem. W dzisiejszych czasach zdarzają się, niestety, częste od tej reguły wyjątki, ale i w tych razach przyczyną ich nie jest przeważnie przewrotność, a nieszczęsny duch czasu, pozwolenie na opanowanie się złudzeniom i egzaltacji, i bunt przeciwko cierpieniu, od którego, niestety, na ziemi uciec niepodobna. Te wyjątki nie podważają reguły.

Błogosławioną rolę kobiety w ognisku rodzinnym przedstawiła wiernie w swoim wierszu „Do kobiety” Maria Konopnicka. Ale też wskazawszy, jak rozumie prawdziwą miłość w małżeństwie, przestrzega wymownymi końcowymi słowami:

Jeśli w twym sercu, kobieto, nie bije  
Uczucie takiej podniosłej miłości,  
Nie mów ty „kocham” nikomu na ziemi,  
Bo ten, co z tobą połączy swą dolę,  
Patrząc na ciebie oczyma smutnymi,  
Nigdy nie powie, że żyje,  
I wzrósłszy całą w poziomą niewolę,  
Nie zrobi nic dla przyszłości.

\* \* \*

Takie oto następują się myśli na temat rodziny z ostatniego, osobistego, punktu widzenia.

Z której bądź więc strony spojrzeć na to zagadnienie, rodzina staje przed nami w blasku swych bezcennych wartości, jak świetlany drogowskaz na splątanych drogach współczesnego życia. Oby nasze społeczeństwo tę rolę jej należycie zrozumiało, ukochało jej ideę, nauczyło się ją cenić, jak skarb narodowy, i stanęło w jej obronie wszędzie tam, gdzie destrukcyjne prądy chwili chciałyby jej dostojność obniżyć, a jej prostą linię wykoszlawić i poszczerbić. Oby, zakładający ogniska rodzinne, mogli dowieść, że nie są im obce te proste myśli i te wskazania, które tu zostały rzucone celem przypomnienia starych, a niezniszczalnych prawd.



Andrew Wright, 15-miesięczny obywatel angielski w ostrym przygotowaniu wojennym.

**Nie pozwól by głodne i zziębnięte były dzieci bezrobotnych — złóż ofiarę na Pomoc Zimową**

# HIGIENA SKÓRY I KOSMETYKA LECZNICZA

## Racjonalne mycie skóry.

Jako przysłowie już nieomal utarło się powiedzenie, że kulturę narodów określamy po ilości zużytej wody i mydła. Mycie się jest bezwzględnie podstawą zasady higieny osobistej, jeżeli jednak ma ono przynieść skórze naszej korzyść, a nie szkodę, musi być umiejętnie wykonywane.

Proszę niech się moi Czytelnicy nie poczują urażeni, że posądzam ich o brak umiejętności w tym kierunku. Proszę mi wierzyć, że wielu ludzi używających dużej ilości wody i mydła, nie umie się jednak myć dobrze.

Weźmy przede wszystkim porę mycia. Naturalnie, że po pracy czy sportach powodujących zabrudzenie rąk lub nóg, spocenie ciała — należy umyć się natychmiast, ale gruntowne mycie całego ciała powinno się odbywać zawsze wieczorem — przed snem. W czasie snu następuje rozprężenie mięśni, rozluźnienie skóry, pory się otwierają i, o ile nie oczyścimy gruntownie skóry z całodziennego kurzu, brudu i bakterii, połączonych z łojem skórny i potem, zostanie to wszystko wchłonięte przez głębsze warstwy skóry, powodując w następstwie różne jej schorzenia. A tymczasem skóra posiadająca własności nie tylko chłonne, ale i wydzielnicze, jeżeli jest czysto umyta — w czasie snu może usuwać z organizmu zużyte produkty, co jest jednym z jej poważnych zadań.

Powinniśmy więc uregulować tryb życia w taki sposób, aby gruntowne mycie całego ciała odbywało się wieczorem i nie było nigdy zaniedbane bez względu na stopień zmęczenia. — Poranne mycie natomiast może być już pobieżne — ma ono na celu tylko odświeżenie skóry ciała przed rozpoczęciem codziennych zajęć.

Podstawowymi czynnikami mycia są: woda i mydło. Jakość i rodzaj tych czynników mają dla skóry, a jeśli chodzi o wodę, to nawet dla całego organizmu bardzo poważne znaczenie; dowodem tego jest hydropatia — tzw. wodolecznictwo, stosowane przy różnego rodzaju chorobach wewnętrznych. Pierwszym rzecznikiem wodolecznictwa był ks. Kneipp, a tym, który myśl tę oparł na doświadczeniach ściśle medycznych jest dr Jan Żniewicz w Poznaniu, twórca nowoczesnego systemu wodolecznictwa. Twierdzi on, że mycie tylko twarzy, a w najlepszym razie do połowy ciała, jest wybitnie szkodliwe, gdyż powoduje nadmierny napływ krwi do pewnych części ciała, a niedokrwienie innych. Ten sposób mycia jest przyczyną bardzo wielu dolegliwości wewnętrznych, z czego — myjąc się — nie zdajemy sobie zupełnie sprawy.

Otóż woda do mycia musi być miękka, a jeżeli taka nie jest, „zmiękczyć” ją przez przegotowanie z dodatkiem sody oczyszczonej lub boraksu — łyżka stołowa na 6 litrów wody — przynajmniej na 12 godzin przed użyciem.

Do mycia całego ciała przy skórze normalnej i dobrym stanie zdrowia wewnętrznego używamy wody letniej i mydła neutralnego (lecniczne-przetłuszczone), po splukaniu mydła można jeszcze natrzeć całe ciało szorstką rękawicą, zmaczaną w wodzie chłodnej; jeżeli chcemy pojedźnić skórę dodajemy do tej wody ocet aromatyczny czy stołowy-winny: łyżka na litr wody. Nacierając ciało wodą robimy to zawsze w kierunku serca: od stóp ku górze, od dłoni do ramion. Przy poceniu się polecam mydło lawendowe — usuwa ono niemiłą woń skóry; specjalnie dla pań — dezynfekcyjne mydła: tymolowe i borno-tymolowe.

Skóra twarzy jest delikatniejsza niż całego ciała i bardziej zróżniczkowana, dlatego wymaga jeszcze staranniejszego doboru wody i mydła.

I tak skóry blade można myć wodą dobrze ciepłą i zaraz splukiwać zimną, aby wywołać silniejszy dopływ krwi, natomiast przy cerze mocno rumianej (ale bez krwawych żyłek) można umyć twarz tylko wodą gorącą — chwilowo zaczerwieni się jeszcze silniej, a potem zblednie. Przy krwawych żyłkach stosujemy zawsze wodę o jednakowej temperaturze — tylko letnią i mydła ichtiolowe lub hammamelisowe. Nigdy w tym wypadku nie można dać wody zimnej, która chwilowo zwięża naczynia krwionośne, ani gorącej, która je rozszerza, a najgorsze już jest połączenie: po gorącej — zimna.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę za zasadniczy podział gatunków skóry na: suchą, normalną, tłustą i mieszaną, to dla cery tłustej i mieszanej nadaje się woda gorąca lub dobrze ciepła, przy rozszerzonych porach zaraz po gorącej — chłodna. Mydła osuszające: boraksowe, salicylowe, rezorcynowe, anogenowe, chloractinowe. Przy zawągrzeniach razem z mydłem masujemy skórę otrębami pszennymi lub czerstwym chlebem razowym, rozmoczonym w wodzie i rozkruszonym w palcach. W razie łuszczenia naskórka przy cerze tłustej nie należy używać mydła lanolinowego np., a tylko przed umyciem wodą i mydłem zetrzeć z twarzy kurz i brud olejkami migdałowym, płynną parafiną, czystym, świeżym, niesolonym smalcem, czy wreszcie goldkremem — ale nie na watce, a zawsze na kawałku batystu — zapobiegnie to łuszczeniu. W młodym wieku przy wyrzutach ropnych na tle łojotoku często stosowane bywa mydło siarkowe, ale jest ono środkiem niebezpiecznym, bo pobudza porost owłosienia na twarzy, do którego wiele pań ma wyraźne skłonności; radzę w tym wypadku mydło salicylowe lub anogenowe, dla osób starszych zaś rezorcynowe lub chloractinowe.

Skóra sucha wymaga bardzo delikatnych, jak lanolino- we, palmowe.

Bez względu na gatunek skóry, jeżeli używamy pudru czy przy bladej cerze odrobinę różu, należy go przed umyciem zetrzeć jednym z tłuszczów wyżej wspomnianych. Nadmieniam, że pudry nie zawierające składników szkodliwych dla skóry powinny być lekkie, niezbyt przylegające, a różę jedynie suche — jeżeli w kamieniu, to koniecznie na bazie bez gipsu.

Omówiłam tu zasadnicze podstawy racjonalnego mycia, które powinny być stosowane od najmłodszych lat, jeżeli mycie to ma być dla nas pożyteczne, a nie szkodliwe. W dalszych artykułach będę kolejno poruszać zasady lecznictwa i higieny skóry ciała i twarzy przy użyciu najprostszyc środków i sposobów domowych.

W wypadkach kiedy rady ogólnikowe będą niewystarczające, chętnie służę będę bezpośrednimi odpowiedziami na łamach pisma lub listownie.

Przy wszelkiego rodzaju zapytaniach należy brać pod uwagę cztery czynniki warunkujące ustalenie racjonalnej pielęgnacji, a mianowicie:

- 1) gatunek skóry: sucha, normalna, tłusta czy mieszaną;
- 2) wiek;
- 3) stan zdrowia wewnętrznego: przebyte poważniejsze choroby i stan obecny serca, nerek, wątroby, organów kobiecych i specjalnie żołądka;
- 4) sposób dotychczasowej pielęgnacji: jaka była używana woda, mydło, ewentualnie krem, puder czy róż.

Mając tak dokładne dane dopiero będę mogła dobrać właściwy sposób pielęgnowania cery.

*Helena Brzezińska*

Kierowniczka Działu Kosmetycznego  
w Instytucie Kosmetyczno-Lekarskim  
I Z I S  
w Warszawie.

# Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

## WIARA W ZMARTWYCHWSTANIE

„Szalejesz, Pawle! Wielka nauka do szaleństwa cię przywodzi” — tak odezwał się rzymski wielkorządca Faustus do Pawła z Tarsu, gdy ten zaczął mu mówić o pewnym człowieku, Jezusie, który umarł, a potem zmartwychwstał. Kiedyś tenże Paweł w przesławnym areopagu ateńskim przemawiał do żądnych nowinek i nowych bogów Ateńczyków. Słuchali go cierpliwie i z zaciekawieniem, aż do momentu, gdy zaczął im mówić o zmartwychwstaniu. Ale w tym momencie powstał zgłęb i śmiechy — zmartwychwstanie, to pomysł zbyt fantastyczny i zbyt niesłychany dla ateńskich mózgów.

W kilkaset lat później wielki biskup Hippony, Aurelius Augustinus, skarży się również, że w niczym tak stanowczo nie sprzeciwiają się jego współcześni nauce chrześcijańskiej, jak w zmartwychwstaniu umarłych.

Zbyt dziwne, zbyt dalekie od pojęć zdobytych doświadczeniem tysiąceci było opowiadanie o zmartwychwstaniu. Ludzie wychowani w wiekowym naturalizmie na dźwięk tego słowa nie mogli reagować inaczej, jak uśmiechem lekceważenia lub obojętną niewiarą. Nawet ci, którzy wierzyli w najbardziej fantastyczne baśnie, dotyczące ich bogów, nie chcieli słuchać o możliwości zmartwychwstania. Tak na wieść o zmartwychwstaniu reagowali poganie.

Żydzi zareagowali inaczej. Stali blisko tego wydarzenia. Zaprzeczyć wszystko było trudno. Uporali się z tym po żydowsku. Dali pieniądze żołnierzom strzegącym grobu, a ci zeznali spokojnie, że widzieli, jak uczniowie przyszli i zabrali ciało zmarłego, gdy oni, wartownicy, spali. Nawet niezręczne kłamstwo dobre, byłe sprawę zagmatwać i utracić w opinii publicznej. Sprzedajni informatorzy opinii publicznej są zawsze do dyspozycji. Dziś rolę piłatowych żołnierzy równie chętnie za równą cenę spełni sprzedajna prasa.

Żydzi jeszcze przy innej okazji spotkali się z wieścią o powstaniu umarłych, gdy pewien wybitny obywatel Betsaidy, imieniem Łazarz, od czterech już dni zmarły, wrócił do życia i wraz z nimi zasiadł do uczty, która miała być ucztą po jego pogrzebie. Jak zareagowali na to Żydzi? Oto postanowili zabić i cudotwórcę, i tego, który cudu doświadczył na sobie. Nie mogą się zdobyć na zbadanie i uznanie faktu. — Ślepa, mordercza nienawiść, oto jedyna ich odpowiedź na wieść o objawieniu nadprzyrodzonej mocy.

Tysiąc osiemset lat później: O małej mieścinie, zagubionej w wąwozie dzikich niebotycznych Pirenejów, rozchodzą się wieści dziwne. Wprawdzie tam w Lourdes nie wstają umarli z grobu, ale prawie znad grobu wracają do życia ludzie bliscy skonań, jak gdyby nowe życie tchnięto w ich bezsilne, zniszczone i konające organizmy.

Jedni uznają w tym cud. W ubielbieniu wznoszą wspólną świątynię — pomnik nowego objawienia naziemskiej, twórczej mocy. Inni nie raczą słuchać tych wieści, jak Ateńczycy Pawłowych wieści o zmartwychwstaniu. Głosiciele uważają za zwykłych szaleńców, jak szlachetny Festus Pawła z Tarsu. Jeszcze inni reagują kłamstwem i nienawiścią.

Wielki pisarz-myśliciel, wolnomysłny i postępowy wódz szkoły naturalistycznej, Emil Zola, raczył zainteresować się tą sprawą. W roku 1892 jedzie do Lourdes, obserwuje, bada, wnioskuje i zapowiada książkę na ten temat. Książkę, która dla wielu po dziś dzień jest wyrocznią w tej sprawie.

Zola spotkał się z tym, co nazywają cudem. Marie Lebranchu pod imieniem Grivotte stała się bohaterką zapowiedzianej książki Zoli. Grivotte przybyła do Lourdes w opłakanym stanie. Jak pisze Zola, Grivotte jest suchotnicą trzeciego stopnia. W płucach otwarte rany — jedno płuco już jest stracone, drugie niewiele więcej warte. Od lat pięciu jest stałą klientką szpitali paryskich. Wychudła niemilosiernie, stale zalana potem, kaszle tak strasznie, iż zdaje się, że wyrwie sobie serce, nie może utrzymać się na nogach, nie może jeść.

Na uparte jej żądania zanurzono ją w lodowatej wodzie z cudownego źródła. Niedługo potem Grivotte wpada jak wicher do Biura Sprawdzania: „Jestem udrowiona!” Istotnie Grivotte zmieniła się kompletnie, pełna życia, zapału, sił i apetytu. Przez dwie godziny szła za procesją, jak pisze sam Zola, „tańczyłaby zapewne do rana, gdyby Święta Dziewica wydała bal”... Lekarze stwierdzili, że rany w płucach znikły, a zupełnie nowe siły ożywiły organizm.

Pierwsza część powieści Zoli jest wiernym opisem historii Marii Lebranchu. Ale część druga jest smutna i ponura. I smutne, i ponure światło rzuca na słynnego pisarza naturalistę... Grivotte odjeżdża z Lourdes. Im dalej od źródła cudownej mocy, tym gorzej się czuje. Recydywa jest kompletna. Wracają wszystkie objawy gruźlicy w ostatnim stadium rozwoju. To tylko atmosfera cudowności i entuzjazmu, otaczająca cudowne źródło pobudziła na krótko siły nieszcześniejszej suchotnicy. Wkrótce Grivotte umiera — albo ściślej mówiąc — sławetny autor każe jej umierać...

Bo jaka naprawdę była dalsza historia Marii Lebranchu po wyjeździe z Lourdes? Recydywy nie było. Grivotte była uzdrowiona gruntownie i trwale. Prezes Biura Sprawdzania, dr Boissarie, oburzony takim przedstawieniem sprawy odwiedził w Paryżu Emila Zolę i zapytał go: „Jakżeż pan śmiał uśmiercać w swej powieści Marię Lebranchu? Przecież panu dobrze wiadomo, że jest ona obecnie równie zdrowa jak pan i ja”.

„Mało mnie to obchodzi” — odpowiedział Zola. „Osoby z moich powieści należą do mnie. Mogę im kazać żyć lub umierać, zależnie jak mi się podoba. Nie potrzebuję się liczyć z niczym, jak tylko swoją wyobraźnią i interesem mego dzieła”.

Innymi słowy nawet oczywiste kłamstwo jest dobre, jeśli idzie o osiągnięcie pewnych celów — a w tym wypadku zdyskredytowanie wiary w zjawiska nadprzyrodzone.

Doprawdy przez 18 wieków niewiele zmienili się ludzie. Te same metody walki z zaświatem.

Świadków nadprzyrodzonego zjawiska skazuje się na śmierć, lub chowa się ich za chmurą kłamstwa — jak niegdyś dostojni faryzeusze uradzili zabić wskrzeszonego



z martwych Łazarza, a srebrnikami zdobyć kłamliwe świadectwo rzymskich żołdaków.

Tym motywem działania interes faryzejskiej kasty — tu „interes dziela” — ale nigdzie interes Prawdy...

Wiara w nadprzyrodzoną siłę nie pada pod takimi ciotosami. Uderzają one raczej w tych, którzy się nimi posługują.

Krytycyzmem wobec opowieści o zmartwychwstaniu odznaczali się i uczniowie Jezusa. Nie byli łatwowierni. Naocznie i dotykalnie musieli stwierdzić, że powracający z krainy śmierci Jezus z Nazaretu jest rzeczywistością nie złudzeniem. I to stwierdzenie z tchórzliwych i pełnych zwątpienia rybaków galilejskich zrobiło zdecydowanych apostołów i bohaterów męczenników. Bez przyczyny tak się nie zmieniają ludzie.

Gdy historia Jezusa z Nazaretu skończyła się klęską, poniżeniem i śmiercią, uczniowie pozostaliby tym, czym byli w chwili Jego śmierci i w pierwszych dniach po pogrzebie: gromadą prostaczków strwożonych i zawiedzionych w swych nadziejach przez Tego, który obiecy-

wał zmartwychwstanie, a skończył na zawsze w ciemnym grobie.

Rozezarowanie i zawód tak ponury po tak wybujałych i gorączkowo oczekiwanych nadziejach nie mogły stworzyć typu apostoła. Kamień grobowy, zamykający grób Chrystusa ciężarem beznadziejnym, przygniótł i ducha Jego uczniów.

Tylko zmartwychwstanie mogło sprawić, że ten stan beznadziejnego przygnębienia nie przetrwał na zawsze, że dzieje uczniów Jezusowych potoczyły się tymi torami, jakie znamy z historii. Bez cudu zmartwychwstania historia uczniów Jezusa byłaby sama cudem niezrozumiałym...

Dlatego zmartwychwstanie, to nie tylko przedmiot wiary — to fakt w historii i źródło tego bezspornego faktu, który nazywamy chrystianizmem. Metody faryzeuszów i pokrewna im metoda oświeconego Zoli, i plejady jego uczniów, nie zdoła usunąć z historii świata tego faktu, że nadprzyrodzona moc działała i działa wtedy i tak kiedy i jak jej się podoba.

Olsza.

GOSTA

## Zmartwychwstał Pan.

Świt. — Niebo się purpurą, złotem  
Obleka... Płoną już zboż runie.  
Dzień z dziwnym ducha się polotem  
Rodzi w radosnej chwale łunie.  
Świat — lśniący, jasny, rozmodlony.  
Po kregu ziemskim biją dzwony:  
„Zmartwychwstał Chrystus Pan nasz ninie! —  
Zmógł śmierć i piekiel zmógł mocarze! —  
I rzucił wrogom swoim w twarze  
Zwycięstwa chorągiew!” — Do nieb pował  
Pieśń rwie się, wichrem płynie:  
„Piekielne moce Sam zwojował! —  
Niebios otworzył nam podwoje! —  
Duszą świat wielki rośnie i rozwiiera,  
Zrąb stawia pod Królestwo Swoje! —  
Krzyżowa prawda chrobra, szczerza  
W świat idzie już na dusz podboje! —  
Dusza się ziemi przyodziewa  
W złoto idei, co nie ginie,  
Ale świat — schylon ku ruinie  
Podźwiga — szczyty mu zapala  
Przed żrenicami” — Grzmi ulewa  
Dzwonów i pieśni. — Wielka fala  
Tryumfu ziemią idzie. — Dusze  
Poją się w świętej zawierusze  
Radości. — Chrystus Pan prawdziwie  
Wstał z martwych — i — wśród nas dziś żywie!”  
I grają dzwony, serca grają:  
„Niech Chrystus żyje wśród narodów! —  
Niechaj narody zmartwychwstają  
Na duchu! — Chrystus Zmartwychwstały  
Niech wejdzie do ich sumień grodu!  
Niech żyje w ich kulturze — cały! —

JÓZEF BARANOWSKI

## Hosanna Zwycięzcy Śmierci!

Bo niezbadane są dla mnie, o Chryste, wyroki Twoje. — Oto dźwiękami niebios ma lutnią ku chwale Twej stroje...

...przez moją duszę przepływa strumieniem pociechy słonecznej, — Twa przenajświętsza łaska uśmiechem miłości odwiecznej — ...ani mnie trud nie nęka — ani mnie rozpacz trudzi; bo niedaleki czas — w którym głos Twój z drętwyoty smutku mnie zbudzi...

...i dotąd krwawi me serce przebite włócznią zdrudy... po trzykroć krzyż Twój podnoszę, po trzykroć znowuż upadam — ...lecz dzień zwycięstwa jest bliski, więc błagam wspomóż mnie, Panie! — Niech wszystko podług Twego nakazu i woli się stanie.

\* \* \*

Kwietniowy, cichy poranek. Wiosna w błękitnych niebiosach — ... ptaszęce, srebrne świergoty są pełne słońca i rosy.

Wyjdź polom i łąkom naprzeciw w kwietniowym brzaśku świtania. — ... i wielbij głosem serca chwałę i wielkość Pana!

Spójrz, oto idzie ku tobie jak wódz waleczny, zwycięski! — ... poprzez burzliwe zamiecie, wzloty, upadki i klęski.

Spójrz, oto idzie ku tobie... ramiona rozpostarł zbolałe — ... a słońce aureolą wieńczy Mu skronie w chwale... Stokrotki przenajświętsze stopy skrawione całują... — ... Chrystus zmartwychwstał w twym sercu słonecznym. Alleluja!

Świat cały kołysze się w dzwonach...

w radosnym hymnie miłości!

„Hosanna Zwycięzcy śmierci!”

Hosanna na wysokościach!

LICZNYM TYSIĄCOM RODZIN POLSKICH CZYTAJĄCYCH  
NASZE PISMO, PRZESYŁAMY SZCZERE ŻYCZENIA

„WESOŁEGO ALLELUJA”

Redakcja i Administracja  
„RODZINY POLSKIEJ”

# Z SZER ŚWI

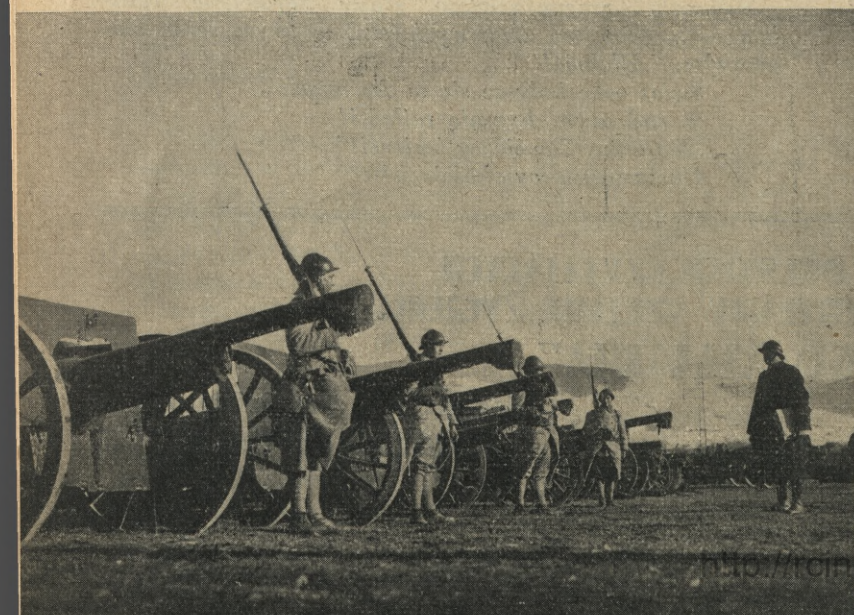


*Pan Prezydent wita przedstawicieli armii obcych w Zakopanem.*



*Rumuński min. Gafencu i ambasador Franasovici składają wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.*

*Armia katalońska, uciekając na terytorium francuskie, przywiozła do Francji olbrzymie ilości materiału wojennego. Oto żołnierze francuscy na straży armat hiszpańskich.*



*Kanclerz Hitler otwiera międzynarodową wystawę automobilową w Berlinie.*

*Ex-prezydent hiszpański Manuel Azana po swej abdykacji.*



# DKIEGO ATA



*Księżę Jemenu na konferencji palestyńskiej w Londynie. Szabla w jednej ręce, kindżał w drugiej; nic dziwnego, że konferencja się nie udała.*

*Senator Berard (na lewo) i min. Bonnet podczas obrad nad sprawą hiszpańską. Senator Leon Berard podczas swych kilkakrotnych podróży do Hiszpanii doprowadził do uznania rządu gen. Franco za legalny rząd hiszpański. Wzmania za tę usługę ofiarowano mu godność pierwszego ambasadora francuskiego w Burgos. Sen. Berard nie przyjął tej godności. Pan senator wolał zostać w Paryżu i ma zamiar ubiegać się o godność prezydenta republiki w nadchodzących wyborach. Pan senator Berard ma za sobą prawie francuską, ale spotka się ze zdecydowanym oporem frontu ludowego. Jego ewentualny wybór byłby więc ostatecznym potwierdzeniem dokonanej likwidacji smutnej pamięci frontu ludowego.*



*Min. Ciano przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Min. Ciano przybył do Warszawy ze swą żoną córką Mussoliniego i całym sztabem czołowych dziennikarzy włoskich. Celem wizyty było nie tylko podtrzymanie tradycyjnej przyjaźni, ale i zbadanie aktualnych problemów polityki, zwłaszcza w dziedzinie spraw surowcowych i kolonialnych.*

*Odstąpienie pomnika powstańca Francesco Nullo przez min. Ciano w Warszawie.*



# JÓZEF SVÍTIL-KARNÍK CZESKI KATOLICKI POETA I PRZYJACIEL POLSKI

(W XXXV-lecie twórczości literackiej).

Od dawien dawna prawdziwą kolebką współpracy kulturalnej i przyjaźni polsko-czeskiej były Morawy, ten odwieczny szlak polski ku wodom pięknego, modrego Dunaju, te żyzne ziemie pobratymczego ludu, wśród którego tradycyjnie żywie pamięć o chwale husarii Sobieskiego i wiekopomnej odsieczy wiedeńskiej. Morawianie zawsze się żywo interesowali przejawami kultury polskiej, utrzymywali ciągłą styczność z przedwojennymi Atenami polskimi — Krakowem i z wielkim umiłowaniem zajmowali się literaturą polską. Na Morawach, gdzie pełno pamiątek i wpływów polskich, nigdy nie brakowało, a i dziś nie brakuje żarliwych i wprost fanatycznych polonofilów. W naszym piśmiennictwie słowianoznawczym sporo na ogół mieliśmy na ten temat artykułów i rozpraw, ale bodaj najżywszą i najwierniejszą ocenę Moraw i Morawian z prześwieceniem ich polonofilstwa podał przed wojną światową dziennikarz galicyjski K. Ostaszewski-Barański. Serdeczne zainteresowanie ziemią morawską, tym przepięknym krajem lekko sfałdowanych wzgórz, osłonięnych lasami granatowo-aksamitnymi, słabnie dopiero po wojnie, kiedy Praga wysunęła się jako centrum kulturalne życia Czech, Moraw i czeskich okolic Śląska. Ale przypomnijmy dla przykładu, że z pisarzy morawskich taki *Józef Konierz* (ur. 1858) przełożył najełniejże dzieła *Kraszewskiego*, *Bałuckiego*, *Junoszy* i *Orzeszkowej*, *Wilhelm Mrstik* (ur. 1863) przekładał *Gomulickiego*, *Jan Hudec* (ur. 1856) tłumaczył *Grudzińskiego* i *Sienkiewicza*, wreszcie *Jan Nečas* (ur. 1849), z wymienionych najstarszy tłumacz pisarzy polskich, którego *Zenon Przesmycki* (Miriam) już przeszło pół wieku temu gorliwie w Polsce propagował i publicznie nazywał „najserdeczniejszym z przyjaciół narodu naszego i jednym z najlepszych tłumaczy poetów polskich”. *Jan Nečas* przełożył znaczną liczbę utworów *Mickiewicza* (m. in. *Ballady*), *Słowackiego* (m. in. *Odwiedziny piramid*, *Godzinę myśli* i *Do autora trzech psalmów*), *Syrokomla* (*Ułasa*, *Margiera*, *Trzy powieści*), *Malczewskiego* (*Marię*), a z innych poetów polskich ogłosił aż dziesięć tomików przekładów w serii zatytułowanej „*Kwiaty z łąk polskich*”. *Nečas* a później *Franciszek Vymazal* (ur. 1841, zm. 1917) wydali przed wojną nawet antologię polskie.

Spśród jednakże wielu zasłużonych przyjaciół Polski na Morawach, a bodaj w całych katolickich Czechach, na pierwszy plan wysuwa się czcigodna postać szlachetnego i niezmiennego w swych uczuciach przyjaźni poety-polonofila, jednego z najwybitniejszych pisarzy czesko-katolickich, doktora *Józefa Svítıla-Karníka*, któ-

rego w lutym rb. obchodziliśmy trzydziestopięciolecie pracy pisarskiej.

Jako poeta *Karník* nie hołdował nigdy modnym prądom, a raczej należał do starszej, konserwatywno-katolickiej grupy pisarzy. Na *Parnas* wszedł cicho, bez wrzaskliwej reklamy, lecz z niewątpliwie znacznym zadatkiem talentu lirycznego, który cenił w *Karníku* ledwie dwa lata odeń starszy, znakomity poeta i mistyk *Otokar Brzezina*, ale wzorem mu pozostał pisarz czesko-narodowy, *Józef Wacław Sládek*. Umiłowanie Boga i głęboki patriotyzm stopiły się w twórczości *Karníka* w jeden amalgamat. Zresztą *Jan Karník* od zarania swej twórczości literackiej reprezentował typ bojowego pisarza katolicko-narodowej awangardy czeskiej, propagując przy tym najżarliwiej i wprost fanatycznie miłość do Polski. Charakteryzując *Karníka* jako pisarza, musimy na pierwszy plan wysunąć wierność całościowość dla czeskiej tradycji narodowej i nieustanne propagowanie kultu rodziny, zbudowanej wprawdzie na idylli małomieszczaństwa, ale jednocześnie tchnącej witalną tężyzną wsi morawskiej. Ten kult rodziny pisarz, wierzący i praktykujący katolik, traktuje jako naturalne przejście do kultu ogólnonarodowego. Tak pojmowany nacjonalizm stwarza dopiero kult ziemi rodzinnej.

Może dlatego tak często w strofach oryginalnych *Karníka* odzywa się lira cmentarna, a śmierć i zagadnienie wieczności jest letmotiwem jego pisarskiej twórczości, lecz te i inne zagadnienia, pojmuje poeta wyłącznie po chrześcijańsku. Cmentarna liryka *karnikowska* nosi w sobie wybitne znamiona wpływu eschatologicznego pieśni *Sládka*. Ale najwybitniejszą cechą poezji *Karníka* jest głębokie umiłowanie *Chrystusa* i prawd objawionych. „Jego wiersze — pisze o nim docent literatury polskiej Uniwersytetu Karola i doskonały sławista, dr *Karol Krejčí* — przepojone są żarliwą świadomością narodową i duchem słowiańskim z wyraźnym nastawieniem katolickim. To nastawienie polega głównie na wewnętrznym przekonaniu religijnym, a także na niechęci względem współczesnych prądów i zmagających się ideowych. Analogiczne pierwiastki osobowe, ludowe i politycznie tendencyjne znajdujemy i w prozie *Karníka*, wśród której zupełnie wyjątkową pozycję zajmuje jego, wyraźnie naturalistyczne opowiadanie pt. „*Soum rak rodu Jamborova*” (N. Mesto, 1921) — („*Zmierzech rodu Jambora*”).

W ciasnych ramach tego artykułu nie możemy zająć się całokształtem działalności literackiej dra *Karníka*. Zwrócimy więc uwagę tylko na tę część, która nas, Polaków, najwięcej interesuje, mianowicie na jego prace



w dziedzinie przyswojenia literatury polskiej narodowi czeskiemu.

W ostatnich dziesięciu latach stał się bowiem najgorliwszym orędownikiem przyjaźni polsko-czeskiej, którą pojmował przede wszystkim jako przyjaźń między pisarzami katolickimi obydwóch stron. Stąd jego uwielbienie dla Kasprowicza i długoletnia przyjaźń z Karolem Hubertem Rostworowskim. Nic więc dziwnego, że w liberalnej i postępowej krytyce spotkał się z taktyką przemilczania i nie cieszył się jak inni, pomniejsi polonofile czescy, względami „Slovanského Przehledu” i prasy beneszowskiej, a czasami z racji swego nieprzejednanego stanowiska katolicko-nacjonalistycznego narażał się na krytyki.

Polska była mu drugą ojczyzną i, jak pisze czeski krytyk, F. S. Horák — „garnie się (Svítil-Karník) od czasów uczniowskich do Polaków, a już szczególnie czteroletni jego pobyt wśród Polaków podczas wojny światowej (najdłużej w Bochni) pogłębił jego miłość ku słowiańskim braciom nad Wisłą”. Takim pierwszym pomyślnym polonofilskim Karnika był zbiorek szkiców, zatytułowany „Pod peruti’ bílého orla”. Poza wstępem ideowym zawarł w nim autor obszerną charakterystykę Jana Kochanowskiego i jego dzieł, ocenił Konstytucję 3 maja, wiele uwag poświęcił Kościuszce, opowiedział swym rodakom o arcydziele polskiej poezji „Panu Tadeuszu”, zainteresował się Zygmuntem Krasieńskim i przywołał jego przestrogi o komunizmie, zachwycał się Matejką, wyśpiewał hymn pochwalny na temat triumfu Sienkiewicza, twórców narodowych eposów i z zapalem oceniał piękno stylu i języka w utworach Żeromskiego.

To jednakże nie pierwszy oddźwięk polonofilski (poza artykułami i korespondencjami w prasie codziennej i periodycznej). Nawet w poezji oryginalnej Karnik wciąż myśli o Polsce. W tomiku „Moravská symfonie” kreśli sympatyczny obrazek „V polské vsi” (s. 42-3), a w wierszu „Vavřinkuv Josef” bohater jego, rodak nowomiej-ski, przyjmuje udział w polskim powstaniu 1863 r. Podobnie w wierszu pt. „Sjezd” przez usta prof. Samohrda oręduje polskiej literaturze i aplauzuje „synowski stosunek najświetlejszych twórców uczonej i artystycznej Polski dla Kościoła katolickiego i religii Chrystusowej”.

Książkowo wydane przekłady Karnika z polskiej literatury poetyckiej otwiera niewielki tomik poezji mistrza z Czarnolasu, pierwszego liryka słowiańskanow. Karnik przetłumaczył wszystkie treny Jana Kochanowskiego i wybór jego fraszek. „Treny a frašky” wydane zostały pod auspicjami Czeskiej Akademii Umiejętności i Sztuk jako tomik 156 w serii „Sbornik Světové Poesie” (Praha). Zbiorek ten został opatrzony przez autora w wartościowy wstęp i wydany w dziesięciolecie niepodległości polskiej. Rozpoczął się od słów następujących: „Poezja polska — to świątynia, wzniesiona na niebötyczne wyżyny! Dlatego widzialną jest daleko poza rubieżami. Ani lekceważący sąsiedzi, ani daleko zamieszkali cudzoziemcy nie mogli jej nie spostrzec”. Zresztą ten ton uwielbienia i entuzjazmu dla polskiej literatury i sztuki spotyka się niemal w każdym artykule i szkicu Karnika o Polsce. O wartości przekładu Trenów możemy choćby wnioskować i z faktu, że zostały wydane w edycji Akademii Czeskiej. Musimy jednakże zauważyć, że przekład Karnika nie jest jedyny. Równocześnie z Karnikiem, lecz nakładem własnym wydał drugi przekład dr Em. Chalupny. Co prawda przekład Chalupnego był już dawno znany, ponieważ fragmentami drukowano go w latach 1903-4 w „Besedach času”, ale

tłumacz z wydaniem czekał aż dwadzieścia pięć lat. Przyznać musimy doskonałość tłumaczeniu Chalupnego, ale mimo to, ponad klasyczną wierność należy przełożyć tłumaczenie Karnika, jako bardziej odpowiadające duchowi i stylowi czeskiemu.

W końcu 1929 r. — w dziesięciolecie śmierci Nečasa — pojawia się spory tomik przekładów Karnika pt. „Z p o l s k é h o P a r n a s u”. Na treść tego tomiku złożyły się tłumaczenia wierszy Marii Konopnickiej, Lucjana Rydla, Jana Kasprowicza, Leopolda Staffa, Emila Zegadłowicza i Juliana Tuwima oraz własny wiersz pt. „Ave Polonia!”

Wiersz ten, jako znamieny dla rysu charakteru Karnika przytaczamy we własnym przekładzie:

#### AVE POLONIA!

Najmilsza Ojczyzno bohaterów świętych!  
Rany swych ramion, na krzyż kiedyś wpiętych  
Goisz — dłonią synów z pałacu i z chatki,  
Kłęcząc pod opieką Częstochowskiej Matki.

Wieki wstrzymywałaś hordy Dżyngischana,  
Zapewniając pokój całej Europie,  
Bądź dzisiaj opoką w bliskim już potopie  
I mórz czerwonych i synów Wotana!  
Już z wieżyc wawelskich gromowładny dźwięk grzmi,  
W tobie, Polsko — echo Wojciechowe śni,  
Zachód — szatan kała, Wschód — pławi się w krwi —  
Ty, świeć blaskiem Krzyża wśród tych ciemnych dni.

Ku Pradze spójrz sercem! Czech się z tobą brata!  
I wierzy w twój sztandar, w amarant przybrany.  
Ze lwem sprzymierzony, niechaj Orzeł Biały  
Na słoneczność z mroków powiedzie Słowiany!

W zbiorze „Z polského Parnasu” uderza czytelnika jeden charakterystyczny szczegół: wielka sympatia dla Kasprowicza. Karnik tę sympatię wywodzi poniekąd przez wdzięczną wzajemność, a we wstępie do późniejszej antologii przypomina rodakom swym, że Kasprowicz brał udział w uroczystościach jubileuszowych Teatru Narodowego w Pradze w 1918 r. i o ówczesnych nieporozumieniach polsko-czeskich tak się miał wypowiedzieć:

„Pod powierzchnią, którą dostrzega oko dalekiego obserwatora, a która oddalonego mogłaby zwieść i złudzić, ukrywają się uczucia wspólnoty czesko-polskiej, spoczywa przekonanie, że nas łączy nie tylko nasza krew, ale również i nasza wola jest wspólną i to, że jedynie wspólnymi siłami będziemy mogli urzeczywistnić swe ideały”.

Kasprowicz imponował Karnikowi i jako poeta i jako myśliciel, jako twórca wzniosłej poezji i głębokich tonów wiary religijnej. Zresztą Kasprowicza tłumaczyli i inni, jak Černý Adolf, Kvapil Franciszek, czy Matous Józef. Utwory hymniczne Kasprowicza są w Czechach bardzo popularne. To wyjątkowe umiłowanie przez Karnika największego z polskich poetów w pierwszym okresie powojennym, Jana Kasprowicza, już to tłumacząc go z dużym odczuciem i pietyzmem, już to najwięcej tłumacząc. Nie było to łatwym zadaniem, bowiem i forma literacka, i głęboki ton poezji Kasprowicza nastrecały duże trudności, wreszcie i to, że wiele utworów Jana Kasprowicza już przed Karnikiem tłumaczył Franciszek Kvapil, a po dziś dzień tłumaczy je Adolf Černý, zwany nestorem polonofilów czeskich. Należy wprawdzie przyznać, że przekłady Kvapilowskie są w wielu razach doskonalsze, ale i tłumaczenia Karnika nie grzeszą bynajmniej niedostateczną formą. Z samego tylko Kasprowicza w książkowych wydaniach Karnik ogłosił aż 34 tłumaczenia. Co prawda w tomiku „Z polského Parnasu” ograniczył się do podania wyjątków z ostatnich dwóch zbiorów Kasprowicza, a nie przetłumaczył, niestety,

hymnów, jakby się obawiając, że nie sprostą zadaniu. Uczynił to później za niego i za Kvapila Černy.

Trzecim pisarzem polskim, który najwięcej wzbudził w Karniku zainteresowań, był Leopold Staff. Sam z pochodzenia Czech. Już z tej racji zawsze budził sympatie wśród tłumaczy poezji polskiej w Czechach. Oprócz Karnika szczególnym admiratorem i lansatorem Staffa, a bodaj pierwszym tłumaczem na czeski był h. redaktor „Zlaté Prahy”, a później ppułkownik W. P., Adolf Bogusław Dostał, dziś już w stanie spoczynku, osiadły na zapadłej prowincji gdzieś w Małopolsce zachodniej.

Nie dziwi nas wcale pomieszczenie w zbiorze znacznej liczby utworów Zegadłowicza, który w Czechach jest bardzo znany, ani też wierszy Lucjana Rydla, którego utwory dramatyczne w ciągu długich lat grywano na scenach czeskich, chociaż Rydla jako liryka Karnik prezentował z czeskich tłumaczy. Dziwi nas tylko, że w pierwszej antologii Karnik jeden wiersz tylko przetłumaczył z Konopnickiej. Może by i tego zaniechał, gdyby nie chęć swoistego uwielbienia dla najwybitniejszych koryfeuszów polskiego Parnasu. Konopnicka wprawdzie była tłumaczona w Czechach obficie i to nie tylko w oddzielnych wydaniach, ale również drobnymi fragmentami, rozsiąnymi po periodyce. Zresztą u Otty w Pradze został nawet wydany wybór poezji Konopnickiej w przekładzie J. Pavlisky. Wiedział o tym Karnik i właśnie z uwielbienia dla Konopnickiej chociaż jeden z jej wierszy w swej antologii pomieścił. Na uwagę zaś zasługuje wyjątkowa ideowość Karnika, który już od szeregu lat w licznych artykułach (ostatnio na łamach „Lidovych Listu”) energicznie walczy o wydanie „Pana Balcera w Brazylii” Marii Konopnickiej. Przetłumaczyła tę wychodzącą epopeę Paulina Maternova, redaktorka w Pradze, lecz, niestety, poemat ten od dwudziestu prawie lat spoczywa w rękopisie i daremnie czeka na łaskawego wydawcę.

Ostatnim aktem hołdu złożonego Polsce przez Jana Karnika (dra med. Józefa Svítla) było wydanie w oficynie księgarskiej również szczerego polonofila Leopolda Mazacza w Pradze drugiej i naprawdę reprezentacyjnej antologii poezji polskiej. Spory ten tom ukazał się jako piąty z kolei w „Polskiej Bibliotece” pt. „Poezja wolnej Polski” — „Poesie svobodné Polsky”. Zawiera przekłady 104 wierszy 23 polskich poetów, poczynając od Jana Kasprówicza, L. Staffa i Karola Huberta Rostworowskiego aż do obiecującego talentu Wojciecha Bąka. Sumienność i kunsztowność tłumaczenia rywalizują w tej książce ze śliczną szatą graficzną. Niestety, książka zjawiła się w dobie rozdzwięków polsko-czeskich i najszczerzy nasz przyjaciel i prawdziwy idealista został przez większość prasy naszej przemilczany. Sprawdziło się na nim przysłowie, że inter arma silent musae!

Smutne jest tylko to, że nierówną miarą oceniała Polska Akademia Literatury zasługi polonofilów czeskich i słowackich. Podczas, gdy stawiającemu pierwsze kroki na niwie literackiej, Andrzejowi Żarnowowi, Słowakowi, Polska Akademia Literatury udzieliła srebrny wawrzyn literacki za tomik tłumaczeń, a konsul polski w Bratysławie, p. Wacław Łaciński, uroczyście uczcił zasługi słowackiego autora polskiej antologii poetyckiej, o tyle znów zapomniano o niespożytych zasługach czeskiego polonofila i czeskiego pisarza katolickiego Svítla-Karnika. Dlaczego? Czyż ten siwowłosy, ale jakże krzepki starszek, poeta-lekarz, co wydał dwie antologie poezji polskiej, kilkanaście książek Polsce poświęcił, napisał ze 2.000 artykułów o polskich sprawach, zawsze przychyl-

Żniwo wielkie, a robotników mało! Chrystus woła o ochotników! Młodzieńcze! Jeśli w duszy usłyszałeś Jego wołanie, jeśli chcesz być oficerem-kapłanem-misjonarzem w Jego armii — pisz o przyjęcie do Jego „Szkoły Podchorążych”.

Adresować należy:

1. Z województwa pomorskiego, poznańskiego i łódzkiego: *Zakład Księży Pallotynów, Chełmno, ul. Dworcowa 38, Pomorze.*

2. Z wszystkich innych części Polski: *„Collegium Marianum”, Gimnazjum Księży Pallotynów, Wadowice, woj. krakowskie.*

nych i zawsze omawiających zagadnienia kulturalne bądź religijne, nie zasługiwał z naszej strony na wdzięczność? Dr Józef Svítla jako bezinteresowny miłośnik, tłumacz i propagator polskiej kultury literackiej w Czechach, nie ma sobie równego. Może dlatego o nim nikt nie mówi, że nie bywa na dyplomatycznych przyjęciach i nie stara się sam swych zasług reklamować? Otóż rząd nasz miałby już dawno obowiązek uczczenia zasług Svítla-Karnika, które położył na przestrzeni trzydziestopięciu lat pracy pisarskiej, a to tym bardziej, że Svítla-Karnik poza wymienionymi tłumaczeniami wydał jeszcze książkowo przekłady: Stanisława Wyspiańskiego „Kazimierz Wielki” i E. Zegadłowicza „Budějovické louki”. Kiedy w 1938 r. zaczęły się gromadzić nad Czechami złowrózobne chmury, a katolicka część społeczeństwa czeskiego, bezwzględnie wroga dla sojuszu czesko-sockiego, głosiła otwarcie za wszelką cenę porozumienie z Polską, Karnik był pierwszym orędownikiem tej przyjaźni. Zawsze marzył, by prądy katolickie w Czechach zapanowały i by została ugruntowana przyjaźń między obydwu katolickimi narodami. Toteż, kiedy wczesną jesienią 1938 r. zainicjowano narodową pielgrzymkę częską na Jasną Górę — to heroldem propagandowym tej wyprawy staje się w pierwszym rzędzie Svítla-Karnik i w licznych artykułach nawołuje katolików czeskich do przyjaźni z katolikami polskimi.

Rozwój wypadków politycznych w końcu września 1938 r. przeszkodził przyjazdowi kilku tysięcy Czechów na Jasną Górę. Wiele też się zmieniło w ustosunkowaniu wzajemnym Polaków do Czechów i Czechów do Polaków. Niezmiennym i niezachwianym zostało polonilstwo Jana Karnika, który nie przestał wierzyć w odwieczną prawdę, że Polacy i Czesi wyrokiem dziejów są skazani na wzajemną współpracę i przyjaźń pod warunkiem zachowania niezależności narodowej. I dziś, z tym większą energią rozwija działalność propagandową moralnego poeta.

Dr Józef Svítla to niepowszednie zjawisko na horyzoncie literackim Czech. To godny i prawdziwy następca niezapomnianego Edwarda Jelinka. Jego ideałem była i pozostanie unia czesko-polska, zbudowana na zasadach katolickich i przede wszystkim przez katolików. Nie było i nie ma w publicystyce czeskiej pisarza, który by tak znał opinie najwybitniejszych pisarzy polskich na sprawie czeskiej i nie szermował ich cytatami czechofilskimi, aby tylko przekonać rodaków o konieczności utrzymywania i pogłębiania przyjaźni z Polską. Kiedy na schyłku r. 1936 K. H. Rostworowski wypowiedział się publicznie za porozumieniem polsko-czeskim — Karnik słowami Rostworowskiego kruszył upór i niechęć najzaciętszych polonofobów.

Wśród bojów mogą milknąć muzy, ale nigdy nie zmilkną kochające serca!

# NARÓD BEZ DUSZY

Z wystawy „Wieczny Żyd” w Berlinie.



Tego ranka obudziłem się na nieznannej stacji. Mętny świt wsiąkał zwolna w fioletową głębię przedziału. Spojrzałem w okno. Po prawej stronie, w białej mgłę czał się ciemny mur stacyjny. Po lewej — przysadziste, stare domy kłuły niebo śpiczastymi dachami.

— Heil, Hitler — we drzwiach stanęło trzech młodych ludzi w mundurach koloru khaki.

— Czy są jeszcze miejsca? — zapytali grzecznie nie uchylając z twarzy maski zdobywców świata.

Ktoś usunął z ławki bagaże, których nie chciało mu się przedtem władować na półkę. Młodzi ludzie zdjęli płaszcze, wygładzili je starannie, powiesili.

Dzień podnosił się szary, beznadziejny. To upierne odbarwienie natury i jej martwota zdawały się zaprzeczać celowości ludzkim sprawom i dążeniom. W przedziale panowała atmosfera wiary w życie, w wartość pracy i doczesnych złudzeń.

— Świat się pali — usłyszałem w pewnej chwili. Oznajmił to szczupły blondyn zaciągając się potężnym cygarem tak niewinnie, jakby palił tylko czekoladowe papierosy.

— Nic ważnego — odparł lekceważąco krzepki towarzysz z zadzierzystą miną pyzatego lancknechta. — Jestem przekonany, że dopóki żyją Niemcy nic nie może zachwiać równowagi istnienia. Czyż nie jesteśmy znowu silni, zdrowi i odrodzeni? Któż w końcu lepiej, niż my, zdaje sobie sprawę z tego, co się dzisiaj dzieje i jak należy zmienić oblicze świata, żeby się nie rozpadł, jak ongi starożytność?

Obecni z poważnym westchnieniem, właściwym dyskusji, zaczęli dźwigać ducha na trybunę sędziów ludzkich przeznaczeń. Fale rozmowy popłynęły wartkim nurtem rozbijając się o niewzruszony spokój młodego Japoń-

czyka, który z łagodnym uśmiechem patrzył w okno w takim skupieniu, jakby na zaśniewanej równinie dostrzegł duszę wszechświata.

Mgła skuliła się w rowach odsłaniając kilka podartych płatów błękitu. Na rękawie blondyna rozblysnął żółty haft — Vogelfang.

— Co to oznacza?

— Nazwa miejscowości, w której zorganizowano szkołę führerów — objaśniono mnie.

— Więc armia pomocników kanclerza?

— Tak. Zadaniem naszym będzie organizować życie społeczne, gospodarcze i kulturalne Niemiec. Życie narodowe.

— I Polska walczy teraz ciężko o swoje życie narodowe. Nieprawdaż? — rzucił blondyn. — Lecz u was za dużo Żydów. Tak, to wielkie niebezpieczeństwo. Nie chodzi dzisiaj o sprawy rasowe. Można się wznieść ponad nie. Można zarzucać nam jednostronność w oświeceniu dziejowej roli Żyda, jak to się na przykład mówi często w wystawie „Der ewige Jude”. Można podziwiać siłę trwania tego rozproszonego narodu, ale nie wolno poświęcać bytu innych narodów dla fikcji królestwa judzkiego. Właśnie od tych idei jest nam duszno i ciasno. Oskarżają nas o bezwzględność, brak litości. My chcemy tylko swobodnego oddechu i niewyzyskiwanego przez innych rozwoju. Czyż nie mieliśmy obowiązku litować się nad naszymi dziewczętami, które uwodził żydowski pieniądz, nad naszą młodzieżą, aby nie doczekać się tak, jak Sowiety i Hiszpania, komunistycznego pożaru? Niech sobie i swoim dowodzi Pitigrilli, że od „Mojżesza do Charlie Champlina Żydzi byli największymi dobroczyńcami ludzkości”. Gdy każą się nam bić w pierś za rzekome krzywdy tych najbiedniejszych, wieczystych tułaczy, niewinnych kryzysowi naszej gospodarki, mamy, owszem, na obronę wieloletnie, smutne doświadczenie — jak Żydzi przychodzą, a jak panują. Doprawdy nie zależy nam wcale, żeby nasza ojczyzna była widownią rozkwitu żydowskiego „geniuszu”, który wynosi synów Izraela z nizin straganu z cebulą na szczyty materialnego powodzenia. Nie zamierzamy polemizować z Talmudem czy „pies ma pierwszeństwo przed gojem” i czy to, „co nie-Żyd zgubi, Żyd może sobie przywłaszczyć”.

— Lecz nikt nie może nam brać za złe — ciągnął po chwili — że nie mamy ambicji zaszczepiania żydowskiej etyki na pniu niemieckiego życia. Nie chcemy po prostu, żeby mieli pieczę nad naszym zdrowiem, trzymali w swoich rękach szalę sprawiedliwości, zabierali głos w sprawach państwowych wyznawcy przykazania: „W święto Purim trzeba powiedzieć: przekłeci niech będą wszyscy goje, błogosławieni wszyscy Żydzi”.

Pociąg zadudnił rozgłośnie nad pierwszym berlińskim kanałem. Panie rzuciły się w popłochu do walizek. Szarmacki leader pośpieszył na pomoc z nieprzytomną gwałtownością.

— Berlin! Wysiadać!

Miasto, jak dobrotliwa mieszcza, uśmiechnęło się słoneczną pogodą. Na Szprewie radośnie krakały mewy.

Pewnego dnia szeroką aleją *Pod lipami* dotarłem do barczystego zamku królów, na którym olbrzymi transparent obwieszczał: „Der ewige Jude”. Przyjrzałem się



*Żydzi demonstrują w Wiedniu.*

sumiennie historycznej facjatce, z której Wilhelm I patrzył na zmianę warty. Przeliczyłem szczupły zapas marek w cieniu doryckich kolumn głównego wejścia i znalazłem się u progu historii „Wiecznego Żyda”.

Ledwie zdążyłem przeczytać surowy zew Hitlera: „Z Żydami nie ma żadnego paktowania, tylko twarde albo-albo”, gdy ktoś wielkim głosem obwieścił mi nad uchem, że właśnie zaczyna się film i trzeba go najpierw obejrzeć.

— Film? Jaki?

Na małym ekraniku wyświetlany jest rytualny ubój zwierząt. Trzeba mieć silne nerwy, żeby patrzeć. Nie ma na czym oprzeć wzroku. Wszystkie twarze odbijają tamtą mękę. Wszystkie usta są gniewnie zaciśnięte, oczy

groźne. W półmroku straszą ze ścian czarne cienie opętanych fanatyzmem rabinów nauczających:

— „Dozwolone jest znieważanie bogów nieżydowskich”;

— rozgrzeszających zbrodnie: „Żyd będzie karany, jeśli zamorduje Żyda lub więźnia, lecz nie ponosi odpowiedzialności, gdy zabije goja”;

— usprawiedliwiających nawet zdradę świętych dla Żyda węzłów wiary i pochodzenia, tłumacząc, że: „Żyd podlega Talmudowi nawet gdy przyjmie inną religię”.

Niepokonana odraza — źródło nienawiści — przenika do głębi szarpnięte brutalnie uczucia ludzkie wobec zwierzęcych nakazów i obrządków „religii”, która stanowi przecież najgłębszą spójnię żydowskiego narodu. Narodu wybranego i przeklętego.

Narodził się maluczki i pogardzany z mieszaniny ras starożytnych, na ziemi, która stanowiła zajazd dla wszystkich i nikomu nie była domem, ogarniała ramieniem trzy lądy, ale żaden ku niej nie ciążył. Nawet ludzie, których wydała, odeszli od niej śpiesznie, aby rozproszyć się wśród innych narodów i z nich żyć.

A ludzie ci? Zawarło się w nich wszystko, co mogła ludzkość wydać przez wieki dobrego i złego, szlachetne porywy i najniższe instynkty, bałwochwalczą miłość samych siebie i mściwą nienawiść do innych istnień. Mieli być żywą pełnią człowieczeństwa, głosem najwzniolejszej prawdy, pochodnią wielkiej idei, lecz życie ich skończyło się pod krzyżem, zawaliło się, jak wieża Babel, skostniało w glinianej skorupie materializmu. W pysze bez granic wzięli z dumą na ramiona swe kalekie, tragiczne resztki istnienia i poszli na obcych ziemiach budować świątynię jerozolimską, która wciąż rozsypuje się w proch.

Poszli z wiarą, że: „Trzystu ludzi, z których jeden drugiego zna, pokieruje historią kontynentu i znajdą w swoim otoczeniu następców” (Walter Rathenau).



*Pięciu panów rządzi gospodarką Europy, a każdy z nich nazywa się Rothschild.*



Ale wszędzie pytano ich z czym przychodzą i po co? Niepotrzebowano ich. „Żydzi i Syryjczycy stworzeni są na niewolników” — odrzuca z pogardą żydowski nałot Cycero. I są istotnie niewolnikami złota, przyziemnych spraw, ślepych popędów. Wnoszą ze sobą niepokój ludzi, którzy niczego poza ziemską rzeczywistością nie spodziewają się i nie chcą się spodziewać. Niech świat pracuje na nieśmiertelność, byleby oni mogli kupczyć. Wszystko mają na sprzedaż — idee i sumienie, miłość i sztukę. I wszystko tandeta.

Idę długim labiryntem sal w gąszczu pasożytniczego życia. Z fotomontaży, szkiców, cytów i statystyk wysnuwają się sylwety — *Żydów w starożytności, Żydów na przestrzeni wieków. Oto Żyd międzynarodowy. Dalej Żydzi a inne narody. Żydzi w nauce i sztuce.*

I jakiż ogólny wniosek?

Dość żydoszczyzny!

Spółczesne społeczeństwa nie wierzą już w stadową miłość, którą Żyd nazwał wolną, żeby móc swobodnie na niej spekulować. Nie chcą opierać systemów państwowych na nienawiści klas i odwracaniu hierarchii dlatego tylko, żeby jakiś Rotschild mógł na każdej ziemi założyć swój bank i prowadzić handel żywym towarem, Marx, bez narażania własnej skóry, fabrykować komunizm, Wells drukować kryminalne powieści, a Pitigrilli drzwi swobodnie w chrystianizmu, urzędzeń społecznych i zasad etycznych.

Bez zbędnych słów — anarchiści, demoralizatorzy, wiczryście, cynicy — postawili Niemcy swój naród w obliczu nędzy, w której tysiące zginęło z zimna i głodu, bo nie mieli o co zaczepić pustych rąk, dlatego, że ich miejsce zajęli ludzie obcy i wrodzy. Ukazali zniszczenie zarazonej żydostwem Bolszewii i Hiszpanii. Zamiast gromkich potępień, wypisali wielkimi literami samooskarżenie Zweiga: „I w złym, i dobrym doszliśmy już do krańców. Pchnęliśmy świat na tory mechanizacji i materializmu. Wprowadziliśmy bezbożnictwo”. W złym — na pewno, lecz w dobrym to niemożliwe. Do-



Tak przyszli — a tak panują.

bro jest dziełem ducha zdolnego oderwać się od materii. Żyd, tak jak zwierzęta, rozumie tylko materialny kontakt ze światem. Piękno, dobro, ideały, to tylko farby do malowania masek na sprzedaż. Wszystko służy do tego, żeby zarobić. Nie trzeba umieć malować, żeby stworzyć futurizm, ani grać, żeby ogłuszyć ludzkość jazz-bandową orkiestrą. Nie trzeba mieć natchnienia, żeby zestawiać puste słowa w potworne paradoksy, ani rozumieć piękno tańca, żeby wystawić rewię tysięcy nagich kobiet. Oto zasada — żydowska. Nie może być mowy w tych warunkach o prawdziwej twórczości.

Mechaniczna, kupiecka odtwórczość ślepego życia narodu bez duszy dusi świat.

„Mamy nadzieję — powiadają Niemcy — że niedługo i inni zapagną swobodnego oddechu”.

ZBIGNIEW WILL.

## Z CYKLU „PODWARSZAWSKA PALESTYNA”

### IV. Małki, Sary i Srule.

Państwowe gimnazjum w Lubelszczyźnie. Lekcja języka polskiego.

„Litwo, Ojczyzno moja!” — deklamuje Małka.

„Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie!” — recytuje Srule.

„Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!” zachwyca się Bajla.

„O matko Polko! — grzmi Sara.

„Na Anioł Pański biją dzwony” — jęczy Abram.

„Hej, ramię do ramienia!” — krzyczy Pinkwas.

Nauczycielka zachwycona. Sypią się piątki. Asymilacja w toku.

\* \* \*

Po kilku latach spotykam... w Semitówku — gdzieżby indziej? — Małkę. Ledwie ją poznaję. Wyelegantowana i unowocześniona do ostatnich granic.

— Czy wiesz — mówi mi — Fajga pojechała do Argentyny. Píše, że bardzo dobrze się jej powodzi.

— A Pinio, co porabia?

— Pinkwas? On już od roku w Palestynie! Bajla też tam się wybiera.

— A Srule?

— Srule chyba tu zostanie. Kończy polibudę, będzie miał dobrą posadę, to po co mu wyjeżdżać?

\* \* \*

Na szerokim świecie jest niewątpliwie wiele okazji do zrobienia dobrego interesu. Np. w Argentynie, gdzie kwitnie handel żywym towarem. Wiemy, do jakiego rodzaju przedsiębiorstw wykazują żydzi specjalne uzdolnienia. Wiemy też, do czego mają oni moralne, a do czego oficjalne prawo. — Ale pytam: po co karmimy Semitę poezją polską? Po co zmuszamy go do udawania patrioty? Na jakiej podstawie mniemamy, że przejmie się duchem naszej kultury?

Wiersz polski w ustach żyda!!! Czy może być coś bardziej karykaturalnego? A jednak nie się nie robi w tym kierunku, by skończyć z ohydłą profanacją rzeczy dla każdego Polaka świętych. Wierzmy uczniakowi żydowskiemu deklamującemu Mickiewicza, że będzie Polakiem. A on, podszedłszy naszą naiwność, znajduje potem ojczyznę tam, gdzie pachnie mu geld. Jest

w całej tej bezdusznej formalistyce jakaś okropna pomyłka! Idzie się bezwładnie za hasłami, których fałsz bije w oczy! Brnie się coraz głębiej w całkowitą gmatwaninę pojęć. Stwarza się miraż i rozpowszechnia się kolosalną głuchość na alarmy podnoszone przez zdrowsze odłamy idealistycznie nastrojonej młodzieży. W szkołach średnich dzieją się w ogóle horrendalne rzeczy.

IZABELA HENTZEL

## WIOSNA, CHAŁWA I GRZESZNICA

— Teraz to już naprawdę „czuć wiosnę” — stwierdziła pewnego marcowego dnia Irenka, idąc do szkoły na rekolekcje wielkopostne.

Mimo najszczęśliwszych chęci i intencji, nie mogła zdobyć się na poważne, wewnętrzne skupienie.

Myśli jej, jak płochliwe wiewiórki skakały z jednego przedmiotu na drugi. Raz tu, raz tam, raz niżej, raz wyżej.

W ciągu kilku minut zaledwie spostrzegła i odczuła, że powietrze, mimo rannego przymrozku, pachnie wiosną, niebo jaśnieje najczystszym błękitem, a słońce jakby trochę jeszcze nieśmiałe, rzuca na ziemię swe złociste i tak rozkosznie ciepłe promienie.

— Mocno grzeje w plecy i zaczyna być gorąco — myśli Irenka.

Na rogu ulicy siedzi uśmiechnięta kwiaciarka przy swoim kwiatowym klombie. Fiolet fiołków, biel storczyków, błękit hiacyntów i czerwień tulipanów na tle szarego chodnika, tworzą żywą barwną plamę.

Irenka z zachwytem patrzy na kwiaty.

— Ach, jak fiołki subtelnie pachną. —

— Ile kosztuje bukietek?

— Dwadzieścia groszy. —

— Zostanie mi jeszcze 30 groszy — myśli Irenka — a maleńkim bukietkiem kwiatów zrobię przyjemność pani katechetce. —

Ale w jednym ułamku sekundy twarzyczka Irenki poważnieje. Pęczek fiołków przesłania ascetyczna, surowa twarz nie lubianej przez całą klasę katechetki i słyszy często powtarzane przez nią zdanie: — „I znów nie nauczyłaś się lekcji — chyba zamiast myśli rosną ci fiołki w głowie”. —

Irenka oddaje bukietek i powoli odchodzi. Jest jej jakoś dziwnie przykro. Jednak nastrój przygnębienia trwa krótko. Teraz uwagę dziewczynki zwracają wystawy sklepów, które w jej wyobraźni przemawiają wiosnenno-świętecznym językiem. Szyunki na wystawie wędliniarni „śpiewają” słoninkowym napisem radosne ALLELUJA. Głowa prosiaka, w obramowaniu zielonego widłaku, śmieje się dobrodusznie, ukazując w tym beztroskim uśmiechu całe białutkie jajko.

Kilka kroków dalej cukiernia. Na pierwszym planie wystawy całe stada baranków z misternymi dzwoneczkami u szyi. Irenka gotowa przysiąc, że słyszy dalekie echo dzwoneczków stada pasącego się na hali. Na drugim planie, jak majestatyczny Giewont i Kasprowy, pysznia się swym apetycznym wyglądem wspaniałe sękacze. —

Nagle Irenka odczuwa przejmujący, fizyczny głód i okropną gorycz w gardle oraz w przełyku.

— Muszę zjeść coś słodkiego — myśli — ale co? —

W stanie dezorientacji smaku wchodzi do „słodkiego” sklepu. Błyskawicznie przenosi wzrok z biszkoportów na ciastka z kremem, z cukierków na czekoladki.

Ponoć nie brak polonistów — żydów uczących Polaków języka polskiego! Mnie uczył żyd historii Polski! Nauczyciele — żydzi organizowali w naszym gimnazjum Straż Przednią, a jakże! Ilość uczniów — żydów w tej szkole dochodzi do 30%!

Tak, Czytelniku! To są zupełnie wystarczające powody do wstydu.

— O tu pod szklanym sklepieniem leżą bloki brunatnej i białej chałwy.

Decyzja zapada szybko.

— Proszę ćwierć kilograma „Greckiej”. Dziękuję. —

Teraz Irenka uszczęśliwiona, mocno przyciskając paczkę, wybiega ze sklepu i pędzi do szkoły.

Z rozpędem „wpada w nastrój”. Klasy szkolne mają dziś wygląd ponuro uroczysty. Przez ciemne witraże w oknach przedostaje się nikiłe światło.

Prawie wszystkie koleżanki pozajmowały miejsca w ławkach. Jedne rozmawiają tłumionym szeptem, inne siedzą milcząc. Irenka, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuje się obco w gronie swych koleżanek — wydają się jej jakieś zimne, obojętne, dalekie.

Irenka zajmuje swoje miejsce w przedostatniej ławce przy oknie.

W tej chwili wchodzi do klasy katechetka, pani Opaczka — przez dziewczynki przezwana „Opacichą”.

Krótką modlitwa i rozpoczynają się właściwe rekolekcje. Irenka stara się uważnie słuchać. Wytęża słuch i uwagę, ale jakoś dziwnie niezbyt wiele rozumie z tego, co „opacicha” wygłasza swym bezbarwnym, monotonnym głosem.

Do świadomości jej dochodzą poszczególne słowa: ciężki, śmiertelny grzech, ciężka pokuta, śmierć wieczna, potępienie wieczne, męki wiekuiste... Od tych słów Irencie robi się zimno. Gdyby choć odrobinę słońca wpuścić przez szparę.

Witraże są bibułkowe. Irenka postanawia przebić palcem dziurę. Wsuwa nieznacznie rękę w bok, jednocześnie patrząc na katechetkę.

Niestety, ręka okazała się złym kompasem i palec zamiast przebić bibułkę, trafił w obramowanie słabo przyklejonego witraża, który runął z właściwym papierowi szalestem na podłogę, odslaniając całe okno.

„Słońce radośnie powitało dziewczęta. „Opacicha” zrobiła jakąś kąśliwą uwagę o wychowaniu młodzieży i wróciła do przerwane go tematu. Zapadła znów cisza. Teraz Irencie było już zupełnie ciepło. Słońce przez szybę grzało jak piec, ale dotkliwy głód dokuczał, a zapach ukrytej pod fartuszkami chałwy nęcił podniebienie.

— Ugryzę maleńki kawałek — myśli Irenka — i to na razie musi wystarczyć.

Ostrożnie i dyskretnie wsuwa rękę pod fartuszek, aby smakołyk przenieść pod pulpit.

Nagle rozlega się głośny, metaliczny dźwięk. Na podłogę upadło blaszane pudełeczko od igieł gramofonowych. Wszystkie oczy zwracają się na Irenkę.

— Ireno — woła katechetka — co za szatańskie brewerie wyprawiasz? —

— Przepraszam panią bardzo, ale to niechcący poruszyłam się i z kieszeni wypadło pudełeczko. —

— Mogłabyś chociaż podczas rekolekcji przestać się ruszać i nie nosić przy sobie pudełeczek, które wywołują hałas. —

Na razie na tym się skończyło.

— Moje biedne artystki — westchnęła Irenka, myśląc o istotach, które znajdowały się w pudełeczku. —

Po pewnym czasie, panienki, siedzące w promieniu dwóch metrów od Irenki, zaczęły wykonywać początkowo dyskretnie, a potem już zupełnie jawnie jakieś nieopanowane i nerwowe odruchy, które głównie koncentrowały się na nogach. Poważny nastrój wyraźnie się psół.

Dobrze jest — myśli Irenka — panieki zaczynają się nudzić i dlatego wiercą się na ławkach. Teraz jest trochę szmeru, więc bez ryzyka mogę rozpakować chałwę. —

Dla odwrócenia uwagi niziutko opuściła głowę.

Sznurek i papier już zsunięty — chałwa czeka, aby ją ugryźć. Palcami ułamuje kawałek i szytko wkłada do ust.

Nagle staje się rzecz nieoczekiwana. „Opacicha” zrywa się z katedry i biegnie do koleżanki, siedzącej przed Irenką.

— Co za dzikie skoki wyprawiasz, co to wszystko ma znaczyć?

— Gryzie, proszę pani — jęknęła delikwentka — pchły gryzą... o, proszę zobaczyć, jakie mam bąble. —

Na słowo „pchły” jęknęła boleśnie cała klasa:

— I mnie też gryzie... i mnie... i mnie... i mnie... — popłynęła żalonna skarga.

Teraz Irenka oniemiała. Pojęła całą grozę sytuacji. Oddech zamarł w piersiach, kawał chałwy utkwił w ustach.

Nieszczęście!... wstyd!... kompromitacja!!!

Katechetka opanowała zamieszanie.

— I któraż to z was, nikczemna istota, w tak podniosłej chwili dopuszcza się tak ciężkiego grzechu?

W klasie zapanowało grobowe milczenie.

Po chwili Irenka, czerwona jak piwonia, przez zwężoną tchawicę i wypełnione usta wykrztusiła niewyraźnie... ja...

— Nic miałam żadnych złudzeń, co do ciebie, jesteś zła, przewrotna i zdemoralizowana. Natychmiast wyjdź z klasy i nie wracaj ty... ty... grzesznico!!!

Irenka wyszła, przelknęła chałwę i pofolgowała łzom, które popłynęły porywistym potokiem, jak strumień górski na wiosnę. —

## ROZMOWY Z MŁODSZĄ SIOSTRĄ I BRATEM

Tym razem od razu do obu stron się zwracam, jako że mówić będziecie Wy, Siostrzyczki. Chłopcy zamilkli, jak zwykle, wygodniczy, na was składają ciężar prowadzenia rozmowy (patrz list Maryni). Ale, że to „po starszeństwie kolejka”, więc najpierw parę słów ode mnie.

„Ryszard”, mimo wezwania o adres, nie przysłała go, a nadeszło do niego sporo kartek. Hallo! Hallo! Ryszardzie! Odezwiw się, przyslij adres do redakcji!

Co więcej, nadeszło tyle listów, że musimy je posegregować i omówić kolejno.

Przede wszystkim więc: nasze „Rozmowy” stopniowo zaczynają gromadzić młodzież poważnie myślącą i tęskniącą do równie poważnie myślących rówieśników. Oto na przykład „Irena”, której list w urzywkach przytoczymy poniżej, zapytuje, czy

któ z jej rówieśnych (ma lat 19) nie chciałby z nią korespondować. Podobnie prosi o „kogoś miłego i mądrego” Baśka z Katowic, która mieszka tam 2 lata (ma lat 18). A z Hrubieszowa odezwały się Neta i „Terka”. (Czy tak? Zbyt nieczytelnie piszesz, miła Siostrzyczko). Warto by było, żebyście się poznały, ale bez pozwolenia nie wymienię Wam Waszych nazwisk. Reszta również tęskni do towarzystwa rówieśników, mających podobne poglądy.

(Tu musimy jednak poprosić Was od siebie o pewną uprzejmość: piszcie czytelniej, mili — niektóre listy są „machane” na przykład w lewą stronę, a to bardzo utrudnia odcyfrowanie, zwłaszcza, że — z radością stwierdzamy — mamy tego odczytywania dużo).

Sąd pedagogiczny i nawet koleżanki (zwłaszcza te pogryzione) potępiły biedną Irenkę. Jedyne obrońcą znalazła w osobie księdza prefekta, który wykładał w starszych klasach.

— Zanim wydacie Zeusowy wyrok — powiedział ksiądz do zgromadzonych kolegów — pozwólcie państwo, ja z nią pomówię.

W nauczycielskim pokoju został ksiądz i... grzesznica. Przez chwilę trwało milczenie.

— Powiedz mi, moje dziecko — powiedział łagodnie ksiądz — dlaczego to zrobiłaś? Dla przyjemności, zabawy, czy przez złośliwość?

Odpowiedzią był nowy potok łez.

— Ja nie chciałam... proszę księdza... ja naprawdę nie chciałam... Najpierw witraż... Był źle przyklejony, a gdy... dotknęłam palcem... spadł. Chałwa... to naprawdę grzech... byłam głodna... i łakoma, więc ugryzłam kawałek...

— No, a pchły?

— Pchły, to nieszczęśliwy wypadek. Chciałam wyjąć chałwę, a wypadło pudełeczko, otworzyło się i... pchły wyskoczyły.

— Ale dlaczego przyniosłaś je do szkoły?

— Przyczyna ważna... warunki domowe... młodszy brat... groził, że gdy wyjdę z domu wypuści wszystkie na podwórze... więc dlatego zabrałam je ze sobą...

— W jakim celu w ogóle je miałaś?

— Niedawno czytałam, że pewien cyrkowiec popisywał się tresurą pcheł. Zdradził nawet sposób, w jaki nauczył je różnych pchlich mądrości. Ja... również chciałam mieć swój własny cyrk... tak bardzo kocham zwierzęta... i dlatego przez kilka dni wyłapywałam pchełki u psów i kotów, zamieszkujących ze swymi właścicielami w naszym domu....

Ksiądz uśmiechnął się pobłaźliwie.

Przez dłuższą chwilę patrzył w błękitne, wystraszone oczęta... grzesznicy.

Był dobrym psychologim i nie miał wątpliwości co do prawdziwości słów dziewczynki.

Zanyślił się. Sięgnął pamięcią o 40 lat wstecz, gdy jako 10-letni chłopiec ukląkł przed ośłem i błagał go, aby przemówił doń ludzkim językiem i powiedział o sobie szczerze, czy naprawdę jest tak głupi i uparty, czy taką opinię wyrobiła mu złośliwość człowieka.

Osiół, niestety, nie odpowiedział, choć go pytano.

Dziecko nie odpowiedziało, bo go o przyczynę postępku nie zapytano.

*Nikt im o tym nie mówi...*

Bardzo ciekawe są uwagi Ireny z Chełma. Pisze m. in.: — W rozmowach z młodszymi koleżankami z klas IV — III — czy I — II licealnej okazuje się, że „większość z nich nie ma tzw. pionu moralnego. Ich pojęcia o życiu, miłości, małżeństwie są wypaczone. Jeżeli zaczyna im się mówić o tych rzeczach z punktu widzenia katolickiego, to są dla nich rzeczy niezrozumiałe, nowe, ciekawe. Z początku odnoszą się z nieufnością, potem trafia im to do przekonania. Książki takie, jak „Słuchaj, Ewo”, „Dziewczę nowoczesne”, „Na wejście w świat” ogromnie się dziewczętom podobają. One same powoli dopiero zaczynają nasiąkać zasadami katolickimi. A przecież są to wszystko katolickie, chodzą do szkoły katolickiej.

„Co ma robić taka młoda dziewczyna, której nikt absolutnie, ani w domu, ani w szkole, nie oświetlił odpowiednio tak ważnych spraw, jak miłość i małżeństwo. Dowiaduje się ona o tych rzeczach bądź od zepsutych koleżanek, bądź z powieści i romansów.

„Do jakiego stopnia nie zwraca się uwagi na wychowanie młodych dziewcząt, niech posłuży za przykład odpowiedź jednej z nich, kiedy jej tłumaczyłam konieczność pracy nad sobą: „Uważam, że na pracę nad sobą nie ma czasu. Jesteśmy w szkole tak zapracowane, że nie chce się nam myśleć o takich rzeczach”.

„Wierzę w to, że dziewczęta i chłopcy nie są źli i zepsuci, że można naprowadzić ich dusze na właściwą drogę, ale muszą tu także pracować rodzice i szkoła. Nie można młodej dziewczyny zostawić samej sobie na pastwę różnych wpływów.

Jaką może być na przykład dziewczyna, która ma oca nałogowego alkoholika, która od dzieciństwa jest wychowywana w atmosferze awantur i kłótni? Nic dziwnego, że chce ona jak najprędzej wydać się za żonę po to tylko, by opuścić dom rodzicielski. Jej już — jak mówi — wszystko jedno, byle najprędzej wyrwać się z tego piekła.

A jak się ustosunkować do tych dziewcząt rozflirtowanych i rozbawionych, kiedy na każdą uwagę słyszy się odpowiedź: „Nie dziw się, że się bawie i flirtuję, ale to jest jedyna moja rozrywka”.

#### *Ojcowie i matki unikajcie w dusze waszych dzieci!*

Ja osobiście — pisze dalej Irena — zwróciłabym się z gorącym apelem do rodziców: Matki i Ojcowie! Zechciejcie wnikać w dusze waszych dzieci, własnych synów i córek. Starajcie się je rozumieć. Na was leży obowiązek doprowadzenia ich do Boga. Kochać dzieci, to nie znaczy dogadzać im, ale wychowywać.

#### *Gdyby chłopcy byli inni, byłybyśmy i my inne.*

„List Ryszarda uradował mnie i umocnił w przekonaniu, że są porządni i uczciwi chłopcy, w co moje koleżanki nie wierza. Jako odpowiedź na list przytoczę zdanie jednej z nich: — „Gdyby mężczyźni byli inni, byłybyśmy i my inne. W naturze kobiecej leży chęć podobania się chłopcom. Otóż gdyby oni nie zwracali tyle uwagi na wygląd zewnętrzny dziewcząt, malowaną buzię, a patrzeli więcej na charakter, to i my zmieniłybyśmy się. Chłopcy lubią dziewczęta rozflirtowane i zalotne. Chłopak poleci za każdą bylejaką... (co mu się ze-

wnętrznie spodoba, a może tylko... pociągnie, dopisek starszej Siostry).

Ja osobiście spotkałam wielu młodych ludzi, którzy dużo wymagali od dziewcząt, ale nie rozumieli, że sami... muszą pracować i nad sobą. Bo nie można wymagać stawiać jednostronnie. Zupełnie nie przemawia mi do przekonania typ młodego człowieka, który wymaga wiele od dziewczyny, ale sam nie umie opanować swoich podnieceń. Gdyby taki młody człowiek zwrócił uwagę dziewczynie, że postępuje nieodpowiednio, miałyby to większy skutek, niż biadanie nad tym, „jakie te dziewczęta są”.

Z tym zdaniem Ireny zgadza się większość dziewcząt, dowodem listy innych Siostrzyczek. Pisze oto Neta z Hrubieszowa: „Młódzież męska czuje się najlepiej wśród dziewcząt pustych, lekkomyślnych i bardzo zajętych swymi osóbkami, a skłonnych do flirtu” — „Dziewczęta są w gruncie dobre i pełne szlachetnych porywów, tylko ta chęć podobania się, umizgi chłopców, kinowe erotyczne obrazy je psują, bo są jeszcze miękkie i poddające się wpływom, jak wosk, a mężczyźni to wykorzystują, sami nie mając wpoionych odpowiednio nienaruszalnych zasad”.

Pisze Baśka z Katowic: „Dziewczynom imponuje to, że są otoczone i uwielbiane, a nie myślą o tym, że gdy odejdą, to często są wyśmiewane przez tych adoratorów. Doprawdy mało jest dziewcząt poważnych, ale one są przeważnie opuszczone i z hoku, a tak często chciałyby być na miejscu tamtych. Nie myśli się o szacunku i sympatii, tylko o tym, że tamte się bawią, a my nie. Zresztą chłopcy donradzą wola te puste dziewczęta, wyśmiewają je, to prawda, ale wracają do nich zawsze. Tych mądrych chłopców jest również mało, jak dziewcząt. A przecież zawsze kobieta jest taka, jaką mężczyzna chce ją widzieć”.

#### *Oskarżamy chłopców! Brońcie się!*

Otwieramy następny list (jakkż smutny, kochana „Barbaro” z Płocka! Napisz obszerniej o sobie, jeśli chcesz — musimy pomówić o sile, która mieści się w haśle: „Contra spem spero” — to dla Ciebie, która kochasz ruch i życie) i znów: „...Mam wrażenie, że dziewczęta i chłopcy wzajemnie się dopełniają swymi błędami. Wina jest obustronna... Ja, niestety, wszędzie spotykałam tylko nustych, nadętych, lalkowatych, tylko do flirtu mężczyzn, którzy tylko piękne słówka potrafia mówić i którym się zdaje, że są czymś większym od kobiety. Czemu nie starają się zrozumieć, że i my mamy duszę i potrafimy myśleć...?”

Terka pisze: „Dziewczynom imponuje wszystko, co błyszczący? — Tak, panie Ryszardzie, to prawda... Ale, jak to jest z chłopcami? Czemuż to oni tak lubią „afiszować” się z ładnymi koleżankami, czemuż to im imponują lalki, napudrowane buzie, wysokie obcasy bardziej, niż zwykłe dziewczęce twarzyczki? Nieraz słyszę: „Lubię z nią iść ulicą, wszyscy się oglądają, koledzy zazdroseją, to ładna kobieta”. — „...A te mądre, dobre dziewczęta, z którymi można porozmawiać poważnie, mądrze, te Wam nie imponują, bo przede wszystkim ludziom rzuca się w oczy moda, niż mądrość. Te dziewczęta są Wam potrzebne, gdy któraś z tych ładnych okaże się podłą, gdy nastąpi jakieś rozczarowanie, one poradzą, pomogą, może nawet zaoponują, ale o tym będziesz wiedział tylko ty jeden, a nie koledzy. Przed nimi nie przyznasz się do tego.

#### *Nadzwyczajne zapotrzebowanie!*

Piszesz, panie Ryszardzie: „Przeciętna dziewczyna stawia wyżej kilku banalnych przyjaciół nad jednego szlachetnego przyjaciela”. — To nieprawda! Chciałoby się krzyknąć: Nadzwyczajne zapotrzebowanie na dobrych przyjaciół!!! Szukamy dobrych przyjaciół, takich, co to, powiedzcie coś do niego, to jak w studnię. Ale Wy nie traktujcie nas, jak dotychczas, zobaczcie choć raz w nas człowieka. Nie patrzcie na nas tak... (już wy wiecie jak) zrozumcie, że wasze spojrzenie stanowi dla nas ujmę, boli nas — panujcie nad sobą, aby i dziewczęta panowały nad sobą. Przyjrzyjcie się dziewczętom, czyż zobaczycie je swobodniejsze, radośniejsze w towarzystwie wielbicieli, czy przyjaciół?

„...Zczęsto kierujemy się uczuciem, nie jest czymś tak złym. — Trudno, to już leży w kobiecej naturze... Wy zaczynajcie na nas inaczej patrzeć, my mniej kierować się uczuciem, a obie strony niech zaczną się szanować”.

#### *Jestem na przedstawieniu.*

Zacytujmy jeszcze jeden głos — Maryni z Ostrowa Wlkp.: „Jest wprost przeciwnie, niż pisze Ryszard, to chłopcy nie umieją rozsądnie i poważnie rozmawiać (z małymi wyjątkami naturalnie). Pewnie, że winę ponoszą i dziewczęta, i chłopcy ale większą młodzież męską. Tak już, niestety, jest, że wbrew pozorom, to właśnie dziewczęta starają się zainteresować sobą chłopców. Jakże jednak większość chłopców jest pozbawiona głębszych „wymagań”.

„...Obserwując moje koleżanki, gdy jesteśmy same i porównyując ich zachowanie w towarzystwie chłopców, mam wrażenie, że jestem na przedstawieniu, w którym dziewczęta biorą udział, jako aktorki, a chłopcy, jako widzowie. Przykro mi, gdy widzę, jak zmieniają się dziewczęta na widok chłopców, jakie stroją miny i jakimi odcieniami głosu prowadzą rozmowę. Niekiedy bywają śmieszne dla obojętnego obserwatora, ale większość chłopców bywa zachwycona „bezpółśredniością”, „naturalnością”, „szczerością”, prawieniem im miłych, pochlebnych słówek. Bo przecież młodzież prowadzi rozmowy. Ale jakie rozmowy! Pełne niedomówień, pozbawione przeważnie wartości, często bez określonej treści, takie ot — „pływające po wierzchu”. Nigdy dotąd nie spotkałam poważniejszej dyskusji na terenie gimnazjum czy liceum, wyjąwszy oczywiście kilku spraw, wymagających poważniejszego omawiania, jak np. sprawa wspólnego pisemka szkolnego...

#### *Chłopcy są wygodnicy!*

W życiu towarzyskim chłopcy są mało rycerscy (jak zresztą zauważył Ryszard), nie starają się bawić „dam”, pozostawiając całą pracę w tym kierunku koleżance i jej zdolnościom aktorskim. Strasznie jednak chłopcy są ciężcy! I pewnie dlatego są zadowoleni, gdy słyszą rozpaplaną towarzyszkę, ubiegającą się o ich względy — to przecież tak wygodnie, gdy nie trzeba wymyślać trochę bardziej mądrych rzeczy. Naturalnie życie towarzyskie młodzieży, jak i starszego społeczeństwa, nie powinno być tylko oparte na filozoficznych dysputach, ale musi przynieść śmiech, radość, zdrowy dowcip, pogodę, bo z niego czerpiemy ochotę do dalszej pracy. Czy jednak nie może zapanować wśród młodzieży tańczącej, czy używającej sportów, czy rozmawiającej naturalność, prostota, trochę więcej wartości-

**Wytwórnia Fartuchów**  
szkolnych, biurowych i roboczych  
**F. ANDZIAK**  
Warszawa, ul. Złota 16 m. 7  
Tel. 6-19-62  
HURT DETAL



## SPRAWY RODZINY

*W Polsce.*

Katolicka Agencja Prasowa podaje do wiadomości ogólnej, co następuje:

Zjednoczenie Polskich Prawników Katolików ogłosiło uwagi swoje do projektów prawa: 1) o stosunkach rodziców i dzieci i 2) o urzędzie opiekuńczym, uchwalonym w pierwszym czytaniu przez podkomisję prawa o stosunkach z pokrewieństwa i opieki Komisji Kodyfikacyjnej.

Zjednoczenie P. P. K. stwierdza, że projekty te nie dadzą się pogodzić z brzmieniem art. 114 Konstytucji (1921 i 1935 roku) oraz z art. I i IV Konkordatu R. P. ze Stolicą Apostolską.

Po uмотywowaniu tego stanowiska autorzy uwag zaznaczają, że projektowane prawo o stosunkach rodziców i dzieci liczyć się musi z przepisami kodeksu prawa kanonicznego oraz uwzględniać wytyczne, które sformułowane zostały w tzw. „Kodeksie Społecznym” przez Międzynarodowy Związek Badań Społecznych w Malines, do którego wchodzi również i przedstawiciele nauki polskiej.

Tezy te brzmią następująco: a) Rodzina jest źródłem, z którego bierzemy życie, pierwszą szkołą, uczącą nas myśleć, pierwszą świątynią, w której uczymy się modlić. Należy tedy zwalczać wszystko, co ją podkopuje i niszczy, a pochylać i popierać wszystko, co sprzyja jej jedności, stałości i rozrodności (teza 10-1a). b) Różnica między przekazywaniem życia drogą prawą a nieprawą winna być uwzględniona przez prawodawcę (teza 15). c) Obowiązkiem władz publicznych jest przyjąć i uznać jako jedyne słuszne prawo przekazywania życia w rodzinie (teza 16). d) Skutki cywilne

pochodzenia cudzołóznego lub kazirodczego powinny być mniej szerokie, niż zwykłego pochodzenia naturalnego (teza 18-ta). e) Uprawnienie dzieci naturalnych zwykłych winno być dopuszczone tylko jako dobrodziejstwo przyznane tym, którzy przez małżeństwo regulują swój związek (teza 18). f) Dziecko ma prawo do wychowania fizycznego, intelektualnego, moralnego i religijnego. Na rodziców spada obowiązek dostarczania tego wychowania (teza 19).

Wobec tego w projektowanym prawie o stosunkach rodziców i dzieci winny znaleźć wyraz zasady następujące:

I. Cel i zakres władzy rodzicielskiej nie mogą być określone abstrakcyjnym pojęciem „dobra dziecka”, lecz winny być traktowane jako funkcja społeczna, a przeto w myśl tezy, słusznie uchwalonej na I Ogólnopolskim Kongresie Dziecka w Warszawie w październiku 1938 r. (na wniosek adw. Ludwika Domańskiego, prezesa naczelnej Rady adwokackiej i K. Z. M. w Polsce):

„Wzajemne prawo i obowiązki rodziców i dzieci oraz obowiązki opiekunów winny być stanowione i wykonywane w taki sposób, ażeby dziecko było wychowywane fizycznie i umysłowo, moralnie i religijnie, jako dzielny i dobry członek rodziny, narodu i społeczeństwa, jako dzielny i dobry obywatel państwa”.

II. W małżeństwach mieszanych katolików wszystkie dzieci muszą być wychowywane w religii katolickiej — (przepisów bowiem prawa kanonicznego (can. 1016, 1060, 1961) władza państwowa nie jest władna ani znieść, ani zmienić).

III. Podstawą rodziny jest monogamiczne i nierozzerwalne małżeństwo, podniesione wśród ochrzczonych do godności Sakramentu. Akt zawarcia takiego małżeństwa

w obliczu Kościoła, według ustalonej w Polsce terminologii nosi miano ślubu, a dzieci z małżeństwa takiego zrodzone noszą miano ślubnych w odróżnieniu od dzieci nieślubnych, które przyszły na świat w innym związku. Byłoby pożądane utrzymanie powyższej terminologii, mającej jasne i ustalone znaczenie oraz tradycję wśród przeważającej większości narodu, wyznającej religię rzymsko-katolicką.

IV. Państwo winno dbać o zdrowy ustrój rodziny, jako podstawowej komórki życia społecznego, a w konsekwencji przyjąć i usankcjonować, jako jedyne słuszne i godziwe przekazywanie życia w rodzinie i w związku z tym zwalczać i utrudniać nielegalne związki przez ograniczenie ich skutków prawnych, a natomiast przyznać ułatwienia tym, którzy przez małżeństwo regulują swój związek. Z uwagi na powyższe należy przyjąć zasadę, że uprawnienie dzieci nieślubnych może nastąpić tylko i jedynie per subsequens matrimonium i o jakimkolwiek „zrównaniu” dzieci ślubnych z nieślubnymi nie może być mowy.

V. Należy uwzględnić exceptio plurium concubentium.

VI. Uznanie dziecka nieślubnego przez ojca nadaje dziecku tylko prawa alimentarne. Nadanie nazwiska może nastąpić tylko w drodze przysposobienia.

VII. W związku z rozróżnieniem praw dzieci ślubnych i nieślubnych, rozróżnienie to należy mieć na uwadze i przy ustalaniu praw spadkowych.

VIII. Duchowni nie powinni być wyłączeni od udziału w radach opiekuńczych. Zgodnie z powyższymi zasadami, Zjednoczenie Polskich Prawników Katolików opracowało projekty uzupełnień i przeredagowania szeregu artykułów, zamieszczonych

wych rozmów, trochę więcej inicjatywy i rycerskości (te dwa ostatnie punkty odnoszą się do młodzieży męskiej). Ale widocznie takie, jak jest obecnie, współżycie towarzyskie odpowiada większości chłopców, którzy zadawalniają się płytkimi flirtami, którzy wreszcie lubią towarzystwo wesoło rozbawionych, często w ujemnym sensie, dziewcząt, no i są zadowoleni z tego stanu rzeczy. A dziewczęta widząc ich zadowolenie, nie starają się zmieniać, odgrywają dalej rolę taką, jak podoba się chłopcom...

A więc większość dziewcząt będzie postępować, jak Wam się podoba (niestety!),

przedstawiciele płci brzydkiej, zapominając o wielu, wielu szlachetnych rzeczach.

Jeżeli więc chcecie z dziewczętami rozmawiać o czymś mądrym, to zaczynajcie sami, sami wykażcie, że pragniecie innych koleżanek i czynicie to tak długo, aż one wreszcie zrozumieją, że muszą inaczej postępować, aby Wam się podobać”.

### *Czemu milczycie?*

No i bodaj, że należało by wyciągnąć wniosek, że... dziewczęta są bardziej zainteresowane tematem, a więc rzeczywiście one głębiej odczuwają i słusznie oskarżają

Was, Braciszkwie. Dlaczego? Bo od Was nie nadszedł ani jeden list. Czyżby rzeczywiście mój Krzych, Ryszard i ów „ideał” pierwszej z Siostrzyczek, która się odezwała w naszych „Rozmowach” (patrz nr styczniowy „Rodziny”) byli... wyjątkami? Na to wygląda pozornie. Ale na szczęście pozory mylą. Powiem Wam o tym w następnej rozmowie choćby nawet Braciszkwie nadal milczeli, co byłoby niepięknie.

*Starsza Siostra.*

P. S. List Barbary Wiśniewskiej stanowi osobny temat (o wpływie koedukacji). Zostawiamy go do następnego omówienia.

w projekcie prawa o stosunkach rodziców i dzieci oraz w projekcie prawa o urzędzie opiekuńczym.

*Na szerokim świecie.*

Straciła współczesna ludzkość najlepszego Ojca! Gdyż zmarły Ojciec św. Pius XI był rzeczywistym Ojcem duchownym wszystkich ludzi.

Instytucja rodziny straciła swego obrońcę, a ruch społeczny „odrodzenia społeczeństw przez odrodzoną rodzinę” stracił swego wodza!

Wiekopomne encykliki Piusa XI są jego dla nas testamentem, który wykonać musimy.

\*

Przed wydaniem encykliki „Casi conubii” mieliśmy jako działacze dla spraw rodziny, szczęście być przez Ojca św. przyjęci na specjalnych audiencjach dla otrzymania ustnych wskazań, dotyczących naszych prac dla „odrodzenia społeczeństwa przez rodzinę”.

Otrzymałmy też jego błogosławieństwo dla naszych poczynań w tej dziedzinie. Obfitość łask spłynęła na podjęte trudy — od lat dwunastu wiele mówi się o „rodzinie, jako najważniejszej, podstawowej instytucji społecznej” — zaczyna się też coś nie coś dla niej robić.

Ojcowskie, apostołskie błogosławieństwo nie przestanie działać, póki prace dla dobra chrześcijańskiej rodziny istnieć będą!

\*

Delegacja Stanów Zjedn. Am. P. na konferencję sanitarną panamerykańską, która zebrała się we wrześniu 1938 r. w Bogocie (Kolumbia), podkreśliła, że ustawa o ubezpieczeniach społecznych, wprowadzona dopiero od 2 lat, wybitnie dopomogła wysiłkom państwa w dziedzinie zdrowia publicznego. Ilość komitetów do zdrowia podniosła się 594 w styczniu 1935 r. do 1.165 w sierpniu 1938. Wielka ilość Stanów powiększyła tak personel sanitarny, jak instalacje zdrowotne. W ten sposób została wybitnie wzmocniona walka z chorobami, wnikającymi i niszczącymi ogniska rodzinne. Delegacja przyjęła bez zmian uchwały konferencji, które brzmią, jak następuje:

„Konferencja panamerykańska, po uważnym wysłuchaniu referatów delegatów poszczególnych państw o wynikach ubezpieczeń społecznych, uznaje wyniki tych ubezpieczeń za dodatnie i poleca uwadze rządów państw, które dotąd nie wprowadziły ubezpieczeń społecznych, studium i wprowadzenie tego środka zbiorowej obrony zdrowotnej”.

\*

Venezuela przeprowadza plan trzyletni higieny społecznej specjalnie dostosowany do potrzeb populacyjnych, a w szczególności dostosowany do potrzeb matek i dzieci. W planie tym przewidziano 115 centrów higieny. Poza tym każdy ze 100 szpitali wenezuelskich otrzyma specjalne oddziały dla potrzeb matki i dziecka. Przychodnia pueri kultury i centra wychowawcze matek są w toku organizacji. (Venezuela 2 i pół miliona mieszkańców).

Specjalne ustawy i zarządzenia zostały wydane dla podniesienia stanu żywienia oraz mieszkania tak mieszkańców wsi, jak robotników miejskich. Wszystko pod kątem widzenia dobra rodziny. Z terenów należących do państwa są wydzielone parcele z domami skromnymi, lecz higienicznymi dla wdowian. Bank robotniczy zajmuje się budową domów dla stanu średniego.

Środki finansowe dostarczane są ze specjalnego budżetu. Budżet ten przewiduje na rok 1938/39 18.300.000 boliwarów. Następnę 3 lata po 117.264.000 boliwarów.

## Z PIŚMIENICTWA

*W Polsce.*

*Renesans odczytów.* Od dłuższego czasu uderza nas nieoczekiwane, a nader dodatnie zjawisko, mianowicie rosnący popyt na odczyty. Nie tylko w miastach prowincjonalnych, gdzie zobaczenie wybitnych pisarzy lub działaczy jest zrozumiałą atrakcją, ale i w „zblazowanej” stolicy na odczytach — tłok. Jest to zjawisko tym dziwniejsze, iż po spopularyzowaniu się radia wróżono powszechnie zagładę wszelkim prelekcjom, skupiającym publiczność poniżej stu tysięcy słuchaczy. Największym plusem radia miał być fakt, że odczyt „sam przychodzi do domu”. Tymczasem widzimy, iż słuchacz woli zadać sobie fatywę i nawet zapłacić bilet wejścia, byle usłyszeć prawdziwie żywe słowo, poparte grą twarzy i gestu prelegenta.

Niewątpliwie do renesansu odczytów bezpośrednich przyczyniło się poszukiwanie przez publiczność atmosfery niezależnej. Radio bowiem ze swą unifikacją i tzw. „zglajszachtowaniem” ideologicznym wywołało tęsknotę do odczytów bardziej samodzielnych.

W tym ożywionym ruchu odczytowym wymieni należy na czele Zjednoczenie Pisarzy Katolickich, które w ostatnich czasach zgromadziło tłumy inteligencji polskiej na swoich „wieczorach dyskusyjnych”.

Prof. Oskar Halecki po kilkumiesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych mówił o siłach duchowych Ameryki Północnej. Ukazał słuchaczom utajone w zgiełku wielkich metropolii przemysłowych (jak New York i Chicago), Ateny amerykańskie. Siedliska nauki i sztuki znakomicie zorganizowane istnieją tam od dawna, nie ustępując pokrewnym ośrodkom w Europie. Zdaniem znakomitego prelegenta, Amerykanin styka się coraz bardziej z Europejczykiem na wyznach kultury.

W nowym świetle przedstawił dążenia katolickie w twórczości Żeromskiego Stanisław Miłaszewski, wygłaszając odczyt pt. „Od Bożyszczka do Smetka”. Opierając się na niezauważonych dotąd przez krytykę podobieństwach między postaciami mistycznymi, ukazywanymi przez Żeromskiego w „Róży” (1907) i w „Wietrze od morza” (1922), prelegent stwierdził niezbicie, że Stefan Żeromski ciążył całą swą żarliwą duszą ku katolicyzmowi, wyniesionemu z domu rodzinnego.

Pod wpływem pozytywizmu, Żeromski na pewien okres od wiary ojców się oddalił, pozytywistą jednak we właściwym znaczeniu tego słowa nigdy nie był. Zetknął się z propagatorami idei gnostycko-masońskich, podległ ich wpływowi. Jednakże rdzeniem serca ciążył zawsze do jasnych i niedwuznacznych ideałów katolicyzmu, czego najlepszym wyrazem jest opis Mszy św. Wojciecha w „Wietrze od morza”, opis, nie mający równego sobie w literaturze naszej, a może nawet wszechświatowej.

Głównym motywem twórczości Żeromskiego była zawsze walka z szatanem. Niewątpliwie gruntowne studium Miłaszewskiego przyczyniło się do zrewidowania poglądów celowo szerzonych, jakoby Żeromski był przeciwnikiem katolicyzmu.

O świetlanej postaci niedawno zmarłego arcybiskupa Józefa Teodorowicza wypowie-

dział się znakomity publicysta i przyjaciel zmarłego, prof. Stanisław Stroński. Zestawił on zmarłego ze Skargą i Birkowskim — jako kaznodzieję. W jego dorobku piarskim wykazał niezwykłą intuicję, która pozwoliła arcyb. Teodorowiczowi stworzyć wspaniałą koncepcję Chrystusa na tle dziejowym. Niezrównana erudycja obok żarliwego umiłowania Zbawiciela czyni z trzech głównych prac uczonego kapłana dzieła prawdziwie pomnikowe.

Koreferat wygłosił ks. prałat Wądołowski, dając żywe świadectwo najbliższego współpracownika o wielkości charakteru, duszy i wiedzy tego wzorowego chrześcijanina i patrioty o duszy apostołskiej.

\*

*Noakowskiem-Lowicz.* Taki tytuł nosi uroczą książeczkę, wydana w dziesięciolecie śmierci znakomitego architekta-wizjonera. Noakowski był prawdziwym piewą, „Szopenem architektury”, jak go niektórzy nazywają. Jego dzieła, poza wartością malarzką mają w sobie ten polot poetycki, tę związkłość i plastykę, jaką posiadają np. w literaturze — sonety wielkich mistrzów mowy wiązanej.

Już w dzieciństwie ujawniły się rysy zasadnicze artystycznej indywidualności Stanisława Noakowskiego. Opowiada o tym pięknie we „Wspomnieniu o bracie” p. Zofia Balińska:

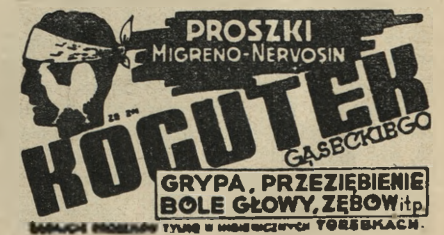
„— To musi być bardzo nudno tak wiecznie spać! — mówi siostra, wskazując na mogiły. A na to brat odpowiada:

— Wcale nie, bo śnią się im takie śliczne kościoły, jak nasza fara, takie domki, jak nasza plebania i kapliczka, i wiatraki, a jeszcze topole i wierzyby, tak jak mnie śnią się czasami”.

Tak mówił mały chłopiec — późniejszy Stanisław Noakowski. Romantyczne „zaśnienie” dziecinne zachował on na całe życie. Jego rysunki — to najlepsze karty literatury pięknej, podłożone pod rytym najpiękniejszych melodii na jakie potrafił się zdobyć sztuka, która kojarzy w sobie wszystkie „metody wypowiedania się”, a więc zarówno pióro, jak dłuto, czy instrument muzyczny — o ile służy jej prawdziwy artysta.

\*

*Pisarze — o muzyce.* Drugim znamienym przykładem związania w harmonijną całość literatury z inną dziedziną sztuki, z muzyką — stały się w ostatnim dziesięcioleciu „powieści biograficzne” z życia wielkich muzyków. Nie mówię już o „szopenistach”; mnogość ich świadczy, że zapanowała jakaś szczególna „moda” pisania o „Chopinie” i „Szopenie”, o „Fryderyku” i o „Frycku”. Wzięli się do tego zarówno powołani i predestynowani, jak i typowi „businessmeni” literaccy, węszący jedynie, skąd wiatr wieje. Dzieła tych ostatnich przeminały szybciej, niż... modny dzisiaj temat. Niewątpliwie na stałe pozostanie w naszym literackim dorobku przepiękny tom „Listów Chopina”, opracowany przez jednego z najlepszych i najsumienniejszych polskich szopenologów — profesora Henryka Opieńskiego. Ta książka winna się



znaleźć w każdym kulturalnym polskim domu, na tej samej półce, gdzie widnieją arcydzieła Sienkiewicza, Reymonta, Prusa, Żeromskiego i Wyspiańskiego.

Z innych dzieł literackich, skojarzonych ściśle z muzyką, sygnalizowałam już na tych łamach powieść A. Swiderskiej o Ryszardzie Wagnerze. Dotychczas ukazały się trzy tomy pod tytułem: „Prometeusz i Perliczka”, „Król bez ziemi” oraz „Król z bajki”. Ten ostatni, poza postacią Wagnera, znakomicie i konsekwentnie przez autorkę przeprowadzoną od początku — zawiera świetną wprost charakterystykę Ludwika Bawarskiego. Czytelnicy tomów już wydanych czekają niecierpliwie na następne. Dziwnymi zaiste drogami wędrują książki polskie: stopy makulatury zalegają składnice księgarskie, a ukazanie się prac już gotowych i nieprzeciętnie dobrych trzeba nieraz czekać latami.

Pocieszającym wyjątkiem jest drugie wydanie biografii powieściowej, lub jeżeli kto woli, powieści biograficznej Witolda Hulewicz a Beethovenie pt. „Przybłąda Boży”. Dzieło to wymaga szczegółowego omówienia. Tu mogę jedynie zaznaczyć, że Hulewicz pracą swoją o Beethovenie wznosił się wysoko ponad przeciętną innych swoich utworów. Może tylko w „Sonetach instrumentalnych”, choć tak różnych w treści i mniej *ważkich*, dźwięczy *ton* pokrewny. Tam, gdzie Witold Hulewicz pisze, albo mówi na tematy muzyczne, wypowiada się zawsze najpełniej.

W „Przybłądzie Bożym” — Hulewicz-literat i Hulewicz-meloman wykąsał wszystkie swoje wartości, spotęgowane zarem uczucia dla umiłowanego twórcy dziewiętej Symfonii. Książka jest w drugim wydaniu opracowana jeszcze staranniej i sumiennie. Wpłynęło to na pewność ręki w narysowaniu duchowego portretu geniusza, jednego z największych, jakich nosiła ziemia.

Jesteśmy — rzekomo — narodem mało muzycznym. A jednak żywoty dwóch potężnych kompozytorów, napisane przez Swiderską i Hulewicza, można zaliczyć do najciekawszych szkiców psychologicznych. Analiza twórczości muzyków tej miary, co Beethoven i Wagner (w ujęciu powieściowym nawet) wymaga dużego umuzykalnienia. Można się z autorami zgadzać, albo nie zgadzać, należy jednak przyznać, że w niewiele utworach tego rodzaju tytani dźwięku nie zostali skróceni... co najmniej o głowę przy literackiej obróbce potężnego, lecz niebezpiecznego tematu.

Wanda Miłaszewska.

za granicą. — W Anglii.

Jak zwykle w wielkim poście, lub bezpośrednio przed jego nadejściem, tak i w tym roku ukazała się cała moc książek o treści religijnej, lub w jakiś sposób nawiązujących do spraw Kościoła czy religii. Książki te poruszają tematy takie, jak: komentarze do Ewangelii św. Jana, stosunek antropologii do Apokalipsy, modlitwy eucharystyczne w starożytnych liturgiach, męka Chrystusa Pana, filozofia odwagi, rozmyślanie o krzyżu, wiara naszych ojców, kryzys dla chrześcijaństwa — itd. itd. Nie tylko sama ilość książek tego rodzaju, ukazujących się w kraju protestanckim, może być dla krajów katolickich zawstydzającym przykładem, ale też ich ogólny poziom i zainteresowanie, z jakim je przyjmuje czytająca publiczność. Dowodem tego zainteresowania jest chociażby fakt, że cieszący się dużą popularnością tygodnik *Time and Tide* poświęca omawianiu ich znaczną część jednego ze

FABRYKA BIELIZNY I KRAWATÓW  
pod firmą  
ZAKŁADY PRZEMYSŁ. - HANDLOWE  
CZARNOWSKI I JEZUITKOWSKI  
Sp. z o. o.  
WARSZAWA, UL. RYMARSKA 8  
poleca swoje wyroby: bieliznę męską,  
kołnierze białe sztywne, krawaty,  
chustki męskie ozdobne i materiały  
popelnowe na bieliznę z własnej tkalni  
w Łodzi.

swych ostatnich numerów. Tutaj zwróćmy uwagę tylko na dwie książki, które wyszły spod pióra księży katolickich. Jedną jest *Popularna historia Kościoła*, którą napisał Philip Hughes (*A Popular History of the Church*, Burns, Oates and Washbourne), drugą wydane przez tę samą firmę *Dzieje dogmatu Trójcy Świętej*, których autorem jest Jules Lebreton, S. J.

\*  
Nowy utwór Wellsa. \*  
Niestrudzony H. G. Wells znów wydał powieść, której akcja toczy się w przyszłości — tym razem bardzo niedalekiej, bo w następnym dziesięcioleciu. (*The Holy Terror*, Michael Joseph). Książka ta jest właściwie portretem dyktatora, który zapanuje nad światem po zakończeniu wielkiej wojny ideologii. Z powszechnego zamętu, jaki nastąpi po wojnie, wyrosną rządy światowego zdrowego rozsądku (co wydaje nam się jeszcze niezbyt prawdopodobnym), na których czele stanie Rud, pospolity Anglik. Niestety, jak stwierdza Lettice Cooper, Rud wcale nie przypomina pospolitego Anglika. Jako charakter jest on „mglisty, zmienny i nieuchwytny”. (Czasem może i prawdziwi dyktatorzy, wypełniający do steru w chwili rozkładu państwa, podobnie nieuchwytnie robią wrażenie). — Można też kwestionować zbyt pogardliwe traktowanie przez Wellsa słowo „ideologia” — jednak w każdym razie jest to książka pobudzająca do myślenia i dyskusji, posiadając jednocześnie błyskotliwe zalety pióra swego autora.

Z Francji.

Wśród wszystkich nowości, jakie ukazały się podczas ostatnich kilku tygodni na półkach księgarskich we Francji, na plan pierwszy wysuwa się wspaniałe dzieło historyczne, traktujące o życiu powszednim w Rzymie (*La Vie quotidienne à Rome à l'apogée de l'Empire*, Ed. Hachette), którego autorem jest Jérôme Carcopino, jeden z najwybitniejszych współczesnych historyków francuskich. Z książki tej poznamy w sposób nadzwyczaj szczegółowy życie prywatne i publiczne, intelektualne i społeczne wszystkich klas obywateli rzymskich za panowania cesarzy Trajana i Hadriana.

Obrzędy ślubne, procedury prawne, obyczaje kobiet, rozrywki tłumów — wszystko staje jak żywe przed oczyma czytelnika. Kto wiedział na przykład, że Rzym w pierwszym wieku po Chrystusie roił się od pięćdziesięciu tysięcy domów, bez żadnego centralnego ogrzewania, ani kominków i o oknach, pozbawionych szyb? Lub że Neron nakazał prefektowi bronić niewolników przed tyranią niesprawiedliwych właścicieli? — Uzasadnionym zdaje się być entuzjazm pisarzy tej miary, co Edmond Jaloux lub Henri Jocillon, w stosunku do tej książki, gdyż — jak powiedział jeszcze ktoś inny — historia pisana w ten sposób prawdziwie jest zmartwychwstaniem.

\*  
Nowa książka Maeterlincka. Maeterlinck, porzuciwszy swe rozważanie biologiczne i zo-

ologiczne, przeszedł w ostatnich latach do zastanawiania się nad „nieograniczonym problemem roli człowieka na ziemi” — i wydał niedawno zbiór swych myśli. (*La Grande Porte*). Myśli te cechują bezwzględna szczerłość, z jaką pracuje umysł autora i muzyczna przejrzystość stylu. Ciekawe jest zestawienie ich z myślami Pascala, którego dokonywa na łamach tygodnika *Candidé* Léon Daudet. Tak jak wynikiem myśli Pascala jest wiara, tak rozmyślania Maeterlincka prowadzą do zwątpienia. Jednym z najbardziej interesujących urywków jest dialog wewnętrzny autora ze swym ojcem. Ojciec Maeterlincka był człowiekiem znacznym, lecz o charakterze wyraźnie despotycznym. „Od swej śmierci, która miała miejsce 35 lat temu — mówi Maeterlinck — zaczął on żyć we mnie o wiele bardziej czynnie i bardziej energicznie, aniżeli kiedy był z tego świata... Interesuje się wszystkim i miesza się do wszystkiego, co robię”... Wnioski, jakie wynikają z tych dialogów, mają duże znaczenie psychologiczne.

\*  
Nowiny akademickie i inne. Ustalono daty przyjęcia nowych członków Akademii: przyjęcie Charles Maurrasa ma nastąpić 11 lub 25 maja, André Maurois zaś w dwa lub trzy tygodnie później.

Manuskrypt *Esprit des Lois* przeszedł na własność państwa, nabyty na licytacji za pokaźną sumę przeszło 400.000 franków. Jest to suma tym większa, że *Esprit des Lois*, to jeden wielki galimatias cytaty i przytaczanych sądów, w którym na ogólną ilość 3.000 stron bardzo nieznaczna zaledwie cząstka jest naprawdę oryginalnym tworem Montesquieu.

M. Buyno.

## TEATR

Niewątpliwie czołowym zjawiskiem wśród ostatnich premier jest „Obrona Ksantypy” Hieronima Morstina, wystawiona w T. Polskim.

Widzieliśmy w ciągu ostatnich paru lat szereg prób dramatycznych unowocześnienia postaci i konfliktów klasycznej literatury. Wymieńmy tu chociażby „Judyte” Giraudau czy „Edypa” Cocteau. Niektóre z tych sztuk niewątpliwie odświeżały starą problematykę, podbarwiały ją nowocześniejszymi środkami pojęć i określeń, nie wyłączając żadnego z najbardziej sensacyjnych założeń naukowych. Podziwiamy w tych interpretacjach wszystkie współczesne kierunki psychologiczne, do których demonstracji służyć zwłaszcza mogła klasyczna, duszoznawcza rozmowa Edypa ze Slinksem.

Przy całym podziwii godnym mistrzostwie autorów w tych próbach, brakło jednego na pozór drobnego, ale przecież niezwykle cennego dla wycieniowania obrazu, czynnika, za jaki poczytywać chcemy komizm.

Zgoła inaczej jest z „Obroną Ksantypy” Morstina. Autor potrafił uchwycić złotą miarę w odtworzeniu psychologicznym tła konfliktu między Sokratesem — mędrcom a Ksantypą — kobietą. Z przysłowiowej więdzmy, jaką tradycja wieków uczyniła, niewątpliwie niesprawiedliwie, z małżonki najmłodszego Ateńczyka, stworzył istotę o rysach ludzkich i to wcale niepowszednich. Geniuszowi abstrakcji przeciwstawił, rzec by można, geniusza realizmu, intuicji wieczności — instynkt szarego dnia i jego nieubłaganych potrzeb i wymagań.

Ksantypa, to nie tylko swarliwa żona, nie-rozumiejąca filozoficznych błąkań czy obłąkań swego męża, to także wspaniały człowiek, o bogato, choć inaczej zgoła wyposażonej duszy, człowiek podświadomie przy tym żyjący uwielbieniem dla autorytetu Sokratesa-myśliciela, choć buntujący się wobec niedołęstwa Sokratesa-męża.

I to rozłamanie się duszy Ksantypy zostało ukazane po mistrzowsku przez Morstina na tle bogato inkrustowanym przeplatającymi się motywami dramatycznymi i komicznymi. Tę grę sprzecznych żywiołów, od-lywającą się w duszy małżonki Sokratesa, umiała znakomicie ujawnić Modzelewska, jest to wspaniały tryumf wielkiej artystki, świadczący o rozległej skali jej możliwości aktorskich, jeśli uprzytomnimy sobie, żeśmy ją widzieli niedawno w roli rozhisteryzowanej ultranowocześnie „aktorki filmowej” Barbary Bow.

W scenie decydującego spięcia między Ksantypą a Sokratesem Modzelewska dała maksimum ekspresji, łatwo przeskakując się od paroksyzmu gniewu do ataku śmiechu. Ten śmiech rozdziera ją całą na widok Sokratesa tańczącego. A trzeba pamiętać, że przed chwilą Ksantypa zarzuciła mężowi, że tak samo nie rozumie duszy kobiecej, jak nie umie tańczyć. Tymczasem Sokrates tańczy, i to jak tańczy, że dech widzom zapiera z podziwu. Tym tańcem Sokrates zwyciężył Ksantypę. Jak widzimy, rola Sokratesa wymaga rozległej skali możliwości aktorskich. Trzeba przyznać, że Woszczerowicz nie tylko nie zawiódł wygórowanych najbardziej chociażby wymagań, ale dał sylwetkę tchnącą nieporównaną, olbrzymią siłą wyrazu, dał prawdziwego Sokratesa.

Oczywiście nie mała w tym zasługa autora, który umie świetnie kilkoma pociągnięciami zarysować klimat życia nie tylko domu filozofa, ale i jego tła, starożytnych Aten, które wyrastają przed naszymi oczyma z nieporównanym realizmem szczegółów, nie wyłączając konfliktów o malowanie fasady domostw, bez mała chciałyby się powiedzieć — płotów.

W Teatrze Nowym na krótko rozlokował się „Żywy ładunek” Winawera. Bohaterem sztuki jest dr Gracht, wypędzony z kraju za jakies sprawy i szukający szczęścia za Oceanem. Stąd okazja ukazania nam na scenie pokładu okrętu z jego na 10-dniową kwarantannę podróżną skazanymi załogą i pasażerami. Autor pokazuje nam ich komiczne profile, żongluje elementami tego żywego ładunku bez większych skrępułów. A przede wszystkim oprawia i przyprawia w zawieszonym sosie humoru główną figurę komedii owego dra Grachta, o którym ktoś powiedział, że ma się „składać w 50% ze świętości, a w 50% z niedołęstwa”.

Następnym ewenementem T. Nowego okazały się trzy jednoaktówki: Norwida „Miłość czysta w kąpielni morskiej”, Rittnera „Odwiedziny o zmroku”, Józefa Czechowicza „Czasu jutrzeźnego”.

Romantyzm norwidowski w całej pełni zabłyska w tej błahostce scenicznej wcale mistrzowsko splecionej w zakresie konfliktów, pod tym względem górując o całe nieważno nad następnymi sztukami. Nieodwzajemniona miłość młodego polskiego Wertera, w ostrych przez Norwida przedstawiona skrótach, kończy się arcykomedio-wo zwroceniem afektów do innej.

Rittner „młodopolak”, jeśli chodzi o okres twórczości, splatający przy tym w szczęśliwym skojarzeniu realizm Zapolskiej z fantastyką Przybyszewskiego, dał pyszną relację z przypadkowego zetknięcia się rozka-

pryzonej i znudzonej damy ze świeżo „nupieczonym” wdowcem. Pełna faneberii niewiasta usiłuje zainteresować swą osobą złamanego, w żałobnej czerni mężczyzny. I trzeba przyznać, że udaje się to jej zupełnie. Sztuka technicznie makabryzmem, ale z dyskretną podany ironią.

Trzecia sztuka-dzieło modernizmu nam już współczesnego, najbardziej jest zawiła, najwięcej gromadzi niejednołitych motywów.

Jeśli chodzi o formę, to tezę autora było zapewne przedstawienie synchronistyczne zjawisk, wiążących się ze sobą wewnętrzną logiką. Skala tych zjawisk jest bogata. Sięga od realizmu maszerującego na wojnę kardrównki, przez sielankę cichego domku rodzinnego, gdzie zapowiada się brzask nowego życia rodzinnego, aż po świat duchów i zmor nocnych, wampirycznie żerujących na tragedii cmentarzy i pobojuwisk.

Mimo wielkich trudności przy powiązaniu w ciągu półgodzinnego widowiska wszystkich tych elementów, należy przyznać, że Czechowicz pięknie zharmonizował wszystkie te światy i uwydatnił nurt nieodpartej konieczności, wiążący je ze sobą. Ukazał nam, jak to życie w pewnym egoizmie zasklepione, życie prywatne, osobiste wiązuje się w życie zbiorowe i wreszcie w życie wszechświata z jego gwiazdami i duchami powietrza i ziemi. Ukazał nam też w tle obrazu zarysowujący się symbol Polski, okupionej krwią tych, co umieli zrezygnować z prywatnego szczęścia dla publicznego dobra.

Wystawienie tych trzech sztuk należy uznać za wysoce rzetelny pod względem artystycznym i szlachetny w swej bezinteresowności czyn kulturalny.

Wielkim świętem teatru będzie niewątpliwie wystawienie w T. Polskim „Hamleta”, którego dawno już nie widzieliśmy na żadnej z pierwszorzędnych scen. Nowego przekładu sztuki dokonał Jarosław Iwaszkiewicz. Rolę Hamleta ma objąć Aleksander Węgierko, który wystąpi jednocześnie w tytułowej roli.

Teatr Mały wystawia dzieło innego Anglika, Oscara Wilde’a, „Brat marnotrawny”, nie grane u nas lat chyba ze dwadzieścia. W wytrawnym ręku reżyserskim Zbigniewa Ziemińskiego ta czarująco „lekką komedią dla ludzi na serio” ujawni swój pełny, nieporównany blask humoru zaprawionego podskórnie liryzmem. Rewelacją aktorską jest wystąpienie w roli lady Braknel Marii Przybyłko-Potockiej.

## FILM

Kino „Roma” po świetnym „Studencie z Oxfortu” daje nam znów młodzieżowy film pt. „Miasto chłopców”. Jest to film społecznikowski, malujący niedolę bezdomnych dzieci i macoszy do nich stosunek organów sprawiedliwości.

Bohater filmu, ks. Flanagan buduje „miasto chłopców”, w którym znajdują pomieszczenie młodociani wykołajeńcy. Ten amerykański Don Bosko ujarzma świętą słodczą nieokiełznaną indywidualności i prowadzi je wytrwale po żmudnej ścieżce umacniania i kształcenia charakteru. Stwarza przyjazny klimat duchowy, w którym bez krat i dyscypliny, pod władzą siłą ludzkiego serca i ręki — wyrutek staje się człowiekiem.

Nie dozorczy więzień, lecz nauczyciele-wychowawcy, ale i przyjaciele. Nie kraty i cele, lecz szeroka i słoneczna przestrzeń,

zbratanie się z przyrodą i ziemią, z której chłopcy — ci skazańcy niepotrzebni — własną pracą wydobywają podstawy swej nowej egzystencji — dach i chleb: oto wartości tej nowej, „świętej” pedagogii.

Doskonałe kreacje naczelne stworzył Spencer Tracy i młodociany Mickey Rooney, który oderwał się już od oklepanych ról „wunderkinda” i przeszedł szcześnie do poważnej pracy aktorskiej o znaczeniu charakterystycznym. Talent to pierwszorzędny.

Jeden z najbardziej efektywnych, a zarazem i graniczących z efekciarstwem filmów, to niewątpliwie „Skradzione życie” z Elżbietą Bergner w roli naczelnej. Zadanie, jakie ma do spełnienia, jest trudne, ale nastroczające szerokie pole do popisu. Bergner gra rolę dwóch siostr-bliźniaczek, rywalizujących o serce jednego mężczyzny. Konflikt jest postawiony niezwykle głęboko na tle różnic psychologicznych między rywalkami. Jedna z nich jest poważna, cicha, łagodna, wartościowy człowiek, o sercu wrażliwym, ale nie zdolnym ujawnić swoich skarbów. Zgoła inaczej druga. Z całą śmiałością, jeśli nie zuchwałstwem, umie walczyć o rzeczy, których pragnie. Nie ma skrępułów. Gdy więc ginie jej siostra, korzystając z łudzącego podobieństwa do zmarłej, podstawia się w jej miejsce i opanowuje młodego wdowca.

Nie możemy ochłonąć z podziwu wobec mistrzowskich przeobrażeń Bergner raz w jedną, drugi raz w drugą postać siostry. „Zaza” — podobnie jak „Skradzione życie” — jest filmem popisowym dla jednej aktorki. Jest nią w tym wypadku Claudette Colbert. Jedna z najbardziej dramatycznych aktorek ekranu tym razem dała nam nową koncepcję „Damy kameliowej”, stwarzającą obok tradycyjnego już wyrzeczenia się, będącego przejawem dumasowskiego romantyzmu, świeży akcent pewnych racjonalnych uzasadnień prawa do miłości dla „kobiety z marginesu życia”.

Reżyser szczęśliwie nie podważył w scenariuszu samej instytucji małżeństwa. Raczek przez wysunięcie tego marginesowego konfliktu podkreślił jej rolę i wartość, z tym wyjaśnieniem, że partnerzy — małżonkowie — winni o tym stale pamiętać.

Tego dyskretnego podkreślenia tezy przez uwydatnienie pewnych odchyłeń brak jest całkowicie w filmie „Purytanin”, który spotkał się najzupełniej słusznie z potępieniem całej zdrowo myślącej opinii. Morderstwo, jako wyraz protestu przeciwko ustrojowi społecznemu — jest niewątpliwie fałszywym argumentem. Jeśli do tego dodamy zgoła chorobliwą psychologię głównego bohatera, który raczej jest sadystą niż idealistą, to musimy wyraźnie powiedzieć, że film jest zły.

Tymczasem film ten znalazł na razie aprobatę cenzury i dość niezdecydowane w tonie recenzje prasy fachowej. Cytujemy tu głos czasopisma „Film” (nr 7):

Dopiero odezwanie się K. A. P. i niektórych organów, nie wyłączając jakoś tym razem „Wiadomości Liter.,” przecięło ten przykry incydent między zbyt liberalną cenzurą a zdrowo reagującą opinią.

W tych warunkach, gdy tego rodzaju dzieją się fakty, trudno się zorientować skąd się wziął w tym momencie temat, a raczej nacisk na temat, stanowiący przedmiot konferencji w ministerstwie spraw wewnętrznych, odbytej przed paru tygodniami.

Bo przecież dotąd na próżno wzywała opinia do odświeżenia i podniesienia, uszlachetnienia tematyki polskich filmów, ze



strony scenarzysty, robiących nieraz wprost opłakane wrażenie. Szablon pomysłów, tanizna i łatwizna, a wreszcie mimowolne, już nawet nie świadome, karykaturowanie naszego życia i jego podstawowych walorów i czynników — oto zło polskiego filmu. Niestety, z miarodajnej strony o tym się nie mówiło. Aż nareszcie.

Otóż na owej konferencji powiedziane zostało m. innymi, co następuje (notujemy według pisma „Film” nr 7):

„Na cały szereg dziedzin życia polskiego, które są bardzo bogatym źródłem tematów, całkowicie jest niewyżytkanych w filmie polskim (twórcze wartości w młodych warstwach chłopskich, robotniczych i życie młodzieży akademickiej, nie mówiąc już o Gdyni i C. O. P-ie). Podkreślenia godnym jest fakt, że filmy produkowane w Polsce w języku żydowskim, oddają rzeczywistość żydowską w świetle właściwym i należałoby sobie życzyć, aby filmy polskie tę rzeczywistość polską co najmniej równie dobrze reprezentowały. O społecznej wartości i sile oddziaływania filmu nie trzeba dużo mówić, gdyż niesporny jest fakt, że film najsilniej działa na masy. O tym fakcie nie wolno producentowi filmu polskiego zapomnieć, gdyż wówczas producent ten sam się dyskwalifikuje. Specjalnie zwrócić należy uwagę na ujęcia postaci i akcji w filmach o tematyce wojskowej. Wojsko musi być przedstawione tak, jak ono rzeczywistość działa i pracuje i tak, jak na to naprawdę zasługuje. Widz po obejrzeniu filmu o temacie wojskowym musi wyjść z kina ze wzmożonym poczuciem siły państwa i miłości dla armii, którą obywatele państwa polskiego — bez wyjątku — kochają i szanują. Pojęcie dyscypliny wojskowej nie może być w filmie ujęte, jako ciężar, lecz jako obowiązek”.

W tym oświadczeniu, bardzo interesującym w wielu szczegółach, zwraca zwłaszcza uwagę moment, że filmy produkowane w Polsce w żargonie są „prawomyślne”, a filmy polskie nie spełniają tego postulatu. Zdawałoby się, że to polski producent jest tak nieojajny. A tymczasem krótko i wężłowato mówiąc, obie „gałęzie”, żargonowa i polska, są prawie w 100% w rękach żydowskich. Więc czym tłumaczyć te dysproporcje? Oto zagadnienie, które może znaleźć jakieś wyjaśnienie do czasu następnej konferencji.



M. Nehring. *Motyw szwajcarski.*

od macierzystego pnia rozwoju sztuki poszczególnych narodów, a podporządkowania całej twórczości artystycznej komendzie meteków paryskich, nic dziwnego, iż twórczość artystyczna stała się oschłą i martwą...”

Ilustracją żywą, popularną powyższych słów jest wystawa w *Ipsie*. Oczywiście „manifestu” sztuki lwowskich malarzy, głównie z grupy „Zespołu” nie trzeba bardzo brać na serio, jest to ubieranie w kwiatki frazeologiczne zwykłych bzdurstw — co obecnie już chyba nikogo poważniejszego nie dziwi. Można się jedynie dziwić, że autorem tych oklepanych zdań i tego biadania, i utyskiwania na publiczność, „odnosząc się z niechęcią do wszelkich przejawów nieposzanowania w sztuce jałowej rutyny... nieuznawania Związku, który miał być taranem, który miał rozkruszyć mur uprzedzeń i obojętności, dzielący społeczeństwo lwowskie od sztuki nowoczesnej”, jest kustosz galerii narodowej miasta Lwowa, dr Jerzy Gürtler. Nie wiem czy dyrekcja *narodowej galerii* mogłaby się podpisać pod wstępem p. J. Gürtlera?...

Właściwe te uwagi uwalniałyby mnie może od dalszych omówień wystawy, stanąwszy

bowiem na środku sali widzi się wszystko jednakową manierą i szablonem wykonane malowidła, tak jak gdyby jeden malarz z małymi zmianami wszystko ryczałtem malował. Wyodrębniają się tylko z tego kanarko-niebieskavo-wapiennistego koloru przedziwne paskustwa poszczególnych wesółków, doskonałych kpiarzy. Wszystko byłoby jeszcze jako tako, stanowczo należy się zastrzec obejmowania tym gwazdoleniowym szablonem malowania tematów religijnych i umieszczanie postaci Chrystusa wśród ohydnie obnażonych kobiecych figur, jak również pokazywaniem sylwet z getta, którego posiadamy aż nadto pod bokiem w naturze. Z oceanu brzydoty wyłania się oaza dobrej grafiki, zwłaszcza *Zofii Stanisławskiej-Howorkowej*.

Równocześnie w *Ipsie* urządziło *Stowarzyszenie Polskich Artystów Grafików „Ryt”* dwunastą wystawę rycin. Dużo z tych prac znanych jest z innych poprzednich wystaw. Przewaga bardzo wybitnych plansz, wykonanych rozmaity techniką, zjawiają się jednak jakby dla kontrastu również bardzo słabe prace.

Wracając do *Zachęty* spotrzegamy w *wystawie morskiej* ożywczy prąd jakby rzeczywiście zdrowy, słony powiew polskiego Bałtyku, zespolenie się sztuki z wiecznie młodą mistrzynią naturą, a ideowo — zespolenie się z życiem narodu i państwa. Morze widziane okiem artysty nie przez francusko-żydowskie zapocone okulary, a przez słoneczny pryzmat własnej wielkiej duchowej kultury i wyrobionej przez rodzimych artystów smaku — nabiera wyjątkowego uroku i radośnie wstrząsa duszą widza.

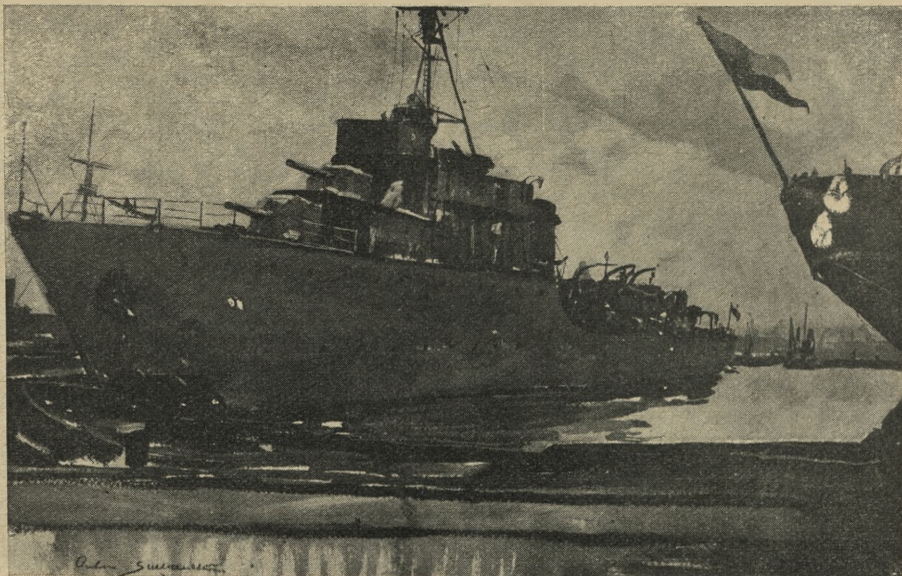
Oprócz pionierów (nie chcę używać zaszczytnego wyrazu „weteranów”) naszej marynistyki, wystawiają dotychczas na tym polu nie znani, lub też świeży adepti.

A. Suchanek nie zatracając wysokiego artystycznego ujęcia celowo notuje i portret pejzażu wybrzeża z jego portowymi zabudowaniami i wizerunki okrętów — co wszystko razem stanowi już dziś niezwykle cenny materiał dla przyszłych pokoleń. *F. Szwoch* pięknie oddał głębię morza w obrazie pt.: „kontrtorpedowce polskie na pełnym morzu”. *M. Mokuwa*, utrzymując w chłodnym, charakterystycznym tonie Bałtyku, świetnie maluje ten sam prawie temat,

## PLASTYKA

Mając przed sobą dwa katalogi dwóch głównych wystaw obecnych, w *Zachęcie* i w *Ipsie*, i czytając wstępy do tych katalogów wchłania się już od razu właściwą tym instytucjom atmosferę.

W *Zachęcie* góruje przede wszystkim *wystawa morska* i dlatego w katalogu znajduje się słowo wstępne M. Diensta-Dąbrowy pt.: „Nasze malarstwo morskie”. Przycitaczam wyjątek: „Twórczość artystyczna, związana do okresu wojny światowej z polską glebą, poczęła zrywać węzły rodzime pod wpływem obcych prądów, bijących z międzynarodowych ognisk sztuki, a siejących przede wszystkim obojętność wobec tematu, brutalne zerwanie z wszelką uczuciowością i wszelkim regionalizmem. Głoszono surowe nakazy kosmopolitycznego rozwiązania często w brudnej formie czystych zagadnień malarskich bez jakiegokolwiek domieszki etnicznej i narodowej twórców. Niewątpliwie, iż w tym burzycielstwie ideałów i niszczenia indywidualności tkwił złowrogi sens polityczny oderwania pędów twórczych



A Suchanek.

O. R. P. „Wicher” w porcie gdynskim.

podaje nam najwięcej kolorystyczne wśród wystawionych przez siebie obecnie prac — „Basen śląski w porcie gdyńskim” i ukazuje nam panoramę „Bitwy pod Oliwą”, niestety, nie zeszytowaną odpowiednio. Prawdziwą niespodziankę zrobił utalentowany nasz pejzażysta A. J. Sipiński ze swoim cyklem doskonałych prac marynistycznych, dowodzących dojrzałość w traktowaniu tematu i zdecydowanej, pewnej, śmiałej swojej techniki. M. Krzyżanowska posiada duże odczucie morza, zwłaszcza w obrazku: „Skały nadbrzeżne”. E. Lindemana bardzo interesująco namalowane są: „Ćwiczenia marynarki wojennej”. J. Rupniewski przedstawia z poczuciem marynarza i artysty „Kawałek morza” i sylwety O. R. P. „Groma” i „Lecha”. T. Schwanebach posiada oryginalny kolorystyczny i interesujący oświetlenia w swoich obrazach — dlatego jednak jako polski malarz podpisuje się: „Théodore”, w Paryżu rozumieją i proste „Teodora”. Do młodszej, a zdolnej braci marynistycznej należy S. Dybowski i S. Manasterski. Pierwszy oddał prawdziwie chmurny nastrój w „Burzy”, drugi pokazał nam cykl rzetelnych studjów pabrzeża. Z pełnym nieporozumieniem są prace W. Weissa, raczej próby dyletanta, aniżeli fachowego malarza. Również cykle F. i M. Filipkowicz są właściwie fotografijkami pasków pabrzeżnych ziemi i słabo malowanymi, nie zaś obrazami marynistycznymi. Zaznaczyć jeszcze należy, że obecna wystawa morska uwidoczniła znaczny postęp od zeszłego roku w ilości i jakości pokazu.

Obok marynistyki znajduje się także wystawa prac grupy akwarelistów i duchowo złączona z nią kolekcja T. Nartowskiego, nadto kolekcja S. Korzeniowskiego, wreszcie zbiór starych drzeworytów chińskich i japońskich.

Z akwrel wybijają się na pierwszy plan prace: Z. Kraśnika (świetna w kolorze „Stara chata”), M. Nehringa pejzaż „Nad wodą”. W ogóle artysta nie poprzestaje na zdobytej świetnej rutynie, pogłębia i wysubtelnia stale a szlachetnie swój repertuar tonów, tworząc prawdziwe symfonie malarzkie. M. Rogowska posiada duże wyczucie drzew. M. Wąsowicz-Sopoćkowa wystawiła bardzo dobry i wdzięczny w nastroju i barwie portret pt.: „Różowy kaftanik”. B. Suratto-Gajduzeni jest trochę słabszy jak na poprzedniej wystawie. Poza tym znajdują się tutaj ptace: S. Grabowskiego, A. Kędzierskiego, R. Malczewskiego (stanowczo lepsze zimy w górach jak „Copy”) J. Ożmina, S. Śliwińskiego i M. Wołeskiej-Berezowskiej. Osobny dział tworzy zbiór prac T. Nartowskiego, bardzo zdolnego akwarelisty, umiającego z maestrią odtwarzać ciche zwierciadła wód i grę kolorów na starych murach zamków, odczuwa zarówno przyrodę jak i architekturę, a to jest duża skala!...

Co do drzeworytów Dalekiego Wschodu należało by właściwie dużo wypowiedzieć entuzjasmów, na co nie pozwala... miejsce. Warto dokładnie oglądać te miniaturowe arcydzieła drzeworytnictwa!...

W salonach przy ul. Królewskiej jest wystawa prac śp. Anny Harland-Zajęczkowskiej, artystki-malarki, zmarłej w kwiecie wieku w 1930 r. we Lwowie. Gruntownie wykształcona w malarstwie rzemieślniczym w kraju i za granicą staje się prekursorką późniejszego konstruktoryzmu, łączy doskonale poczucie formy z ogromnym odczuciem barwy. Temat: krajobraz i kompozycje religijne. — Prace artystki posiadają urok poezji i szczerego, artystycznego temperamentu.

W salonie Garlińskiego otwartą została wystawa zbiorowa prac M. W. Zawady, wybitnego pejzażyisty, głównie wypowiadającego się w krajobrazie górskim. Artysta dotyka również tematów włoskich i maluje studia kwiatów.

Dr M. Natęcz-Dobrowolski.

## MUZYKA

W Filharmonii widzieliśmy sumiennego kapelmistrza Yssay Dobrowena, który dał się nam poznać w „Symfonii wojskowej” Haydna. W koncercie C. Saint-Saënsa g-moll podziwialiśmy jego drobiazgowy akompaniament, a partię solową na fortepianie (zupełnie nieoczekiwanie) doskonale odtworzyła Aline van Barentzen. Na następnym koncercie pod tą samą dyrekcją usłyszeliśmy uwerturę do „Snu nocy letniej” F. Mendelssohna i symfonię B-dur R. Schumanna, bardzo porządnie wykonaną. Jako solista wystąpił kwartet wokalny Kedroffa, który umiejętnie wykonał muzykę religijną A. Greczaninowa z orkiestrą. Na zakończenie orkiestra odegrała „Popołudnie Fauna” Debussy’ego i „Karnawał rzymski” Berlioz’a, ten ostatni może zbyt często grany.

Podczas recitalu chopinowskiego Henryka Sztompki publiczność szczerze wypełniła salę Filharmonii, co należy uważać za duży sukces popularnego artysty. Słuchaliśmy sonatę b-moll z marszem pogrzebowym, interesująco zagranym i wiele innych utworów naszego nieśmiertelnego geniusza. Gra p. Sztompki miała charakter nieco wymuszony i za mało może interpretacji, płynącej z ducha, a nie wyuczonego nastawienia. Recital bardzo udany, a sam p. Sztompka bardzo życzliwie przyjęty przez słuchaczy, jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych pianistów młodej generacji.

Koncert beethovenowski, prowadzony przez p. M. Mierzejewskiego, przypomniat słynną symfonię III es-dur Eroicę i dawno nie graną muzykę baletową do „Prometeusza”, starannie wykonaną przez znanego dyrygenta. Jako solistka wystąpiła Ginette Neveu, grając koncert skrzypcowy d-dur. Jest to niewątpliwie artystka dużej miary, bardzo pięknie grająca i co najważniejsze umiająca sobie zjednać publiczność. Ale jednakże w pewnych miejscach zauważyliśmy pewne rozbieżności solistki z orkiestrą, umiejętnie zresztą doprowadzone do równowagi przez nią samą jak i towarzyszącego jej kapelmistrza.

W operze nic szczególnego nie zauważyliśmy, kontynuuje ona w dalszym ciągu swój zesłomiesięczny program. Walerian Bierdajew prowadził koncert następny, dyrygując, jak zwykle, i mając w repertuarze rozmaite utwory. Jako solista wystąpił Aleksander Uniński, który z werwą, ale nie zbyt dobrze, odegrał koncert 5 Es-dur Beethovena. Na porankowych koncertach same wznowienia z frekwencją zwykłą.

W Konserwatorium grała 16 lutego p. Janina Rybeżyńska. Uczennica Sauera, wykazała się dobrą techniką i dość ciekawym ujęciem. Passaże dość niewyraźne, niemniej przeto młoda pianistka rokuje jak najlepsze nadzieje.

W sali parafialnej kościoła Św. Krzyża odbył się koncert 23 lutego, staraniem sekcji opieki szkolnej. Wykonawcy: p. Wanda Kuropatwińska — fortepian, p. Zofia Rzętkowska — śpiew i p. prof. Czesław Burkath — skrzypce.

Gra p. Kuropatwińskiej ładna, pełna polotu, w pewnych miejscach bardzo udanego

liryzmu, uderzenie interesujące oraz doskonała technika. Szkoda tylko, iż artystka była tak bardzo zastraszona swoim występem, co można było łatwo zauważyć w grze i w samym zachowaniu. Śpiew p. Rzętkowskiej przy akompaniamencie tejże pianistki brzmiał ładnie i niezwykle subtelnie, chociaż pełne forte były dość niewyraźne. Szkoda tylko, iż nastrój swego występu śpiewaczka popsuła sobie zbyt gwałtownymi ruchami, których można było uniknąć.

P. prof. Burkath bardzo sprawnie wykonał swoje i inne kompozycje z wielką powagą i rutyną. Niemile chwilami dawał się odczuć ton skrzypiec, taki „skrzypliwy”, mimo ciągłego dostrajania, co zresztą nie umniejszało samego wykonania. Akompaniowała p. prof. Maleczyńska-Rayska.

Poza tym odbyło się kilka audycji Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, jak zwykle udanych.

W kwietniu br. odbędzie się w Warszawie i Krakowie „Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej” pod wysokim protektoratem P. Prezydenta Rzeczypospolitej. Filharmonia stolicy poświęci mu dwa koncerty piątkowe (pocz. o godz. 8 w.), pierwszy 14. IV, a drugi 21. IV. Szczegółów festiwalu ze względu na mogące jeszcze zajść zmiany nie podajemy, łatwo je można znaleźć w prasie codziennej oraz w programach Filharmonii lub radia.

Miłośnikom pięknej muzyki religijnej gorąco polecam koncerty w Filharmonii:

Poranek niedzielny 2 kwietnia br. o godz. 12 w poł. Uroczysty koncert ku uczczeniu pamięci Wielkiego Papieża Piusa XI. W programie: Ludwik van Beethoven — oratorium „Chrystus na Górze Oliwnej” i III Symfonia Es-dur „Eroica”. Dyrekcja: Józef Ozimiński i Konstanty Rogalski. Soliści: M. Karwowska, T. Szopski, E. Bender. Wykonawcy: Orkiestra Filharmonii warszawskiej, Towarzystwo śpiewacze „Lutnia” oraz chór „Pobudka”.

6. IV koncert świąteczny. W programie: „Męka Pańska” Elsnera. Pocz. o godz. 8 wieczorem.

Miłośnikom Czajkowskiego koncert 23 kwietnia o godz. 12 w poł., wykonawcy: J. Ozimiński (dyrekcja), A. Bukin (fortepian). W programie: koncert e-moll.

Wielki i bez wątpienia niezawodny koncert odbędzie się dnia 28. IV o godz. 8 w. Solista mistrz Emil von Sauer z Wiednia (fortepian). W programie koncert Chopina e-moll op. 11. Dyrekcja M. Mierzejewski.

Bogdan Studziński.

## RADIO I RADIOFONIA

Radio kontynuuje współpracę intelektualną Polski i Włoch.

Wizyta ministra Ciano w Warszawie raz jeszcze podkreśliła zawsze żywe tradycje przyjaźni polsko-włoskiej. Przyjaźń ta snuła się poprzez historię zarówno rycerskim szlakiem walk wolnościowych i imionami wspólnych bohaterów, jak i bogatą w wyniki współpracę intelektualną, jaka istniała zawsze między Polską a ojczyznę Dantego.

Współpraca polsko-włoska na polu radiowym trwa już od wielu lat, niemal od zarania radiofonii polskiej i włoskiej.

Polskie Radio wielokrotnie zaznajamiało radiosłuchaczy z twórczością włoską, zarówno klasyczną jak i współczesną. Trzeba tu wspomnieć szereg słuchowisk (D’Annunzio, Foriano, Nicodemi, Pirandello), szereg

audycji muzycznych, pogadanki, zaznajamiające ogólnie z kulturą włoską, czy też audycje okolicznościowe, na przykład szereg audycji w lipcu 1937 po śmierci Marcconiego.

Radiofonia włoska ze swej strony w równej mierze uwzględniała w swoich programach dorobek kultury polskiej we wszystkich jej przejawach.

Również częsta była współpraca bardziej już bezpośrednia, a mianowicie transmisje polskie z Włoch i włoskie z Polski.

W rejestrze polskich transmisji z Włoch na pierwszy plan wybijają się audycje operowe, transmitowane przeważnie z Mediolanu, z teatru La Scala, a czasem z Turynu lub Rzymu. Rekordową cyfrę w tej dziedzinie osiągnęliśmy w roku 1934, kiedy to transmitowaliśmy z Włoch 14 oper, a zupełnie wyjątkowa była audycja 20 czerwca 1936, kiedy to transmitowaliśmy z Rzymu „Halkę” Moniuszki.

Radiofonia włoska transmitowała z Polski przede wszystkim koncerty muzyki Chopina, oraz inne koncerty i audycje, oparte o motywy ludowe polskie.

Tak więc rozgłośnie włoskie odbierały z Polski, prócz szeregu koncertów chopinowskich, audycję o sobótkach świętojańskich (23. VI 35), audycję „Wieczór wśród gór” (12. VII 36), „Wesele polskie (21. VII 36), „Dożynki” (26. VII 36), koncert tańców polskich (17. XII 36), recital laureata Konkursu Chopinowskiego (rok 1937), „Stabat Mater” Szymanowskiego (rok 1938), „Z pieśnią i tańcem przez Polskę” (rok 1938), koncert dawnych melodii polskich z Wawelu (czerwiec 1938) i inne.

Poza tym dzięki specjalnym transmisjom radiosłuchacze polscy mieli możliwość słyszenia za pośrednictwem rozgłośni Polskiego Radia przemówienie Marconiego do uczonych (15. X 1932) oraz parokrotnie przemówień Mussoliniego, a w listopadzie 1938 transmisji z manifestacji przyjaźni polsko-włoskiej w Mediolanie.

Ostatnio szereg radiostacji włoskich, a mianowicie Mediolan I, Turyn I, Genua I, Triest, Palermo, Catania, Florencia II i Rzym II transmitowały z Polski pogadankę o ministrze Ciano, jaką w języku włoskim wygłosił przed mikrofonem Polskiego Radia były ambasador R. P. przy Kwirynale, sen. Alfred Wysocki.

Jak więc widzimy, przyjaźń polsko-włoska i współpraca intelektualna obu narodów kontynuuje swe tradycje także i na polu radiofonii, zacieśniając w ten sposób więzy, jakie łączą od wieków Polskę i Włochy.

#### *Radiowcy skandynawscy w Zakopanem.*

Szereg radiofonii zagranicznych przysłał do Zakopanego z okazji FIS-u ekipy swoich sprawozdawców, celem bezpośredniego transmitowania reportaży sportowych. Najlicniejszą grupę sprawozdawców przysłała Finlandia i nie dziwnego, bo miała ona do oznajmienia słuchaczom w kraju o niejedynym sukcesie fenomenalnych długodystansowców fińskich z Kurikallą i Karpinenem na czele.

Najstarszy spośród trzech sprawozdawców fińskich, kpt. Halama, zyskał sobie wśród kolegów polskich przezwisko Lody Halamy. Gdy okazało się, że kilku członków komitetu FIS-u mieszka w Zakopanem w willi Halama, tłumaczono sympatycznemu Finnowi, iż sława jego dawno już dotarła do Polski i dlatego nazywają pensjonaty jego nazwiskiem.

Drugi z Finnow, p. Kolkka, jest jednym

z najlepszych znawców sportu narciarskiego w swoim kraju, który przecież na równi z Norwegią uważany być może za prawdziwą ojczyznę nart. Wielkie dwutomowe dzieło p. Kolkki o narciarstwie znane jest każdemu sportowcowi fińskiemu, toteż jego reportaże z biegów w Zakopanem cieszyły się podobno wyjątkowym powodzeniem w Finlandii. Młody jeszcze, lnianowłosy blondyn, redaktor Kolkka jest typowym przedstawicielem dalekiej Północy i chodzącą encyklopedią narciarstwa. Wie on doskonale kiedy i w jakim czasie każdy z zawodników zdobył swoje zwycięstwa, ale potrafi także powiedzieć dokładnie kto np. był czternastym z rzędu w biegu na 18 km na FIS-ie 1935 r., w jakiej był wtedy formie i jaki osiągnął czas. Nie dziwnego, że Kolkka znany jest z trafności swoich przepowiedni sportowych. Nie zawiódł on i w Zakopanem, określając z góry i prawie bez błędu listę dwunastu pierwszych zawodników w biegu na 18 km. Zdolności fachowca fińskiego były niezmiernie pomocne naszym dziennikarzom i sprawozdawcom, którzy wkrótce nauczyli się polegać na Kolkce jak na Zawiszy i podobno czasami donosili wyniki wyścigu swoim redakcjom jeszcze przed jego końcem, wierząc, że Kolkka mylić się nie może.

Trzeci sprawozdawca fiński, p. Sevon, właściwie nie jest Finnem, lecz Szwedem i reportaże swoje robił po szwedzku, dla licznej mniejszości szwedzkiej, zamieszkałej w Finlandii. Niezależnie od tego był w Zakopanem przedstawiciel radiofonii szwedzkiej, p. Jerring.

Norwegia przysłała pp. Gunnara Nygarda oraz Edwina Stranda, stuprocentowych Skandynawów z wyglądu i temperamentu.

W ogóle trzeba zaznaczyć olbrzymią różnicę w technice reportażu sportowego u nas i u Skandynawów, odznaczających się wielkim spokojem i małomównością. Słuchając raz naszego Trojanowskiego, po chwili zaś Norwega Nygarda, niepodobna było uwierzyć, że obaj mówią o tym samym i że patrzą na zawody z tego samego niemal punktu, stojąc blisko siebie. Norweg lub Szwed nie mówi jednym ciągiem, ani wcale nie stara się, aby reportaż jego miał charakter ciągłego opowiadania zsywanego od czasu do czasu nieodzownym „proszę pa-

stwa”. Człowiek północy staje przed mikrofonem i powoli, z największym spokojem mówi parę słów, potem odwraca się, zapala papierosa, sprawdza listę zawodników i po jakichś dwóch minutach znów coś mówi, naturalnie z prawdziwie angielsko-skandynawską flegmą. O ile można było się zorientować o treści reportażu, to ma on u Skandynawów charakter przede wszystkim informacyjny, bez jakiegokolwiek usiłowania stworzenia nastroju i oddania napięcia widzów. Natomiast skandynawscy reporterzy podają z największą skrupulatnością wszystkie czasy zawodników na punktach kontrolnych wzdłuż trasy, zapisując starannie cały materiał cyfrowy, jaki jest do rozporządzenia.

#### *Audycje radiowe z całego świata na powitanie wystawy światowej w Ameryce.*

Jak się dowiadujemy ze źródeł amerykańskich, cały świat radiowy bierze udział w specjalnych transmisjach, zorganizowanych dla wystawy światowej w Nowym Jorku przez trzy największe towarzystwa radiofoniczne, mianowicie: National Broadcasting Company, Colubia Broadcasting System i Mutual Broadcasting INC. Jak zapewnia dyrekcja wystawy, jest to największa impreza w dziedzinie międzynarodowej transmisji zbiorowej, jaką kiedykolwiek zorganizowano.

Te specjalne programy dla wystawy nadawane są w każdą niedzielę między godz. 13.30 i 14.00 według czasu wschodnioamerykańskiego i będą transmitowane do 23 kwietnia br.

Audycje specjalne słyszane są w krajach ich nadania i przez kilkadziesiąt milionów radiosłuchaczy w Ameryce.

W audycjach witających wystawę brało udział 17 krajów europejskich, azjatyckich i amerykańskich.

Dzień 26 marca przewidziany był dla transmisji z Warszawy. Audycję zaszczycił swym przemówieniem Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. dr Ignacy Mościcki. Następnie powitał wystawę p. Stefan Ropp, jako delegat generalny wystawy na Polskę. Po tych przemówieniach nastąpiła część koncertowa, w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia.



*Wóz transmisyjny Polskiego Radia w Zakopanem podczas zawodów „F. I. S.”.*

# Dział Kobiecy

DLA DUSZY

*Wielka to mądrość nie być porywczym w działaniu i nie stać upornie przy własnym rozumieniu.*

*Do tej mądrości należy także, nie wierzyć słowom każdego; a rzeczy słyszanych, albo tych, które się nam zdają, nie roznosić skwapliwie pomiędzy ludzi.*

*Radź się męża cnotliwego i sumiennego, szukaj raczej nauki u lepszego od ciebie, jak żebyś miał iść za własnym domyślem.*

*Dobry żywot czyni człowieka mądrym wedle Boga i doświadczonym we wielu rzeczach.*

*Im kto w sobie pokorniejszym, a Bogu podleglejszym się stanie; tym więcej mądrości i pokoju we wszystkim mieć będzie.*

**Tomasz à Kempis.**

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

## WSPOMNIENIE O ZMARŁYM WIELKIM PAPIEŻU PIUSIE XI

W wielkiej sali w Watykanie, po południu 18 kwietnia 1933 r., w drugie święto Wielkiejnocy zgromadził się tłum osób, przybyłych z pielgrzymką do Rzymu, a dnia tego na audyencję do Papieża, śp. Piusa XI.

Przez rząd otwartych okien na ogrody watykańskie, do wielkiej sali, która wchłonęła w siebie kilkaset osób siedzących i stojących, a mimo to nie zdawała się być natłoczona, wpływało łagodne, prawie letnie powietrze późnego popołudnia i widać było różowe obłoki zaciągające przezroczystą mgiełką przezczysty szafir włoskiego lazuru nieba, jaskółki, śmigające nieprzerwanym czarnym zygzakiem w przestworzu i przerywające ostrym świstem ciszę, która panowała i w ogrodzie na dole i w sali na górze.

Czekaliśmy na wejście Papieża. Wzrok tymczasem błędził po ścianach, wybitych pięknym adamaszkiem, po malowidłach na suficie i zatrzymywał się na długo na ślicznym, niedużym gobelinie, wiszącym nad tronem papieskim, przedstawiającym Chrystusa jako dobrego pasterza, niosącego owieczkę na swych ramionach. Żaden odgłos nie dochodził z bocznych drzwi, przez które Papież miał wejść. W okresie wielkanocnym, a szczególnie w owym roku jubileuszowym, Papież przyjmował liczne pielgrzymki z różnych stron świata, a że nasza z Polski była najliczniejsza, wyznaczoną była na ostatek; dlatego wypadło czekać długo. Obiecywałam sobie, że whiję w pamięć i dokładnie zapamiętam każdy szczegół wejścia Papieża, jego świty, otoczenia i gdy wszedł — nie zapamiętałam nic, tak całą uwagę zajęła od razu i pochłonęła jego postać. Postać ta, niewielka, cała w bieli, pośród purpury i fioletów otoczenia, promieniowała nieodpartym czarem wielkiego uduchowienia. Mądre, głębokie i dobre spojrzenie zza szkieł okularów przyciągało duszę. Pius XI był Wielkim Papieżem, wielkim uczonym, wielkim dyplomatą, ale przede wszystkim był nieskończenie dobrym człowiekiem. Prawdziwie tym dobrym pasterzem, który kochał owieczki i ze swej owczarni, i z tej cudzej.

Kochał maluczkich i ubogich. Gdy jako biskup w Mediolanie przemawiał do robotników, mówił im, że do jego mieszkania nie ma wysokich progów, że mogą zawsze,

o każdej porze do niego przyjść jak do ojca i jak u ojca drzwi dla nich będą otwarte; a jeśli przyjść nie będą mogli, to on sam do nich przyjdzie.

Kochał ludzkość. W każdej encyklice, w każdym odezwaniu się do całego świata przebijają gorące uczucie miłości dla wszystkich uciśnionych, prześladowanych, cierpiących, w których obronie stawał. Walczył o pokój, o dobro duszy, o pracę nad poprawą każdego człowieka, o współdziałanie z Kościołem ludzi świeckich — i dlatego nazwano go też Papieżem laikatu.

Myślał i troszczył się gorąco o niesienie światła wiary w dalekie kraje, dbał o rozwój misji — nazywano go również Papieżem misji.

za pokój całego świata, za niedopuszczenie do wojny — we wrześniu roku ubiegłego ofiarował swe życie Bogu. Ponowił swą ofiarę w grudniu przed Bożym Narodzeniem. Prawdziwie Papież wiary nieustraszonej — pokój czyniący.

Kochał Polskę. Mówił, że nic nie miałby przeciwko temu, by umrzeć w Polsce i tu być pochowanym między polskim ludem, który tak gorąco umie się modlić. Nazywał się biskupem polskim. Gdy po śmierci matki, która umarła we Włoszech w czasie jego pobytu w Warszawie, składano mu kondolencje, odpowiedział: „Tak, wielki cios spadł na mnie, lecz cały mój ból ofiarowałem Bogu podczas Mszy św. za Polskę”. O Polsce często wspominał, opowiadał o jej krajobrazie, o figurach przydrożnych, o nabożeństwach majowych. W rezydencji letniej w Castel Gandolfo kazał sobie urządzić polską kaplicę, gdzie się modlił.

Wielkość uczucia, połączonego z zupełnym obiektywizmem, cechowały zmarłego Wielkiego Papieża, wyrażały się w spojrzeniu jego mądrych oczu, w łagodnym uśmiechu ust i miłym dźwięku głosu Ojca świętego, który dotąd brzmi mi w uszach, gdy żegnając naszą pielgrzymkę, błogosławił mówiąc:

„Błogosławie was, wasz kraj, waszych krewnych, waszych przyjaciół, wasze domy i wszystko, co się w nich znajduje...”

*Józefa Ostrowska.*

## KSIĄŻKI MOŻNA WYPOŻYCZAĆ, ALE NALEŻY JE I ODDAWAĆ

„Książka jest po to, żeby ją czytać. Książka dziś kosztuje dużo. Nie można i nie należy jej trzymać w uwięzi i, jeśli tego warta, wypożyczać znajomym jak najhoy-niej”.

Słusznie. Ale, co zrobić z nałogowym — nieoddawaniem książek właśnie przez tych znajomych?

Przy dzisiejszych małych pokojach, ścianach zużytkowanych na szafy w murze, nie ma miejsca na biblioteki. Zanikają księgozbiory prywatne, ale, kto książkę kocha, komu ona jest przyjacielem, często powiernikiem, do którego się idzie w chwilach trudnych, bolesnych, lub radosnych, wiedząc, że tam, na kartach tego tomiku znajdzie się echo własnych przeżyć, że ukoi jeśli ciężko, poradzi jeśli bezwład zapanował duchowy, radość znajdzie tam echo, a łza i westchnienie — współczucie. Na taką książkę w najmniejszej przestrzeni znajdzie się kącik, w którym ona sobie stanie, gotowa zawsze otworzyć karty swego wnętrza i treścią zbratać się z tymi, którzy w nią wierzą i z nią pragną przestawać.

Naraz — spostrzegasz, że jednej czy drugiej nie ma na miejscu przeznaczenia...

Co się stało?

Pożyczyłam ją do przeczytania. Ale komu?

Przyjmuję tylko przyjaciół. ludzi pewnych. Pożyczyłam ją więc komuś, na kim mi zależało, aby ją przeczytał, aby ze mną cieszył się jej treścią, komuś — bliższemu duchem...

I, traf, mija miesiąc za miesiącem, mija rok, a miejsce po odejściu mego przyjaciela — puste.

Dlaczego?

Nie ma w tym żadnej złej woli. Jest tylko to, co jest naszą kardynalną, zbiorową wadą: brak poczucia organizacji — bezład.

Ja, dając książkę do przeczytania, jestem nieogłębna, że nie notuję komu ją dałam. Ktoś, kto ją wziął, przeczytał i mając zawsze zamiar zwrócić ją właścicielowi — nie czyni tego — wprost przez pewien nieład myśli i nawyknień, ktoś, kto nie kontroluje siebie, bezwiednie czyni przykrość drugiemu.

Zwracam się więc do tych kobiet, które szanując książkę otoczą ją swą opieką, które pouczą dzieci, jak ją szanować należy i które wprowadzą w czyn pewien systematyczny ład. Przecież panie ziemianki korzystają z ruchomych bibliotek. Zakupując, z utworzonego pewnego zasobu grosza, najlepsze książki — posyłają je sobie wzajemnie, popierając tym samym i wydawnictwa i mnożąc zamiłowanie śledzenia rozwoju naszej literackiej twórczości.

## SZKOLENIE SŁUŻBY DOMOWEJ

Oto praca, którą prowadzi Związek Pań Domu, której w tym roku chce dać podstawy realne, w postaci otwarcia szkoły dla pracownic domowych. Widząc z jednej strony zupełny brak wykwalifikowanych pracownic domowych, z drugiej — zaś stykając

się na przedmieściach z niezatrudnionymi dziewczętami po szkole powszechnej, postanowił Związek Pań Domu stworzyć kursy, które by wyszkoliły dziewczęta w umiejętności prowadzenia gospodarstwa, zasilić tym sposobem tę niezorganizowaną dotychczas służbę domową, dostarczając rozumnego, wykwalifikowanego i doceniającego swój zawód pracownika, z drugiej zaś strony, dać fach i zatrudnienie bezrobotnym dziewczętom.

Rzecz zrozumiała, że dziewczęta te nie mają na poniesienie kosztów, związanych z nauką gospodarstwa, chciał je więc Związek obciążyć możliwie jak najmniejszą opłatą, część kosztów ponosiłby sam (wyszkolenie takie jest dość kosztowne), na część zaś szukał pomocy. Nie dostał jej jednak ani w Opiece Społecznej, ani w Kuratorium, a w Funduszu Pracy spotkał się z odpowiedzią, że można by udzielić pomocy, gdyby chodziło o kształcenie w re-

Wypózycając książkę komuś, zanotować sobie imię osoby, której się ją powierza, wypożyczaną zaś: oddawać zaraz po przeczytaniu jej właścicielowi. A, nade wszystko, książkę kochać.

Bo miłość podyktuje każdemu sposoby na to, aby miłowana książka znajdowała swoje miejsce na opustoszałym miejscu pulki, które było jej stałą siedzibą.

L. Kotarbińska.

WYKWINTNA PRACOWNIA GORSETÓW.  
OSTATNIE MODELE PASÓW I BIUSTONOSZY  
„GENOWEFA”,

wł. G. Szewczyk, Warszawa, ul. Oboźna nr 11, wejście od ul. Słowackiego 1. Tel. 3-31-45. Dzwonek przy wystawie.

miośle. Wskutek tego w otwarciu tych kursów nastąpiło opóźnienie. Mimo to Związek postanowił, że w tym jeszcze roku kursy te otworzy. Prowadzi zaś obecnie, wzorem lat ubiegłych, krótkotrwałe kursy doształcające pracownice domowe.

Poza tym Związek Pań Domu zbiera konieczne na to fundusze, prowadząc we własnym lokalu 3-miesięczne kursy dla pań i panienek, obejmujące całokształt gospodarstwa domowego, a więc umiejętność przyrządzania potraw, wykonywania prac domowych, szycia, prania, sprzątania; szkołą w budżetowaniu, prowadzeniu rachunków, estetyce wnętrza, pielęgnacji kwiatów itp.

Prócz tego prowadzi 20-lekcyjne kursy przyrządzania potraw dla pań, doszkała na 15-lekcyjowych kursach pracownice domowe, prowadzi stałe pokazy kulinarne i prac domowych. Wszystkie te kursy i pokazy cieszą się wielkim powodzeniem i są wielokrotnie powtarzane.

R.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

ZJAZD NAUCZYCIELI JĘZYKÓW NOWOŻYTYNYCH. — CO MÓWI „PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY”? — CZYSTOŚĆ — TO PIERWSZY NAKAZ HIGIENY. — CO KOMUNIKUJE RADA NARODOWA POLEK?

Każda matka wiedzieć powinna, że: w Warszawie odbył się „Zjazd nauczycieli języków nowożytnych” w lutym br. Zjazd nosił charakter naukowy, zjechali się nasi uczeni z Krakowa, Lwowa, Wilna, którzy świetnie mieli wykłady. Uznając jednomyślnie potrzebę nauki języków obcych, zgromadzeni po dyskusjach nad referatami dali jednomyślny wyraz następującemu przekonaniu, iż konieczne jest przeprowadzenie reform w programie nauczania, jeśli nauczanie języków nowożytnych nie ma stać w Polsce na martwym punkcie. Wielka liczba uczestników, bo było ich około 400, świadczy, iż zorganizowany przez Polskie Tow. Neofilozoficzne zjazd odpowiadał potrzebom chwili i dał wyraz tym wszystkim myślom i dążeniom, które są codzienną troską nauczycieli języków nowożytnych w Polsce.

W „Kronice Szkolnej Kuriera Warszawskiego”, czytamy urywek z dyskusji, jaką prowadził na temat współpracy domu ze szkołą w „Przeglądzie Pedagogicznym” dr R. Chirowski. Sądząc, że temat zajmie wszystkie kobiety, stojące na czele domu i rodziny, powtarzamy go w całości:

„Przegląd Pedagogiczny” rozpoczął w roku ubiegłym artykułem dra R. Chirowskiego dyskusję na temat współpracy domu ze szkołą. W numerze 1 z dnia 15 stycznia br. zamieszcza redakcja „Przeglądu” swoje uwagi na ten temat i kończy się następującymi wywodami:

„Powszechne są skargi, iż obecnie zbyt często przychodzą do gimnazjum dzieci z coraz to mniejszym zasobem dobrego domowego wychowania, częstokroć krnąbrne i nieposłuszne, bez elementarnej umiejętności przyzwoitego zachowania się w szkole i poza szkołą. Jest to może wpływ postę-



pującej demokratyzacji szkolnictwa oraz wpływ nazbyt częstego dziś rozluźnienia węzłów rodzinnych.

„Ileż energii i czasu poświęca się tym dzieciom, z uszczerbkiem dla całokształtu pracy szkolnej, tylko dlatego że dom nie spełnia wobec nich należycie swego zasadniczego obowiązku. I czyż może być mowa o normalnych postępkach w nauce dzieci źle w domu wychowanych?”

„W związku z tym warto przypomnieć proste słowa ks. Antoniego Popławskiego, klasycznego na gruncie polskim przedstawiciela pedagogiki oświeceniowej: „Dobre skutki w edukacji publicznej — powiada ks. Popławski — ze źródła rodzicielskiej wypływają”. A dalej: „Jakże więc o poprawie edukacji domowej można radzić skutecznie? Nie znam innego lepszego sposobu, tylko jedynie zacząć od oświecenia rodziców” i tu rzuca projekt napisania „książki początkowej dla rodziców, która by im dała dobry wzór edukacji fizycznej i moralnej”.

„Czy dziś projekt ten po 165 latach nie jest nadal aktualny?”

„I czy dziś w programie współpracy domu ze szkołą nie należało by na pierwsze miejsce wysunąć elementarnego, ale bardzo doniosłego zagadnienia wspólnego przez rodziców i nauczycieli wychowania młodzieży w rzeczywistości, która zaiste „nie jest nauką łatwą, ani małą”?

Każda z młodych zwłaszcza matek wiedzieć powinna, że: czystość — to jest pierwsze przykazanie higieny. I przed jedzeniem, i po jedzeniu należy koniecznie przyuczyć dzieci do starannego mycia rąk i ust, i to przed każdym i po każdym jedzeniu koniecznie. Wśród ogólnie małego zrozumienia u nas niezbędnych warunków higieny, musimy koniecznie pamiętać o tych drobnych zabiegach ochrony przed skutkami lekceważenia czystości, zwłaszcza dziś, kiedy epidemia grypy odbiera spokój i maci normalne życie tysięcy rodzin. Czystość w kuchni, dogłębne mycie naczyń, kontrolowanie prania ścierek, otwieranie okien rano i przed spaniem, mycie dzieci przed pójściem do łóżeczka, to wszystko

najniezbędniejsze warunki czystości, która broni organizm od wrogich zarazków, czyniących na nas dokoła.

Wiedzieć każda z nas powinna, zwłaszcza że będzie napełniała ją dumą wiadomości, którą komunikuje Rada Narodowa Polek, a mianowicie, że:

W myśl zaproszenia ministerium rolnictwa i reform rolnych, aprowizacyjny komitet porozumiewawczy kobiecych organizacji społecznych przedstawił swoje kandydatury do Komitetu żywnościowego.

Jako reprezentantki organizacji społecznych zostały wysunięte specjalistki w sprawach żywnościowych, pp.:

1) Eleonora Jasińska, członkini Ligi kooperatystek i komisji rewizyjnej instytucji spółdzielczych, autorka prac naukowych w dziedzinie spółdzielczości;

2) inż. Maria Kapuścińska, członkini Rady Narodowej Polek, przewod. sekcji gospodowego R. N. P. i członkini komisji st. rady międzynarodowej kobiet, specjalistka w zagadnieniach diety;

3) Maria Karczewska, przewodnicząca rady naczelnej gospodareckiego wykształcenia kobiet, zasłużona działaczka i organizatorka w dziedzinie gospodarstwa kobiecego na wsi;

4) inż. roln. Maria Michalicowa, członkini centralnej organizacji kół gospodyń wiejskich, specjalistka hodowczynie.

5) Jako przedstawicielka w grupie rzeczoznawców naukowych, zgłoszona została dr Janina Węgrzynowska, członkini centralnej organizacji kół gospodyń wiejskich, znawczyni spraw higieny.

Wszystkie kandydatki mają wysokie kwalifikacje naukowe i społeczne, oraz dużą praktykę w poszczególnych dziedzinach zagadnień żywnościowych.

Kandydatury te zostały przedstawione p. ministrowi rolnictwa do rozpatrzenia i zatwierdzenia.

## Naprawdę pozbędzie się Pani PIEGÓW

jeżeli używać będzie środków ŚCIŚLE DOSTOSOWANYCH do gatunku swej cery. — W tym celu należy zwrócić się osobiście lub pisemnie do

INSTYTUTU KOSMETYCZNO - LEKARSKIEGO



IZIS

HELENA BRZEZIŃSKA i S-ka, Sp. z o. o. WARSZAWA — SENATORSKA 37 podając wiek, stan zdrowia, gatunek cery: tłusta, sucha itp., a otrzyma Pani wyczerpujące wskazówki, jakich środków należy używać.

Instytut „IZIS” wyrabia 15 środków przeciw piegom.

## NIGDY NIE JEST ZA PÓZNO

myśleć o zdrowiu, tym bardziej, jeżeli cierpisz na chorobę: NEREK, PĘCHERZA, WĄTROBY, KAMIENI ŻÓLCIOWYCH, ZLEJ PRZEMIANY MATERII, na bóle artretyczne czy podagryczne, wzdęcia brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji. — Pamiętaj, że nigdy nie będzie za późno, o ile używać będziesz ziół moczoopędnych „DIUROL” Gaseckiego, które zapobiegają gromadzeniu się kwasu moczowego i innych szkodliwych dla zdrowia substancji zatrzymujących się w organizmie. — Dziś jeszcze kup pudełeczko ziół „DIUROL” Gaseckiego, a przekonasz się o dodatnich skutkach ich działania, zalecać będziesz swym znajomym.

Sposób użycia na opakowaniu. — Oryginalne zioła „DIUROL” Gaseckiego (Z KOGUTKIEM) sprzedają apteki i sklepy apteczne.

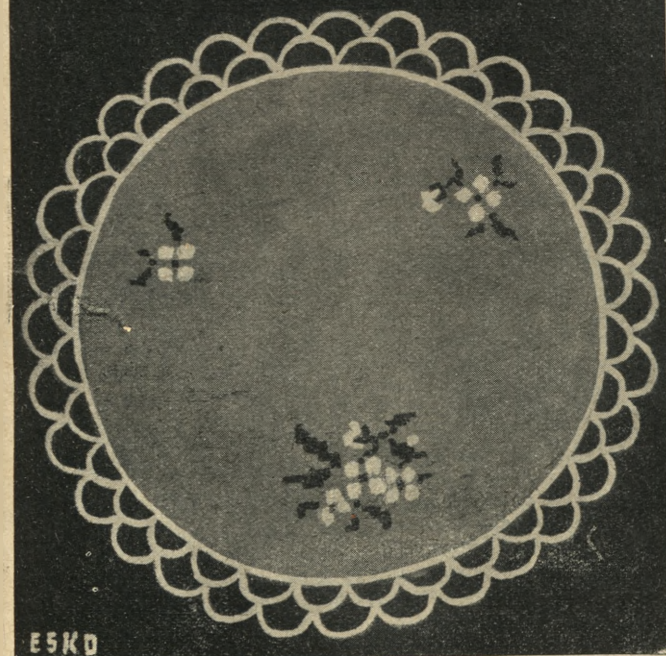
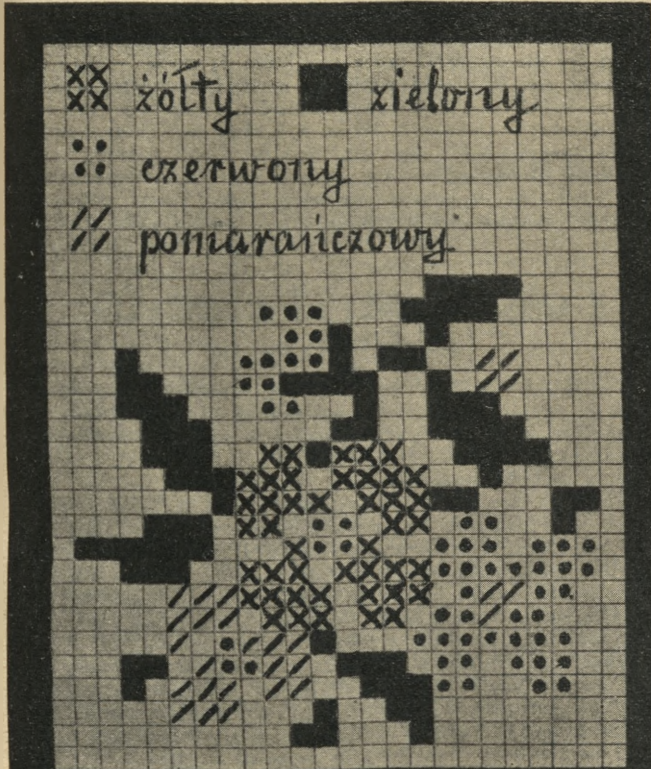
## SERWETKA

Na serwetkę bierzemy opal, markizetę lub organdyne, jeśli chcemy ją mieć bardzo cienką. Haft krzyżykowy, ząbki wykonane szydełkiem.

Na mniejszych serwetkach wykonać jeden cały bukiet i dwa pojedyncze kwiatki, jak na rysunku całości. Chcąc wykonać większą serwetkę umieścić na niej trzy całe bukiety, a na jeszcze większej trzy bukiety i trzy kwiatki. Kanwę do podłożenia wziąć cieńszą od podanych kratek na rysunku — tej wielkości można by wykonać, ale na płótnie.

Haftować muliną lub sztucznym jedwabiem. Bawełnę do obrabiania wziąć 80 nr. Półstłupkami obrobić cały brzeg, założony w pierw i zafastygowany, a potem dwa rzędy okienek, pierwszy o mniejszej ilości oczek, drugi o większej ilości oczek.

E. K.-Onichimowska.



## WIOSENNY KOSTIUM

Kostium wykonany z dwóch materiałów, ale zakieciak musi być koloru tła spódniczki. Fason angielski, spokojny, skromny.

Bolera są i będą bardzo modne, przy tym wygodne przy letnich sukienkach, ozdabia się je haftem, aplikacją lub pasmanterią.

Kapelusze dadzą paniom pojęcie o różnorodności i ekscentryczności dzisiejszych fasonów. Rękawiczki haftowane modne i oryginalne.

E. K.-Onichimowska.

## PAWEŁ SZROTKI

SKŁAD PRZYBORÓW DENTYSTYCZNYCH

Warszawa, ul. Żórawia 2 Tel. 7-22-75.

Posiada na składzie wszelkie artykuły wchodzące w zakres dentystryki i techniki. Wyroby firm: De Frey, Ash, SS. White, jak również wyroby firm polskich i niemieckich.

## MODNY PŁASZCZ

Płaszcz wiosenny z grubej wełny przerabianej w pasy, albo kraty, bo jedno i drugie równo modne. Płaszcz luźny, kloszowy, o kołnierzu zapinającym się szczelnie pod szyją, ale mogącym się odwinąć. Kieszenie głębokie, wygodne.

Poza tym dajemy szereg kokard, tak bardzo dzisiaj modnych, że spotykamy je przy sukniach, paskach i we włosach — przy skromnych i przy strojnych toaletach, zmienia się tylko trochę ich rodzaj.

E. K.-Onichimowska.



ESKO

## CO TO JEST SZYK

Szyk — to połączenie wdzięku, taktu, śmiałości, sprytu, gustu i... rozumu. Szyk, nie polega na cenie sukni, kapelusza, materii. Ale na tej pewnej harmonii, która je łączy. Na tej pewnej spójni jakby zażyłości tajemnej a widnej — między wyrazem twarzy, pogodą, barwą sukni, krojem bucika, spokojem, swobodą ruchów i stoma innymi drobnostkami, złączonymi w tak miły sposób, że właściwie nie wie się, dlaczego o danej osobie mówi się: *ona ma szyk*. Wie się tylko na pewno, że to, co ona ma na sobie, to właśnie odpowiada tej godzinie, tej okoliczności, wymaganiom jej wieku, jej figury i... wymaganiom światowym zarazem. I mówi się: — ta kobieta ma szyk, nie troszcząc się o detale, które się nań składają. Całość pieści wzrok tym niewiadomem, które spływa po fałdach sukni. Idzie od wstążek tak doskonale dobranych do jej cery, kwiatów wybornie wpiętych, kokardy związanej, jak nikt inny nie wiązał, szpilki, której nikt nie miał, paska, jakiego się nie widziało.

I nie można pomyśleć, aby ta kobieta mogła być inaczej ubrana, jak jest. I nie przyjdzie nawet na myśl zapytać się skąd jej toaleta, bo nikt jej nie tworzył, prócz tej, która ją nosi.

I zdarza się, że uboga panienska w swej granatowej sukience z białym kołnierzem i pęczkiem kwiatów, wdzięcznie przypiętym, jest *szykowna*, a milionowa dama z brylantami i koronkami ma „ostatnie kreacje X.X”, ale... jest to tylko dzieło firmy.

Ona sama nie włożyła w nie nic prócz siebie i... całość zepsuła. Szyk! subtelny, dyskretny, spokojny, ładna rzecz. Ale go się nie kupuje w żadnym wielkim magazynie, ani za żadne pieniądze.

Mrówka.

## Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

„WIOSENNE KURACJE”

Przyczyną większości chorób jest zła przemiana materii, objawiająca się szeregiem różnych niedomagań. Leczyć, znaczy zmusić organizm do prawidłowego funkcjonowania i wyprowadzenia nagromadzonych trucizn. Lepiej jednak niż leczyć, jest zapobiegać chorobom, czyli żyć higienicznie.

Higiena uczy nas jak zachować zdrowie i przedłużyć życie. — Zdrowie — to szczęście, bogactwo i skarb największy. Kto odżywia się prawidłowo, odziewa racjonalnie i przebywa dużo na powietrzu ten spełnia najważniejsze zasady higieny i mniej jest skłonny do zachorowania. Niestety, ciężkie warunki materialne uniemożliwiają nam często dbałość o higieniczne życie. Aby mimo to utrzymać zdrowie swoje i rodziny, należy zwrócić się do ziół, które, choć słabiej działają, niż lekarstwa, jednak mają wiele nieznanych jeszcze właściwości wpływających dodatnio na organizm i dających w pewnych zestawieniach leki o wysokiej wartości. Zioła można by nazwać *lekami dietetycznymi*, gdyż przez nie uzupełniamy i naprawiamy braki naszego pożywienia.

Zioła przeważnie nie wywołują gwałtownego efektu, lecz powodują powolne przemiany, to też pomagają przede wszystkim w chorobach wadliwej przemiany materii, która jest wynikiem nieracjonalnego odżywiania. Dokładne poznanie własności ziół, ich działania i sposobów użytkowania, odda nieocenione usługi matce i gospodyni.

Wielka oszczędność może wypłynąć z racjonalnego użytkowania ziół, choćby dla własnej rodziny. Zamiast drogiej herbaty bardzo odpowiednim naparem jest na przykład herbata z listków porzeczki, strączyn fasoli, lub obierzyn z jabłek.

Zioła są wszędzie. Rozrzucone ręką Stwórcy rosną tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Na błotach, grozących febrą, rośnie np. „trójliść febrzysty”, zwalczający febrę, przy drodze — babka, której sok goi rany dla tych, którzy zraniliby się idąc boso itd. Tylko schylić się trzeba, ale ponieważ zbieranie to jest łatwe, zbyt uproszczone — przeto z uporem lekceważymy je. Sięgamy po aptekarskie, bardzo skomplikowane często preparaty, a im mniej wiemy, co w nich jest, tym chętniej korzystamy z nich, bo otczone są pewną tajemniczością i drogo kosztują.

Wróćmy do ziół, które Opatrzność dla nas posiała!

A właśnie na wiosnę, gdy rośliny posiadają najsilniejsze krążenie soków, a nam różne cierpienia najczęściej dają się we znaki — przeprowadźmy *kurację wiosenną*.

Prowadzić ją należy 8 do 15 dni. Dobierać kilka ziół, działających podobnie, aby zwiększyć siłę leczenia. Zioła pić należy gorące z sokiem z cytryny, bo gorące zioła ułatwiają trawienie. Naparzać gotującą wodą, biorąc łyżkę ziół na szklanke wody. Trzymać 15 minut pod przykryciem, pić na 1/2 godziny przed jedzeniem trzy razy dziennie.

Oto szereg ziół z których należy robić mieszankę na wiosenną ziołową kurację: (po równych częściach). Kwiaty: podbiału,

## B ó l e

ARTRETYCZNE  
REUMATYCZNE  
PODAGRYCZNE

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słoty i niepogody. Nieznośnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach i mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają wskutek nagromadzenia się w ustroju kwasu moczowego i, jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN” GASECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą, ischiasmem, kamicią nerkową oraz złą przemianą materii. — Orygin. „UREMOSAN” GASECKIEGO do nabycia w aptekach.



dzikiego bzu, bratków polnych, rumianku rzymskiego i zwykłego.

*Liście:* borówek czerwonych, dziewanny, pokrzywy piekącej i głuchej, babki, mięty, skrzyphu, poziomek.

*Gatunki:* brzozy, jeżyn, malin, głogu, jałowca, rdestu, perzu.

#### KILKA MNIEJ ZNANYCH PRZEPISÓW MAZURKÓW NA STÓŁ WIELKANOCNY

##### Mazurek figowy.

Z 30 deka cukru i niewielkiej ilości wody zrobić syrop, wysmażyć go do „nitki”, (wziąć syropu na widelec i dmuchnąć, gdy robi się nitka, ma dosyć). Umyć 20 deka fig, przepuścić wraz z cytryną bez pestek, przez maszynkę do mięsa, 15 deka orzechów włoskich posiekać grubo, 10 deka skórki pomarańczowej pokrajać drobno, wszystko rzucić do syropu, krótko gotować, przestudzić i smarować dwie wafle, które gotowe kupić można. Przycisnąć deseczką i nazajutrz krajać ostrym nożem.

##### Mazurek jabłeczny.

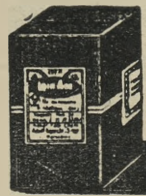
Z takich samych wafli możemy zrobić mazurek jabłeczny. 80 deka obranych kwaskowatych jabłek, włożyć do gęstego syropu, zrobionego z 80 deka cukru i małej ilości wody. Dodać

2 centymetry wanilii utłuczonej z cukrem i smażyć wolno, aż jabłka się rozgotują, a masa stanie się przezroczysta. Ostudzić zupełnie. Marmolada musi być bardzo gęsta. Smarować grubo wafle układając jedne na drugie. Ostatni wafel przycisnąć deseczką i ciężarkiem. Krajać nazajutrz.

##### Mazurek orzechowy z pianą.

5 białek ubić na pianę, wymieszać z 40 deka cukru, podzielić na 2 części. Do jednej dodać 20 deka siekanych orzechów. Włożyć do formy, na to nałożyć resztę piany z cukrem. Upiec. — Krajać przed upieczeniem.

Wład.



### Przy swędzeniu ciała i WYRZUTACH SKÓRNYCH

stosuje się **KREM «LAIN - AGE»**

kosmetyk usuwający WADY NASKÓRKA tak u dorosłych jak i u dzieci.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*P. W. M. z Warszawy.* Niestety. Szkół zawodowych mamy o wiele mniej, aniżeli tego wymaga potrzeba kształcenia w tym kierunku naszych dzieci. Ale co robić! Na wszystko trzeba wielkich kapitałów, którymi nie rozporządzamy, ale ta sprawa nie jest ani zapomniana, ani zaniedbana. Już niektóre wydziały szkolne przekształcone zostały na szkoły zawodowe, więc miejmy nadzieję, że raz zrobiony początek rozwinię się należy. Przecież i tak cudów nieraz dokazuje postęp naszej pracy około wewnętrznej organizacji kraju.

*Paniace z Lublina.* W ślicznym mieście Pani mieszka. Kilka lat temu zwiedzaliśmy i Uniwersytet, i Muzeum, które zapewne już się rozrosło, i piękny, choć jeszcze pewno niedostatecznie odnowiony Zamek, i Starą Bramę — zamieszkałą przez niezbyt porządnie utrzymujących ją mieszkańców, i Seminarium nauczycielskie, i wyobrażamy sobie, że wszystko pulsuje życiem, wzrasta i pięknieje. Toteż liścik Pani, w którym wyczuliśmy przywiązanie do pięknego grodu — ucieszył nas niezmiernie. Kochać miasto, w którym się żyje, to najpierwszy obowiązek dobrego obywatela, zwłaszcza, że pracowitość i inicjatywa kobiet w tylu sprawach może mieć wielkie znaczenie. Przeciwnościami niech się Pani nie zraża i dalej idzie za przykładem naszego prezydenta, który jest prawdziwym ojcem stolicy. Ogródki, o których Pani mówi, mają wielkie kulturalne znaczenie, niech Pani nadal szerzy zamiłowanie do ich hodowania.

*P. Marii Chol. z Nowogrodzkiej.* Śliczne hafty na pięknym płótnie robi p. Aniela Jaroszówna, Polna 32, m. 12a. Wiemy, że wszystkie jej prace bierze nasza firma Braci Jabłkowski i nigdy

ich nie ma za wiele, ale skoro Pani chce indywidualne dać wskazania swego zamówienia, to niezawodnie będzie Pani wygodniej porozumieć się bezpośrednio z wykonawczynią, która i wykonaniem, i gustem, i doбором barw jest niezrównana w swej specjalności.

*P. W. M. z Zakroczymskiej.* Zapisy na członkinie Związku Pań Domu przyjmuje sekretariat codziennie od godz. 10 do 14 — a w poniedziałki i środy także od godz. 17 do 19. Jednorazowy wpis zł 3 i roczna składka 13.50, płatne kwartalnie.

*P. Aniela P... w Warszawie.* Wpisy na członkinie L. M. i K. Oddziału Kobiet, przyjmuje stała sekretarka Ligi Morskiej i Kolonialnej, Marszałkowska 151, II p. Wpisowe 1 zł, składka miesięczna 1 zł — członka rzeczywistego, 50 gr — członka zwyczajnego i 10 gr — członka zbiorowego.

Im nas będzie więcej, tym lepiej. Z tych składek drobnych tworzą się miliony, a za nie buduje się jednostki przyszłej wielkiej, potężnej floty wojennej i handlowej.

*P. M. L. z Leszna.* Prowadzona przez ruchliwy i pracowity Związek Pań Domu świetlica na Czerniakowskiej 199 ma następujący program: Wtorki i piątki od godziny 18 do 20. W świetlicy pogadanki, roboty ręczne, szycie. Czwartki godzina 18 pokazy kulinarne. — Świetlica na Targówku, ul. Św. Wincentego 80. W poniedziałki o godz. 18 pokazy kulinarne. W czwartki o godz. 18 świetlica: lekcje robót ręcznych, pogadanki.

*P. J. W. w Pabianicach.* Zapytamy nieomylniej znawczyni w tym kierunku, p. Elżbiety, i doniesiemy Szanownej Pani jej odpowiedź kartą pocztową. Za kartkę dziękujemy.

## KĄCIK DLA DZIECI

### WIOSENKA

Okropny kłopot miały krasnoludki. Całą zimę spała grzecznie wiosenka, w kolebeczce z wikliny, wysłanej ptasim puchem, spała, rosła, sił nabierała, aż tu raptem przebudziła się na dobre i ledwo oczka otworzyła już chce wychodzić na ziemię. Obskoczyły ją dokoła krasnalki i nuż tłumaczyć, a prosić, by jeszcze z nimi została. Że zima jeszcze nie poszła za góry i lasy... — Uszczypnie cię mróz złośliwy w koniec noska, królowno wiosenko, i jakże będziesz wyglądała, wiosna z czerwonym noskiem, to się zdarzyć nie może, to nie wypada — mówił stary krasnal, mistrz ceremonii.

— Gołoleź jeszcze precz nie poszła, nóżki ci się będą ślizgać, gdzie stąpniesz, a jak słońce przygrzeje i lód się roztopi, przemoczysz swe śliczne trzewiczki — mówił drugi.

— Jeszcze nie wrócił skowronek, twój zwiastun, ni bociany pośły, wiosenko, poczekaj choć na nich — błagały. A wiosenka nie i nie, ona już ma dosyć siedzenia w podziemnym pałacu, ona jest już duża i pójdzie sama, skoro wy nie chcecie! — dodała, patrząc z wyrzutem na krasnalki.

— Nie chcemy, nie chcemy — krzyknęły chórem krasnalki — ale przecież my wiemy, kiedy wyruszyć można, niejedną wiosenkę

w świat już wprowadziliśmy. A jeśli sama się nie boisz, to pomysł o twym orszaku, spójrz na te wszystkie leśne dziwa i polne duszki, i boginki drzewne, to one ci powiedzą w swych pajęczych szatkach, nawet dziadek leśny, choć z krecich skórek ma futerko, niechętnie wychodzi na ziemię i to tylko wtedy, gdy obawia się, że śnieg zanadto zasypał wszystko i okrył jagody, którymi ptaszęta w zimie się żywią. A i na swoją szatkę popatrz, z tęczy ona i różowych mgiełek utkana, w słońcu się jej śnić, ale ogrzać nie może, a poddani twoi, kwiatki pachnące, gdy na wezwanie twoje z ziemi wyjdą i mróz je zdusi, jakże świat będzie wyglądał? Zawiść chcesz wszystkich, co cię z taką tęsknotą oczekują. I zwierzęta, i ptaszki, i ludzkie serca wiosny stęsknione?

Słuchała wiosenka tych wywodów, słuchała i choć im rację w głębi serduszka przyznawała, ale że przeciw jej woli były, więc z wielkiej alteracji wsadziła obie piąstki w oczka, buzię w podkówkę skrzywiła i... buuuu... żałośnie płakać zaczęła. Popłoch się zrobił okropny. Wiosna płacze! Tego jeszcze nie bywało, bo że tam czasem pogrymasi i parę łezek wyleje, to i nic nie szkodzi. taki deszczyk wiosenny dobrze zrobi wszystkiemu, co żywie, ale



takie rozpaczliwe szlochanie, zawierucha chyba jakaś się na świecie zrobi, a wiosenka, jak będzie wyglądała z czerwonymi oczkami?

A wiosenka płakała, płakała, aż się krztusić zaczęła i kichać raz po razu.

— Tego jeszcze nie bywało! — jęknął mistrz ceremonii, łapiąc się za siwą brodę. — Zakatarzona wiosna! Śliczna historia! — A krasnalki biegły już każdy z wielką chustką do nosa i otoczywszy kołem rozplakaną wiosenkę, każdy jak mógł oczki jej chciał otrzeć, ale że wprawy w tym nie miały, a przy tym śpieszyły się bardzo, więc plątały się jeden przez drugiego, przewracały, nie mogły dosięgnąć wiosenki, w końcu zrobiła się z tej plątaniny cała piramida, na wierzchu której leżał ogromny krasnalek, Orzeszkiem zwany, który gramoląc się niezgrabnie powiewał ku wiosence chustką większą od niego. Na ten widok wiosenka zapomniała o płaczu i roześmiała się głośno. Wszystko wokół poweselało, krasnalki wywijają jęły koziołki, uszczęśliwione duszki klaskać głośno w rączki, a wiosenka śmiała się wesoło. Ale gdy tylko się uspokoiła trochę znów powiedziała: — A ja chcę już iść na ziemię!

Załamaly rączki biedne skrzaciki, aż któremuś wpadło do głowy, by nie sprzeciwić się wiosence, więc powiedział: — Dobrze, królowo malutka, pójdziesz na ziemię, ale zgódź się na jedno, że zrobimy ci śliczny płaszczyk z kapturkiem z kocanek wierzbowych, w tym już nie zmarzniesz, no dobrze? zrób i dla nas jakieś ustępstwo. — Dobrze! — zgodziła się wreszcie wiosenka — żeby to tylko długo nie trwało. — Już się robi! — krzyknęły krasnalki, fikając z radości koziołki, że im się udało przekonać małą uparciuszkę.

Tymczasem na ziemi ludzie mówili: — Słuszne to przysłowie, „kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata”. Dopiero była zawierucha z deszczem, a teraz już słońko świeci! — nie wiedzieli nieboracy, że to wszystko były grymasy wiosenki.

A wiosenka czekała niecierpliwie na swój płaszczyk. Dwanaście wielkich pajków snuło cienkie nici i łączyło bazie wierzbowe tworząc ciepły płaszczyk i puszysty kapturek. Wreszcie wszystko było gotowe. — Już jutro wyruszymy — skoro tak tego pragniesz, wiosenko! — westchnął stary krasnal — choć ja hym jeszcze z tydzień poczekał.

Ale wiosence nie chciało się czekać ani minuty, gdy więc tylko wszyscy do snu się ułożyli, owinęła się swym ciepłym płaszczykiem i do drzwi przekradła, i cichutko, bez szmeru, na świat powędrowała. Ziemia pogrążona była we śnie. Pani zima rozstawiła swe straże, ale któż by się o tej porze wiosny spodziewał, więc nikt tak bacznie nie czuwał. Zwolnił mróz swoje okowy, a uszczęśliwione źródółko chlupotało cicho; przychodzi, wiosenko, bo ścierpłom już całe lodem skute. Przystanąła wiosenka, nad strumykiem i uśmiechnęła się. Dotknęła rączką brzegów i wnet rozpękły

się lody i strumyk popłynął śpiewając radośnie. A wiosenka wędrowała dalej, a gdzie stąpnęły w śniegu jej drobne nóżki wnet w tym miejscu mieniła się ziemia fioletem, to zakwitały krokusy, wierzne pierwsze zwiastuny wiosny, a gdzie ziemia czerniła się naga pokrywała ją szybko trawka mizerna, żółtawa i białe przebiegnięgi dzwoniły radośnie: „idzie wiosna, idzie wiosna”. I tak wędrowała wiosenka nockę całą, a gdy pierwsze promyki słońka padły na ziemię i ujrzały co się tam dzieje, świecić zaczęły mocniej, jak wypada słońku wiosennemu, a nie bladym jego odbłaskom w służbie zimy. Poczul ciepło słoneczne skowronek, co schowany w kupce zesłych liści nocował, żaląc się, że za wcześnie przyleciał, teraz rozpostarł zcierpięte skrzydełka i wleciałszy wysoko w niebo rozdzwonił się radośnie: „Cirr... wiosenka przyszła, wiosenka, cirr...” — I cóż robić miała pani zima, tak nagle zaskoczona? Czekwała, przygotowywała się na ciężką walkę z przybywającą wiosną i jej orszakami, a tu gdy dzionek zajaśniał wszystkim już wiosną lśniło, więc zagniewana zabrała sługi swoje i odleciała, wysypując tylko resztki śniegu z worków podróżnych, boć tego na północ brać nie było warto, ale nie straszny to był śnieg, bo go słońko zaraz w wodę zamieniło i zapaliło w tych kropkach wszystkie tęcze na przyjęcie wiosenki, która bardzo się onym płatkiem śnieżnym dziwowała i myślała jak dobre i mądre były krasnalki otulając ją ciepłym płaszczykiem.

H. Rostańska-Choynowska.

#### ROZWIĄZANIE KONKURSOWYCH ZADAŃ Z Nr 2 rb.

Dla dzieci starszych: 1) Rebus: Wisła naszych rzek królowa. 2) Logogryf: Nos, Ibis, Ewa, Cyrk, Haja, Żmija, Y, Jan, Egipt, Powąła, Oko, Londyn, Sakiewka, Korona, Ananas, Marchew, Albania, Rak, York, Narty, Azja, Rumunia, Kogut, Anioł. (NIECH ZYJE POLSKA MARYNARKA).

Dla dzieci młodszych. Szarada: Rak, wi-na — Karwina. Przysłowie. Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

Nagrody otrzymali: 1) Krysia Dzikowska z Warszawy. 2) Franciszek Rymarzewski z Pińska. 3) Danuta Tadrzyńska z Zielonki k/Warszawy. 4) Jurek Przedzakowski z Sandomierza. 5) Jerzy Borsukiewicz z Łęczycy. 6) Zbyszek Józefowicz z Warszawy. 7) Zdzisław Stąpczyński z Zaklinowa. 8) Anna Pipkówna z Kossowa. 9) L. Grzywacz z Lublina. 10) Emil Smochowski z Warszawy.

Odpowiedzi Redakcji: Ludwika Kuczyńska z Warszawy. Rozwiązanie logogryfu dobre, ale to za mało, gdyby było jeszcze rozwiązanie rebusu byłaby nagroda.

Siring Robert z Lublina. Przysłowie dobrze rozwiązane, ale żeby otrzymać nagrodę trzeba było rozwiązać obydwie zadania. Ale nie trap się, na przyszły raz lepiej się powiedzie. Prawda?

## KRASZANKI

(Według legendy ludowej).

Gdy święta Magdalena do grobu Jezusa  
Przyszła żałosna, płakać śmierci Zbawiciela,  
Wyszedł przeciw niej anioł z wieścią Zmartwychwstania,  
Jej rozboleła duszę naraz rozwesela.

Szczęśna bieży do domu z tą wieścią radosną,  
By Apostołów miłych uwiadomić o tym,  
Czym chciałaby obdarzyć, chwytając jajka białe,  
Co się w jej ręku zmienia w szkarłatne i złote.

Niesie one kraszanki i kładzie im w ręce  
Z wieścią, że zmartwychwstał Chrystus, Pan nad pany,  
A one jajka w ptaszki barwne się zamieniają  
I lecą z wieścią szczęśliwą ponad polne łąki.

I odtąd na pamiątkę tej zbożnej radości,  
Barwić przeróżnie jajka i złocić poczęto  
I w pośród święconego na pocztynym miejscu  
Stoją zawsze kraszanki — w wielkanocne święto.

H. R. Ch.

## W Raclawicką Rocznicę.

Raclawickie pola, któż was nie pamięta,  
Gdzie krew za Ojczyznę przelała się święta.  
Gdzie w porwie serca, chłopskimi rękami,  
Zdobyto armaty, zdobyto — kosami!  
Bo miłość Ojczyzny wzbudza w sercach męstwo,  
Które zuchów tworzy i daje zwycięstwo.

H. R. Ch.

**SZARADA ŚWIĄTECZNA**

Oto najpiękniejszy z cudów świata,  
 duch nad materią triumfuje,  
 dziś wieść radosna wszystkich brata:  
 Chrystus **raz-dwa-trzy + i!** Alleluja!

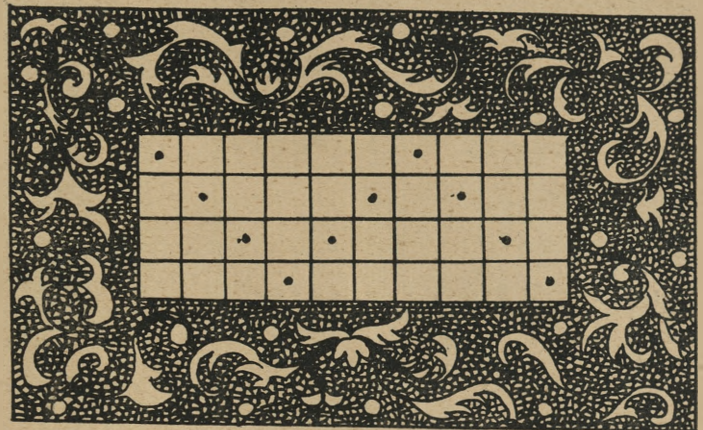
W złocistym słońcu wiosny tchnienia  
 trzy-czwarte ze snu znów zwiastują.  
 Hen, pod strop niebios płyną pienia  
 do **Dwa stóp Pięć-czwór.** Alleluja!

W domu chłopca, czy **pięć-szóstego**  
 pisanki piękne wzrok radują,  
 sześć stole pełnym święconego  
 blyszczą barw tęczą. Alleluja!

Cale! W Nim świt lepszej przyszłości  
 więc zgodnym rytmem pieśń radości  
 rozbrzmiewa gromko: Alleluja!

**K. Harasymów.**

**LOGOGRYF**



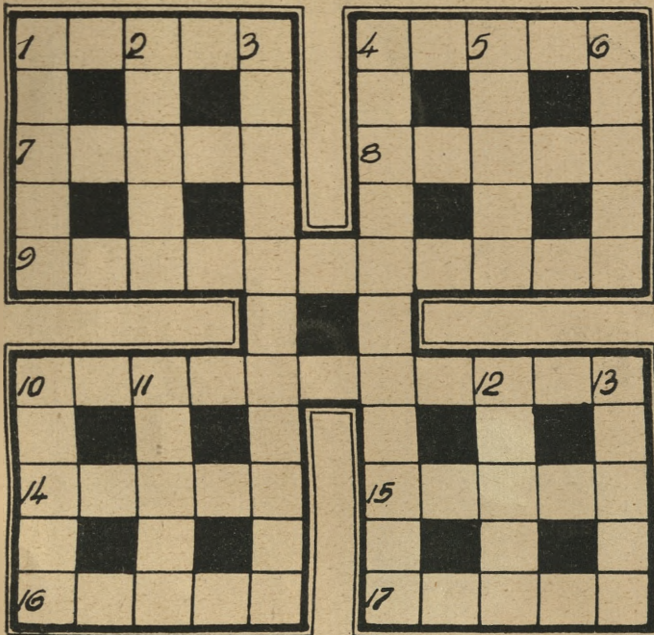
Do rzędów pionowych rysunku należy wpisać jeden po drugim 10 wyrazów o podanych znaczeniach. Litery w kratkach oznaczonych odczytane jednym ciągiem dadzą rozwiązanie: imię i nazwisko polskiego słynnego malarza.

**Znaczenie wyrazów:**

1. Stan uczucia, czuwanie.
2. Planeta.
3. Zastaw.
4. Stragan.
5. Kadłub rozbitego okrętu.
6. Świetna karta.
7. Uczeń, wychowaniec.
8. Tatarak.
9. Żywność, życie.
10. Tama, która zamyka wejście do portu.

**Tola Kunzówna.**

**KRZYŻÓWKA**



**Znaczenie wyrazów poziomych:**

1. Arka.
4. Imię męskie.
7. Błękit, barwa błękitna.
8. Umizg, zalecanie się.
9. Przyrząd do słuchania lekarskiego obuuszego.
10. Powożący karawanem, pracownik zakładu pogrzebowego.
14. Część ręki.
15. Sprzęt domowy (inaczej).
16. Rozkaz sultana.
17. Dusznność, trudność w oddychaniu.

**Znaczenie wyrazów pionowych:**

1. Rodzaj młota do rozbijania murów i ziemi.
2. Animusz, pewność siebie.
3. Miasto powiatowe w województwie nowogródzkim.
4. Wyrzaz twarzy ludzkiej.
5. Nocny ptak owadożerny, kozodój.
6. Tytuł powieści z Trylogii Henryka Sienkiewicza.
7. Wyspa w zatoce Neapolitańskiej.
8. Zwój; tapeta zwinięta w wałek.
9. To samo co ambicja.
10. Obelga, zelżenie.

**R. Przeworski.**

**SWATY KRÓLEWSKIE**

**SZARADA**

Salą tronową niby trzywspak natłoczona.  
 W koronie złotej na czubku głowy,  
 Jak **pięć-dwa-druga**, dużej i łysej miejscami,  
 Siedzi król „Cztery-jeden” na wysokim tronie,  
 Przyjmuje dziś swatów swego sąsiada.  
 Powstała **trzy-czwarta** w gęstym strojnym tłumie —  
 Wystąpił jeden, choć mały, lecz dumny  
 I rzekł: „Mój król jest dzielny nie jeden-jeden”,  
 Jak **cztery-dwa** deszczu pragnie on gorąco,  
 By Twa córka księżniczka **Trzy-druga**  
 Dzieliła z nim życie, jako żona **trzy-pierwsza**...

**Druga wtóra** urwała, bo dziecko już spało,  
 Dla niego to była prawda, a dla nas cała.

**„Tenita”.**

Za rozwiązanie zadań (nawet jednego) przeznaczają Redakcja nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 25 kwietnia br. (z dopiskiem: „Rozrywki umysłowe”).

**ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU LUTOWEGO**

**Nad matematyką — szarada:** „Gadanina szaradowa”.  
**Skarga — szarada smutna:** „O, matko moja, źle mi na świecie”.  
**Arytmograf:** „Bankructwo. Dyplomata. Łazanek. Grawitacja. Sanskryt. Nicpoń”.

**Krzyżówka historycznych dat:** Poziomo: 1241, 1401, 1501, 1077, 1768, 1714, 1347, 1872, 1681, 1511, 1801, 1709, 1530, 1572, 1625, 1346.  
 Pionowo: 1261, 1861, 776, 1154, 1912, 1721, 1291, 1177, 1215, 1871, 1301, 750, 1792, 1096.

**Rebus kołowy:** „Gdy Matka Boska gromnicą zaświeci,  
 wilk od zagrody do lasu poleci.”

**Drzeczki szaradowe:** Golas. Pistacja. Hela. Galaretka. Piskorz.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Franciszek Ślępczyński z Zaklikowa i p. Stanisław Dorenda z Włocławka.

**L. K. (Kl. Sz.).**



## WRÓZBA

Stalin wezwał kogoś dnia na Kreml znanego chiromanta i kazał sobie wyczytać przyszłość z ręki. Po zbadaniu ręki chiromant oświadczył:

— Pan umrze w wigilię wielkiego święta prawosławnego.

Wówczas Stalin skasował dekretem wszystkie święta Cerkwi prawosławnej, a po tym dekrete znowu wezwał do siebie tego samego chiromanta i powiedział doń drwiącym tonem:

— Przepowiedział mi pan przyszłość, ale chyba obecnie nie grozi mi niebezpieczeństwo śmierci w wigilię wielkiego święta?

— A czyż pan sądzi, że dzień, który nastąpi po pańskiej śmierci, nie będzie wielkim świętem dla wszystkich prawosławnych Rosjan?

## U SĘDZIEGO ŚLEDZIEGO.

— Więc już wiemy, że pan zamierzał przez podkop ograbić bank. Ale na co byłyby panu pieniądze potrzebne? Gra w totalizatora, kobieta?...

— Jakże mnie pan sędzia nisko ceni. Ni to, ni tamto. Chciałem w terminie zapłacić podatek dochodowy, bo zacny obywatel jestem...

## PRZEMÓWIŁ SIĘ

— Oto, proszę pana, materiał pierwszej klasy, ostatni krzyk mody. Dopiero wczoraj go dostałem.

— Ale czy aby mocny?

— Nie do zdarcia, zaręczam to panu. Moje ubranie, które jak pan widzi jest zrobione z tego samego materiału, noszę już od 5 lat.

## MIESZCZUCH NA WSI



— To dziwne... Od dwu godzin czekam i ani kropki mleka ta krowa jeszcze nie dała...



Jasne, białe światło dają palniki spirytusowe „RUSTICUS” o sile światła 30 lub 50 świec. Mogą być zastosowane do każdej lampy naftowej

# R U S T I C U S

## PIĘKNE SŁOWA

W pewnym garnizonie jest dowódca nie-nawidzący alkoholu. Aby nauczyć żołnierzy niepicia alkoholu, dowódca ten kazał w koszarach porozwieszać tablice z napisami: „Alkohol zabija!”

Nazajutrz znalazł na tablicach dopisek: „Żołnierz nie boi się śmierci!”

## KOSZERNY PASZTET

— Jojne, z czego ty robisz tego pasztetu?  
— Z czego? Z zająca.  
— Z samego zająca?  
— Nu, nie z samego zająca, ja dodaję trochę konia.

— A dużo konia?

— Nu nie dożo... pół na pół — jeden koń na jeden zająca.

## ZABOBONNY

Dyrektor więzienia: — Toście się tu znów zjawili? Niedługo trwała wasza wolność, zaledwie kilka tygodni.

Więzień: — Panie dyrektorze, ja wiedziałem, że niedługo będę wolny, bo gdy ostatni raz wychodziłem z więzienia, kot przeleciał mi przez drogę.

## NIECH DOWIEDZIE

Celnik przegląda paszport pasażera na granicy.

— Tak, paszport w porządku, ale jak par dowiedzie, że towarzysząca mu pani jest jego małżonką?

— Och, mój panie, jeśli uda się panu dowieść, że nie jest moją żoną, ofiaruję panu z punktu 200 złotych.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — 700 zł, 1/2 str. — 380 zł, 1/4 str. — 200 zł, 1/8 str. — 120 zł, 1/16 str. — 70 zł, 1/32 str. — 40 zł  
Za 1 mm rozm. 6 cm — 1.60 zł, za 1 mm rozm. 4,5 cm — 1.20 zł. — Miejsca zastrzeżone 50% drożej.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

Polska . . . . . 6 zł.  
Niemcy . . . . . 4 Rmk.  
Francja . . . . . 50 fr.

## ROZCZNIĘ:

Czechosłowacja . . . . . 35 kor. cz.  
Ameryka . . . . . 2 dolary.  
Inne kraje . . . . . 6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł, KWARTALNA 1.50 zł. — CENA POJEDYNCZEGO NUMERU — 50 gr.  
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. nr 14.664 — Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotyńów (rachunek wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa-Śródmieście, Krakowskie Przedmieście 71. Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa-Śródmieście, Krak. Przedmieście 71.